Courths Mahler Jadwiga
Zakładniczka

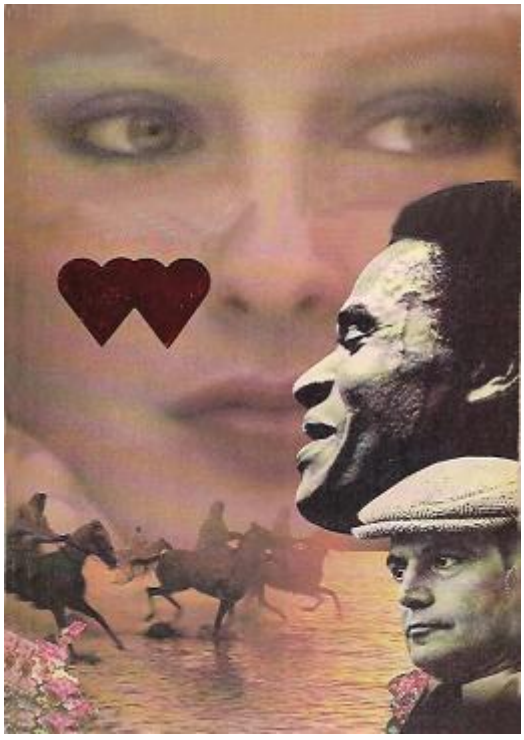

Dolores Vanzita siedziała ze swymi obiema przyjaciółkami, Angelą Frasquita i Inez Hermados, na szerokim tarasie, otaczającym dookoła dom mieszkalny na hacjendzie Armada.

Matka Angeli odbywała swoją poobiednią drzemkę. Pełniła ona u Dolores funkcję damy do towarzystwa, ponieważ ojczym Dolores, inżynier Ludwik Rodenberg, wyjechał na kilka miesięcy do Niemiec. Nie życzył sobie, by Dolores pozostała sama, toteż poprosił panią Frasquita, aby na czas jego nieobecności sprowadziła się ze swoją córką do Armady. Pani Frasquita chętnie zgodziła się na to. Mąż jej był pocztmistrzem na najbliższej stacji pocztowej. Pobierał bardzo niskie wynagrodzenie, toteż wraz ze swoją rodziną musiał się bardzo ograniczać. Pobyt w Armadzie był więc ogromnie ponętny dla matki i córki. Tutaj żyło się na szerokiej stopie i nie myślało o oszczędnościach.

Armada, wspaniała posiadłość wiejska, stanowiła własność Dolores Vanzity. Posiadała również wielki majątek w gotówce. Mienie jej podwoiło się od czasu, gdy jej ojczym, niemiecki inżynier, odkrył na gruntach należących do jej posiadłości bogate złoża srebra i uruchomił kopalnię.

Dlatego pani Frasquita i jej córka chętnie przybyły do Armady. Poza tym Angela bardzo lubiła swoją przyjaciółkę Dolores i cieszyła się, że spędzi z nią kilka miesięcy. Inez Hermados była bogatą dziedziczką, córką hodowcy bydła, który posiadał wielką farmę położoną w pobliżu Armady. Bogate przyjaciółki nie dawały nigdy odczuć Angeli jej ubóstwa, lecz starały się w miarę możności osłodzić jej smutny los. Wszystkie trzy panienki ukończyły razem edukację.

Państwo Hermados i państwo Frasquita byli najbliższymi sąsiadami Armady. Dolores nie obcowała z nikim oprócz swoich przyjaciółek. Z żonami i córkami urzędników, zatrudnionych w administracji kopalni Dolores spotykała się rzadko.

Nie lubiła tych nienaturalnych i wykrygowanych pań. Wolała już rozmowę z Boni i Joni, swymi czarnymi służącymi. W domu służyli wyłącznie Murzyni.

Boni była matką Joni. Mąż Boni, stary Pedro, zarządzał domem. W kopalni również pracowali przeważnie czarni. Drobną część robotników stanowili biali, należący do różnych narodowości. Wszyscy kochali bardzo „swoją małą panią".

Dolores miała więc niewiele towarzystwa i cieszyła się zawsze z wizyty swoich przyjaciółek. Obecnie bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ skazana była na długą rozłąkę ze swoim ukochanym ojczymem.

Przyjaciółki zjadły obiad, po czym usiadły na cienistym tarasie. Angela i Inez durzyły się obie w Ludwiku Rodenbergu, którego uważały za ideał dżentelmena. Był wprawdzie znacznie starszy od nich, lecz wyglądał młodo i wytwornie. Obie przyjaciółki wypytywały Dolores, czy miała wiadomości od ojca.

—O, pisał do mnie już kilka razy! Podróż miał pomyślną i w najlepszym zdrowiu przybył do Niemiec. Wiecie przecież, że przez piętnaście lat nie było go w kraju. Nie dawał znaku życia swojej rodzinie, która uważała go za umarłego.

—Tak, wiemy. Wiemy również, że uciekł z Niemiec, ponieważ sądził, iż podczas bójki zabił człowieka. Parowiec, na którym płynął do Ameryki, zatonął i nikt nie zdołał się uratować. Dlatego jego rodzina sądziła, że i on zginął — rzekła Inez.

—Został jednak uratowany dzięki matce Dolo. Pozostał tutaj, a potem ożenił się z panią Heleną, matką Dolo. To prawdziwie cudowna historia — dodała Angela.

—To rzeczywiście niezmiernie romantyczne. A co najciekawsze, że po piętnastu latach okazało się, że mój Luteczek był niewinny. Tego człowieka zabił jeden z jego przyjaciół, który na łożu śmierci przyznał się do winy. Mój ojczym mógł powrócić do kraju i objąć spadek po swoim ojcu, właścicielu Rodenbergowskich Fabryk.

—A co będzie teraz z tobą, Dolo? Czy pojedziesz do Niemiec?

—Nie wiem. Luteczek musi zadecydować o mojej przyszłości.

—Ach, to wspaniały człowiek! — westchnęła Inez. — Powiedz mi, Dolo, dlaczego ty właściwie nazywasz go zawsze Luteczkiem? Już dawno chciałam cię o to spytać.

—Bo nie jest przecież moim ojcem. Mój ojciec nazywał się Vanzita, tak jak ja. Moja matka młodo owdowiała, a później wyszła za Luteczka. Nie mogę go nazywać ojcem, bo nim nie jest, ani też ojczymem, bo go za bardzo kocham. Dlatego nazywam go Luteczkiem. Ale my wciąż gadamy i gadamy, a ja nie opowiadam wam najważniejszych rzeczy.

—Czego? Mów prędko, Dolo.

—Otóż Luteczek powrócił do domu w samą porę, ażeby dopomóc swemu siostrzeńcowi, Jankowi Dornau'owi, który znajdował się w bardzo trudnym położeniu. Janek miał odziedziczyć po dziadku fabrykę, w razie gdyby Luteczek się nie odnalazł. Opiekunem jego był mąż siostry Luteczka, bardzo zły człowiek, który zazdrościł Jankowi dziedzictwa i godził na jego życie. Wierzył, że Luteczek nie żyje i chciał zgładzić Janka.

—Okropność!

—Prawda, jaki to niegodziwiec? Chciał sprzątnąć biednego Janka i zostać panem Rodenbergowskich Fabryk. Na szczęście przyjaciel Janka, inżynier Ralf Bernd, odkrył jego zamiary i czuwał nad Jankiem. Gdy Luteczek przyjechał, pan Bernd opowiedział mu wszystko i razem wyratowali Janka z opresji. Ten opiekun planował wypadek samochodowy, w którym Janek miał zginąć. Naturalnie, że się to nie udało. Luteczek objął swój spadek i wypędził z fabryki szwagra, który był dyrektorem działu handlowego.

—To bardzo mała kara! — zawołała z oburzeniem Angela.

—I ja tak uważam! — przyświadczyła Inez.

—No, możecie sobie wyobrazić, jaka ja byłam oburzona. Biedny Janek! Jest to bardzo szlachetny i sympatyczny chłopiec — jak pisze Luteczek — i ma być do niego bardzo podobny. Janek wygląda tak, jak wyglądał w młodości Luteczek.

—Musi być rzeczywiście przystojnym chłopcem, Dolo. To przecież twój kuzyn, skoro jest siostrzeńcem twego ojca.

—Doprawdy! Tak, mój przyrodni kuzyn! — rzekła ze zdumieniem Dolores. — Posłuchajcie jednak dalej. Janek ma jedyną siostrę, nazywa się ona Ewa-Maria. Ma być śliczna i bardzo dobra. Jest zaręczona z Ralfem Berndem, z owym młodym inżynierem, który uratował życie jej bratu. Czy to nie ciekawe?

—Jak w powieści! Czy twój ojciec ma jeszcze więcej krewnych?

—Jeszcze jedną siostrę, Melanię. Ona jest, niestety, żoną tego niegodziwego opiekuna.

— Ach, jakie to okropne!

—Tak, i mają dwoje dzieci, mniej więcej w tym samym wieku, co Janek i Ewa-Maria. Nazywają się Egon i Jolanta. Mam teraz wielu krewnych.

—Szkoda, że ta ciotka Melania i jej dzieci mają takiego niedobrego męża i ojca.

—Oni wcale nie wiedzą o jego zbrodniczych zamiarach. Umyślnie zatajono to przed nimi i przez wzgląd na nich nie oddano opiekuna Janka w ręce policji. Przecież oni są niewinni.

— To prawda!

— Gdy Luteczek uporządkuje wszystkie sprawy familijne, wtedy przyjedzie po mnie.

— Po ciebie? Ale chyba nie wyjedziesz stąd na stałe?

— Nie wiem. Moja matka była przecież Niemką i również pragnęła, abym poznała jej kraj rodzinny.

—Zapomnisz o nas! — rzekła ze smutkiem Angela.

—Ależ nie. Będę pisywała do was długie listy!

Dziewczęta długo jeszcze gawędziły ze sobą. Później podano podwieczorek. Po podwieczorku Dolores kazała osiodłać konie. Panienki pod opieką starego Pedra wyruszyły na wycieczkę w góry.

***

W kilka dni później przyjechał do Armady ojciec Angeli, pocztmistrz Frasquita. Przywiózł kilka przesyłek pocztowych, między innymi list od inżyniera Rodenberga dla Dolo. Dziewczyna zabrała się natychmiast do czytania.

Moja najdroższa, maleńka Dolo!

Chciałem wyjechać już w tym tygodniu, lecz zaszły znowu nieprzewidziane okoliczności, które wstrzymały mnie od wyjazdu. Mąż mojej siostry, opiekun Janka, zginął w katastrofie samochodowej. Spotkał go ten sam los, który zamierzał zgotować Jankowi. My wszyscy dopatrujemy się w tym kary boskiej. Moja siostra ze swoją córką Jolantą bawi obecnie w St. Moritz. Musiałem tam pojechać i zawiadomić ją o tym nieszczęściu. Jest zupełnie złamana na ciele i duszy, ponieważ bardzo kochała swego męża. Jolanta czule opiekuje się matką. Od czasu mego przyjazdu zmieniła się bardzo na korzyść. Była nowoczesną panną, bardzo trzeźwą i chłodną, obecnie jednak pojęła, jakim skarbem jest gorące serce. Poznała w St. Moritz bardzo miłego inteligentnego chłopca i pokochała go. Zaręczyli się, jeszcze przed śmiercią jej ojca. Naturalnie, że musieli odłożyć termin ślubu i będą czekali do końca roku żałoby. Ślub odbędzie się jednocześnie ze ślubem Ewy-Marii, a Ty, moja kochana Dolo, musisz być na tym podwójnym weselu. Ja załatwiłem już wszystkie formalności i objąłem spadek po ojcu. Janek pracuje pod moim kierunkiem. Jest on szlachetnym, wielkodusznym chłopcem i nie zazdrości mi wcale tego spadku. Pokochałem go jak syna i pragnę, abyście byli dobrymi przyjaciółmi. Zaprzyjaźnisz się także z jego siostrą Ewą-Marią, niezwykłe miłą, słodką istotą. Podoba mi się także jej narzeczony, inżynier Bernd; to bardzo dzielny i wybitnie zdolny człowiek. Mam nadzieję, że polubisz także Jolantę, choć Ewa-Maria bardziej przypadnie Ci do serca.

Odkupiłem od mojej siostry jej willę, w której mieszkała dotąd z mężem. Każę ją na nowo urządzić, aby moja mała Dolo miała swój własny dom. Moja siostra będzie prowadziła gospodarstwo i zamieszka razem z nami. Co się tyczy Ciebie, to spodziewam się, że szybko przywykniesz do nowego otoczenia. Z moich listów znasz już wszystkich, oprócz mego siostrzeńca Egona. Ja także nie znam go jeszcze, ponieważ studiuje prawo w Berlinie. Tak, moja maleńka, napisałem Ci długi list. Sądzę, że będę mógł za tydzień wyjechać, przyjadę więc zaledwie w osiem dni po moim liście. Po przybyciu do Rio de Janeiro zatelegrafuję, abyś mogła mi w porę posłać samochód do Jaimeville. Proszę Cię, żebyś w żadnym razie nie przyjeżdżała po mnie. Droga jest niezmiernie uciążliwa, a przy tym nie chcę, żebyś sama z szoferem jeździła przez pustkowia. Bardzo się cieszę, że Cię już wkrótce zobaczę moje najdroższe dziecko. Pozdrów wszystkich serdecznie. Całuję Cię, moja mała Dolo!

Twój Luteczek.

TLR

Dolo, po przeczytaniu tego listu, wybiegła na werandę, gdzie siedzieli państwo Frasquita z córką.

— Mam radosną nowinę! — zawołała — Luteczek powraca za tydzień!

Teraz nadbiegła także Inez, która dotychczas leżała w ogrodzie na hamaku i czytała jakąś zajmującą książkę. Dolores opowiedziała przyjaciółkom treść otrzymanego listu. Były bardzo przejęte losem, który spotkał męża ciotki Melanii. Obydwie interesowały się żywo Jankiem Dornau'em, ponieważ miał być podobny do Ludwika Ro-denberga.

Dolores nie domyślała się wcale, że dla pani Frasąuity i Angeli list jej ojca nie zawierał dobrych wiadomości. Po jego powrocie obie wyjadą z Armady i zacznie się znowu ciężkie życie, pełne ograniczeń. Toteż one nie cieszyły się wcale. Inez natomiast była naprawdę bardzo rada.

— Poczekam u ciebie na powrót twego ojca. Cieszę się, że go zobaczę.

— Ach, tak Inez. Czy skończyłaś twoją książkę?

—Skończyłam. Jest cudowna, musicie ją przeczytać. Wszystko się dobrze kończy.

—Co mi z tego, że w powieści wszystko się dobrze kończy, skoro w życiu jest zupełnie inaczej — szepnęła z goryczą Angela.

—Ach, jaka z ciebie pesymistka! Przecież i w życiu może być wiele radości.

— Przeważnie tylko dla bogatych ludzi — rzekła Angela.

Przyjaciółki spojrzały na siebie ze zdumieniem. Zastanawiały się obie, czy Angela ma słuszność. Potem zaczęły ją pocielżać, zapewniając, że i ją także spotka w życiu wielkie szczęście.

***

Ludwik Rodenberg stał przy burcie parowca, który go wiózł z Niemiec do Brazylii. Przypominał sobie swoją pierwszą podróż, gdy po ucieczce z kraju, wyruszył na hiszpańskim okręcie do Rio de Janeiro. Okręt ów zatonął. On jednak zdołał się ocalić. Uratowała go Helena Vanzita.

Helena! Och, zbyt wcześnie odeszła od niego! Jakże ją kochał! Nigdy nie pocieszy się po tej bolesnej stracie. Nigdy nie pokocha innej kobiety, żadna nie zastąpi mu Heleny.

Teraz ojciec jego także nie żyje, nie zdążył go już zobaczyć. Pozostała mu już tylko na świecie jego ukochana mała Dolo.

Następnego ranka okręt zawinął do portu. W Jaimeville czekał już na Ludwika jego szofer. Dziesięć godzin trwała jazda z Jaimevil-le do Armady. Na granicy posiadłości spostrzegł już z daleka wysmukłą amazonkę na pięknym gniadoszu. Była to Dolores. Spostrzegłszy samochód, zerwała kapelusz z głowy, aż jej kasztanowate loki rozsypały się wokoło twarzyczki. Ludwik zatrzymał auto.

Dolo zeskoczyła z konia i rzuciła się ojcu na szyję.

— Moja maleńka!

—Luteczku najdroższy! — Nie mogłam już wytrzymać z tęsknoty — zawołała, spoglądając na niego tkliwie swymi pięknymi brązowymi oczyma.

Dolores usiadła obok ojca przy kierownicy, a szofer pojechał konno do domu.

Auto zatrzymało się wkrótce przed domem. Ludwik powitał serdecznie państwa Frasquita, Angele i Inez.

Nazajurz państwo Frasquita wyjechali. Ludwik kazał ich odwieźć samochodem.

Przywiózł dla wszystkich piękne upominki. Angela otrzymała kosztowny wisiorek na platynowym łańcuszku, pani Frasquita piękną broszkę, a Inez prześliczną torebkę. W godzinę po wyjeździe państwa Frasquita, pożegnała się także Inez. Rodzice przysłali po nią samochód.

Wtedy dopiero Ludwik wypakował piękne i bogate upominki dla swojej Dolores.

Cieszyła się ogromnie z tych ślicznych i kosztownych rzeczy. Na końcu wyjął jeszcze z walizki małe pudełeczko, która dała mu dla Dolores Ewa-Maria.

W pudełku tym znajdowały się fotografie wszystkich członków rodziny. Dolores oglądała je ciekawie, a oczy jej płonęły. Ewa-Maria napisała na odwrocie swej podobizny: „Mojej kochanej Dolo — Ewa-Maria Dornau."

Ta fotografia podobała się Dolores najbardziej. Powiedziała to ojcu.

—A co powiesz o Janku? Czy ci się nie podoba? — zapytał Ludwik Rodenberg.

Dolores zarumieniła się gwałtownie.

—Owszem, podoba mi się, Luteczku, jest taki podobny do ciebie.

Zaczęła oglądać inne fotografie. Następnie ułożyła je znowu w pudełku. Fotografię Janka położyła na wierzchu, aby mogła na nią od razu spojrzeć, gdy tylko otworzy pudełko.

Później Dolores i Ludwik pojechali konno do kopalni. Wszędzie witano ich radośnie. Dolores znała wszystkich robotników i ich rodziny. Z każdym zamieniała kilka słów. Ludwik tymczasem zwiedzał dokładnie wszystkie zakamarki kopalni.

Dolores zatrzymała nagle swego konia przed jakimś Murzynem o postawie Herkulesa.

— Cóż, Samie, jak się miewa twoja żona?

—Dziękuję ci, pani. Wyleczyłaś ją, jest znowu zdrowa i silna jak dawniej. Może już pracować.

—Rada jestem, że wyzdrowiała. U nas na werandzie mogła odpoczywać do woli. U was w domu jest tyle dzieci, że twoja żona nie ma ani jednej spokojnej chwili.

— Wiem, pani. Opowiadała mi, że byłaś dla niej bardzo dobra.

—Twoja żona powinna się dobrze odżywiać. Przysyłaj codziennie twego najstarszego syna po resztki z obiadu.

—O, pani, jakaś ty dobra! Zawsze dbasz o swoich pracowników.

—To przecież zrozumiałe, Samie. Oni dla mnie pracują. Pozdrów twoją żonę.

—Dziękuję ci, pani.

Dolores pojechała dalej, a Sam śledził ją wzrokiem. Co pewien czas zatrzymywała konia i rozmawiała z innymi robotnikami. Znała dobrze ich stosunki domowe, pomagała chętnie, gdy tylko potrzebowano jej rady i pomocy.

Jechała teraz między chatami, położonymi trochę na uboczu kopalni. W tych prymitywnych chatach mieszkali robotnicy ze swymi rodzinami. Dla urzędników zbudowano wielki dom, w którym każdy miał swoje mieszkanie. Nieco dalej stała szkoła, w której mieszkał nauczyciel ze swoją żoną, pełniącą również obowiązki nauczycielki. Dzieci uczyły się niewiele, ale w każdym razie miały pewną

opiekę. Robotnicy zatrudnieni w Armadzie mieli w ogóle znacznie lepsze warunki, niż gdzie indziej.

Ludwik Rodenberg byłby z chęcią uczynił dla nich jeszcze więcej, gdyby nie to, że musiał się liczyć ze stosunkami, panującymi w Brazylii.

Gdy Dolores ukazała się w osadzie robotniczej, otoczyła ją natychmiast gromada dzieci. Były to przeważnie Murzyniątka. Dolores zawsze zabierała w drogę dużą torbę słodyczy, które ze śmiechem rozdzielała między dzieci. Dopiero gdy torba została opróżniona, mogła pojechać dalej.

***

Ludwik Rodenberg załatwił pomyślnie wszystkie sprawy handlowe. Naczelny inżynier Delora awansował na dyrektora kopalni. Jemu powierzył całe kierownictwo. Inny urzędnik został kierownikiem działu handlowego. Ludwik umówił się z nimi, że będą mu co tydzień przesyłali dokładne raporty o stanie kopalni.

Administrator folwarku obiecał również przesyłać sprawozdania. Ferma dostarczała produkty do kopalni, aby robotnikom nie zbywało na dobrej żywności.

Pedro z żoną i córką mieli nadal zarządzać domeni. Innych służących odprawiono.

Dolores miała ochotę zabrać ze sobą Joni, jako pokojówkę — lecz nie chciała jej rozłączać z rodzicami. Postanowiła, że na okręcie będzie korzystała z usług służby okrętowej. W Niemczech dopiero przyjmie sobie wykwalifikowaną pannę służącą. Boni i Joni płakały rzewnie na myśl o rozstaniu ze swoją panią, lecz mimo to bały się dalekiej podróży. Dolores także nie wiedziała, jak się bez nich obejdzie, ponieważ przywykła do ich sprav.nej obsługi.

Wszystkie rzeczy zapakowano do kufrów i skrzyń. Dolores zabierała w drogę całą wyprawę, nawet srebra, dywany i kryształy. W domu pozostały tylko wszystkie meble oraz kilka skrzyń, zawierających rozmaite przedmioty, które Ludwik zamierzał dopiero później sprowadzić do Niemiec.

Dolores miała teraz dużo zajęcia. Wpadała przy tym wciąż z jednego nastroju w inny. Z jednej strony cieszyła się, że wyjeżdża — z drugiej strony jednak martwiło ją rozstanie z Armadą. Najwięcej smuciła ją rozłąka z jej wierzchowcem. Konia odstawiono na ranczo senora Hermadosa. Inez przyrzekła przyjaciółce, że będzie na nim jeździła. Ludwik posłał swojego wierzchowca do Jaimeville. Podarował go komendantowi miasta. Żył on z nim zawsze na dobrej stopie, wiedząc, że taki wysoki urzędnik może się niekiedy przydać.

Pudełeczko z fotografiami umieściła Dolores w jednej ze swoich walizek. Nie chciała się z nimi rozstawać na długi czas podróży. W każdej chwili podnosiła wieko i wpatrywała się w oblicze Janka Dornau'a. Dziwiła się wtedy, czemu to jej serce tak mocno i głośno bije. Cóż było takiego szczególnego w twarzy tego chłopca? Czy jego oczy? Czy pięknie sklepione czoło? A może uderzało ją tylko podobieństwo do jej ukochanego Luteczka?

Spoglądała na niego z przyjemnością, a jednocześnie czuła dziwny lęk. W takich chwilach odkładała fotografię Janka do pudełka, jakby ten martwy karton parzył jej ręce.

Dolores nigdy jeszcze nie lękała się tak nikogo, jak Janka Dornau'a. Nie rozumiała dlaczego. Przecież Luteczek opowiadał jej, że to taki dobry i szlachetny chłopiec. Na pewno nie wyrządzi jej krzywdy... A zresztą, ona umie się przecież bronić... No i Luteczek nie pozwoli jej zrobić nic złego...

Jakież to głupstwa! Przecież Janek nie zrobi nic złego słabej, bezbronnej dziewczynie...

Starała się przypomnieć sobie, jak ciężką młodość miał Janek i jak wiele przecierpiał, przebywając pod opieką niegodziwego wuja. W takich razach współczuła gorąco Jankowi i głaskała pieszczotliwie jego fotografię. Wspominała wtedy słowa ojczyma, który twierdził, że Dolores na pewno zaprzyjaźni się z Jankiem. Nie, nie trzeba się lękać tego chłopca. A może to tylko zazdrość?

Może jest zazdrosna, bo Luteczek kocha tak bardzo swego siostrzeńca?

W ten sposób usiłowała sobie wytłumaczyć owo niezrozumiałe uczucie, z którego nie potrafiła sobie zdać sprawy.

Czas upływał bardzo prędko. Dolores była pochłonięta przygotowaniami do podróży. Zbliżała się chwila wyjazdu. Ludwik Rodenberg doznawał niekiedy uczucia lekkiego niepokoju. Pytał wtedy Dolores:

—Czy ten wyjazd nie będzie dla ciebie poświęceniem? Obawiam się, że nie przywykniesz do nowego otoczenia.

—Przywyknę na pewno. Tam gdzie ty będziesz, tam i ja będę się dobrze czuła.

—Swoją drogą, wielki już czas, żebyś wyruszyła w świat z tego pustkowia. Musisz poznać innych ludzi, inne środowisko. Nie możesz przecież pozostać taką małą dzikuską.

—A co by się stało, gdybyś nigdy nie mógł powrócić do Niemiec? Czy spędziłabym wtedy całe życie w Armadzie?

—Nie, Dolo. Obiecałem twojej matce, że gdy skończysz siedemnaście lat, zawiozę cię na pewno do Europy. Twoja matka sądziła wówczas, że ja sam nigdy już nie zechcę pojechać do Niemiec i dlatego nie nalegała na to. Byłaby jednak bardzo zadowolona z tego, że poznasz jej ojczyznę. Czy cię to cieszy?

—Naturalnie, że się cieszę. Poznam przecież kraj rodzinny mojej matki i twój, poznam twój dom i twoich krewnych. Gdyby mnie tylko polubili...

— Och, Dolo, któż by ciebie nie lubił!

—Jestem przecież taką dzikuską... — westchnęła Dolo.

—Właśnie to spodoba im się najbardziej. A poza tym ucywilizujesz się w ciągu krótkiego czasu. Przecież jesteś córką swojej matki i nauczyłaś się od niej bardzo wiele. Przyswoisz sobie prędko wszelkie formy towarzyskie, Ewa-Maria ci w tym pomoże. Ona zajmie się tobą. Staraj się zawsze naśladować Ewę-Marię, to najlepszy przykład dla ciebie. A moi krewni z pewnością pokochają cię i będą cię psuć na wyścigi.

—W każdym razie postaram się spodobać twojej rodzinie. Tylko nie gniewaj się na mnie, jeżeli z początku będę robić głupstwa.

—Ach, ty mały głuptasku! To przecież drobnostki. Przywykniesz bardzo szybko do nowego otoczenia. Czego się boisz? Nikt nie zrobi ci krzywdy!

—A Janek Dornau?

—Janek? Dlaczego?

—Może dlatego, że będzie zazdrosny o ciebie. Powiadasz przecież, że serdecznie cię pokochał.

—Janek nie zna uczucia zawiści. A w moim sercu jest dość miejsca dla was obojga. Możesz być spokojna.

—Ach, Luteczku, jestem bardzo niemądrym stworzeniem. Ale dam sobie jakoś radę.

—Jestem przekonany, Dolo.

Dolo pojechała po raz ostatni do Inez Hermados, żeby się z nią pożegnać.

Smutne było to pożegnanie. Inez i Dolo przyrzekły sobie dozgonną przyjaźń i obiecały, że będą często pisywać do siebie.

Dolores żegnała się również ze łzami w oczach z Boni, Joni i Pedrem. Służba rzewnie płakała. Wreszcie Ludwik położył kres temu pożegnaniu i dał energiczne polecenie, aby samochód zajechał.

Duże kufry wysłano już poprzedniego dnia do portu. Ojciec i córka mieli ze sobą tylko bagaż ręczny. Po drodze zajechano jeszcze do Angeli, gdzie pożegnano się z nią i jej rodzicami. Przyjaciółki żegnały się także wśród łez. Mimo to Angela spoglądała z zawiścią na Dolores.

Dwa dni zatrzymano się w Rio de Janeiro. Dopiero po dwóch dniach udano się na pokład okrętu, który wyruszał do Hamburga.

***

Dolores była po raz trzeci w Rio de Janeiro. Jak zazwyczaj, oszałamiał ją ruch wielkiego miasta. Ludwik pojechał z córką do wspaniałego ogrodu botanicznego i pokazał jej wiele nowych, pięknych dzielnic.

Następnie pojechano do sklepów po sprawunki. Dolores musiała zakupić dla siebie całą wyprawę. W Armadzie ubierała się zawsze w luźne białe szaty, albo też w strój do konnej jazdy. W Rio de Janeiro spostrzegła, że inne panie są ubrane bardzo modnie i elegancko. Nie chciała się od nich różnić.

Wybrała więc sobie kilkanaście eleganckich sukien, płaszczyków i kostiumów.

Miała bardzo dobry gust i wyczuwała, w czym będzie jej do twarzy. Ponieważ miała doskonałą figurę, więc łatwo było dobrać dla niej stosowne stroje.

Ludwik z dumą spoglądał na swoją śliczną córeczkę, która tak pięknie wyglądała w modnych sukniach.

Na okręcie Ludwik opłacił specjalnie pracownicę, aby zawsze była na usługi Dolores. Boni i Joni rozpieściły ogromnie swoją młodą panią. Nie potrafiła nawet sama włożyć pończoch. Później jednak nauczyła się tego. Nie chciała trudzić zawsze posługaczki okrętowej, która musiała przecież usługiwać także innym paniom.

— To przecież nie sztuka, trzeba tylko uważać — powiedziała do niej — Zacznę się ubierać sama. Nie chcę panience zabierać tyle czasu.

Kobieta jednak polubiła ogromnie Dolores i to nie tylko przez wzgląd na hojne napiwki. Powiedziała, że dla niej zawsze znajdzie czas.

Dolores jednak starała się nie korzystać z jej usług przy ubieraniu, ponieważ ta czynność zaczęła ją bawić. Ubierała się sama i to bardzo prędko. Z fryzurą nie miała wcale trudności. Jej krótkie kasztanowate loki układały się w naturalne fale, gdy się je tylko dobrze wy szczotkowało. A w żadnym uczesaniu nie mogło jej być bardziej do twarzy, jak w tych krótkich jedwabistych lokach, które okalały jej uroczą twarzyczkę.

Życie na okręcie podobało się Dolores. Wszystko było dla niej zupełnie nowe.

Ona i jej ojciec wzbudzali powszechne zainteresowanie. Panie starały się o względy Ludwika Rodenberga. Niejedna pragnęła z nim nawiązać mały flircik. On jednak był dla wszystkich uprzejmy i rycerski, lecz unikał bliższej znajomości.

Wszyscy mężczyźni ubiegali się o względy Dolores. Podziwiano ją, gdy spacerowała na pokładzie ze swoim ojcem, lub gdy się gimnastykowała na pokładzie sportowym. Panie również starały się ją poznać, Dolores czuła się często skrępowana ich uprzejmością, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Pewnego dnia rzekła do ojca:

—To na pewno są wszystko bardzo dobrzy ludzie. Nie wiem, czym zasłużyłam na ich uprzejmość. A co najgorsze, że niektórych pasażerów bardzo nie lubię. Wstydzę się tego, bo to niewdzięczność z mojej strony, lecz nie potrafię ich polubić.

—Bądź tylko dla wszystkich uprzejma, Dolo. Nawet dla tych, których nie lubisz. Później nauczysz się poznawać ludzi i oceniać ich wartość.

Podróż przeszła nadspodziewanie pomyślnie. Ludwik cieszył się, że zbliżają się do celu. Pragnął już rozpocząć swoją pracę w fabryce. A przede wszystkim pragnął, aby jego mała Dolo dostała się wreszcie pod opiekuńcze skrzydła Ewy-Marii.

I oto pewnego dnia okręt zawinął do Cuxhaven. Ludwik zatrzymał się kilka dni w Hamburgu. Stamtąd zatelegrafował do domu, żeby zawiadomić krewnych o przyjeździe do kraju.

***

Ewa-Maria Dornau i jej brat Janek szli przez las, zmierzając ku willi Melanii. Był to piękny, duży budynek z piaskowca, otoczony wspaniałym ogrodem. Za ogrodem ciągnęły się łąki, dalej zaś gęsty, duży las.

Jerzy Rodenberg, ojciec Ludwika kazał wybudować tę willę dla swojej młodszej córki Melanii. Otrzymała ją od niego jako ślubny prezent. Willa została wybudowana w tym samym stylu, co willa Rodenbergów, położona na wzgórzu, w pobliżu fabryki. Tę drugą willę stary pan Rodenberg zapisał swoim wnukom, Ewie-Marii i Jankowi.

Obecnie willa Melanii należała do Ludwika Rodenberga, który odkupił ją od swej siostry. Pani Melania Mertens wciąż jeszcze szczerze opłakiwała swego zmarłego męża. Ona jedna nie znała go i nie wiedziała, jak zbrodnicze instynkty drzemały w jego duszy.

Oswoiła się już z myślą, że będzie prowadzić swemu bratu dom i opiekować się jego pasierbicą. Była z tego nawet zadowolona. Musiała mieć jakieś zajęcie, żeby wypełnić pustkę w swoim życiu. Jej syn Egon studiował w Berlinie, a córka wkrótce już miała wyjść za mąż i wyjechać z mężem do Frankfurtu nad Menem. Czułaby się bardzo opuszczona i niepotrzebna, toteż chętnie zgodziła się na propozycję brata.

Na razie zajęła kilka pokoi na pierwszym piętrze, które urządziła dla siebie i dla córki. Najpiękniejsze i najkosztowniejsze meble zostały już wysłane do Frankfurtu i miały być później przewiezione do mieszkania jej córki Jolanty. Pozostałe sprzęty, zapakowane w skrzyniach, stały w spichrzu. Pani Melania przeznaczyła je dla swego syna.

Inne pokoje w willi zostały urządzone według wskazówek Ludwika Rodenberga. Wczoraj właśnie dekoratorzy skończyli swoją pracę. Pani Melania zatelefonowała więc do Ewy-Marii i Janka, prosząc ich, aby przyszli obejrzeć willę.

Rodzeństwo wyruszyło więc po południu do ciotki. Ewa-Maria wiedziała, że w willi Melanii spotka swego narzeczonego. Była to niedziela, więc fabryka świętowała.

Cała rodzina miała wypić herbatę u ciotki Melanii, kolację zaś zjeść w willi Rodenberg. Od czasu śmierci Artura Mertensa rodzina więcej obcowała ze sobą. Więzy rodzinne zacieśniły się.

Po drodze rodzeństwo spotkało Jolantę. Jolanta od czasu, gdy się zaręczyła, zmieniła się na korzyść. Przytyła trochę, stała się bardziej kobiecą. Zapuściła także włosy, które teraz w miękkich lokach okalały jej oryginalną-twarzyczkę. Jej ciemne oczy nabrały tkliwego blasku.

Zarówno ona jak i Ewa-Maria były w żałobie. Ewa-Maria nosiła jeszcze żałobę po ukochanym dziadku. Jolanta w czarnej sukni nie wyglądała tak korzystnie, jak jej kuzynka. Blondynkom bardziej jest do twarzy w czarnym kolorze niż brunetkom. Jednakże i Jolanta była bardzo przystojną i zgrabną dziewczyną, chociaż nie tak ładną jak Ewa-Maria.

Już z daleka zawołała do rodzeństwa:

— Dobrze, że przychodzicie, stęskniłam się za wami.

—Och, Jo, gdyby mi ktoś powiedział, przed rokiem, że się stęsknisz za nami! — zaśmiał się Janek Dornau.

—Tak, Janku, przecież między nami nastąpiła wreszcie zgoda! Zdaje się, że byłam bardzo niedobra i to nie tylko dla ciebie, ale i dla Ewy-Marii. Przyrzekłam jednak poprawę.

—I dotrzymałaś słowa. Dzień dobry, Jo! — rzekła Ewa-Maria, całując kuzynkę.

—Ależ, Janku, masz wspaniałą fryzurę — zwróciła się Jo do kuzyna — Gdzież się podziała twoja rozwichrzona czupryna?

—To wasz wpływ. Nie dawałyście mi przecież spokoju. Czy jesteś zadowolona?

—Nadzwyczajnie. Wyglądasz nareszcie jak ucywilizowany Europejczyk.

— Czy w willi Melanii wszystko gotowe? — spytała Ewa-Maria.

—Wszyściuteńko. Rada jestem, że nareszcie rzemieślnicy opuszczą nasz dom. Nie miało się chwili spokoju. Żałowałam mamy, która miała tak wiele roboty. A swoją drogą dzięki temu zamieszaniu mogła trochę zapomnieć o swoim smutku.

—Tak, Jo. Twoja matka wygląda teraz znacznie lepiej. Dziwię się nawet temu. A jednak mam wrażenie, że ciocia czuje się lepiej i — jakby to powiedzieć — swobodniej.

Jolanta zmarszczyła czoło, a wargi jej boleśnie zadrgały.

—Wiecie, co mi się zdaje? Że za życia ojca mama znajdowała się jakby w stanie hipnozy. Ojciec wywierał na nią zgubny wpływ. Teraz odetchnęła.

Ewa-Maria i Janek spojrzeli z przestrachem na kuzynkę. Nie mogli się zdobyć na odpowiedź. Wreszcie Jolanta powiedziała stłumionym głosem:

—Czemu milczycie? Mam naprawdę wrażenie, że moja matka zbudziła się z hipnozy. Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć jej uwielbienia dla ojca. Lepiej co prawda nie mówić o tym, skoro ojciec już nie żyje. Ale ja czuję, że musiał popełnić coś niewłaściwego. Dlatego wuj Ludwik usunął go z fabryki. Czy nie możecie mi powiedzieć, dlaczego to uczynił?

—Kochana Jo, nie dręcz się takimi myślami. Twój ojciec nie żyje, wszystko więc zostało pogrzebane i zapomniane. A ty, jako jego córka, nie powinnaś zastanawiać się nad tym. Umarłym wybacza się wszystko.

—A jednak muszę wciąż o tym myśleć. Chciałabym wiedzieć, dlaczego ojciec wywierał taki wpływ na mamę, a także i na dziadka. Dziadek również miał ogromne zaufanie do mego ojca. Egon i ja łamaliśmy sobie nieraz głowę, dlaczego ojciec przeprowadzał zawsze swoją wolę, a mama słuchała go, nawet wtedy, gdy było to wbrew jej przekonaniu. A później, jeszcze przed śmiercią ojca? Coś musiało przecież zajść, prawda? Dlaczego wuj Ludwik wysłał nas do St. Moritz? Dlaczego zależało mu na tym, żeby mama pozostała tam jak najdłużej? Dlaczego wuj Ludwik nie chciał bywać u nas za życia ojca?

—Droga Jo, dajmy na to, że twój ojciec naprawdę postąpił niewłaściwie. Nie możemy jednak ani twojej matce, ani tobie powiedzieć prawdy. I nie powinnaś myśleć o tej sprawie. Myśl lepiej o twoim Heniu. Ty go kochasz, a on ciebie, pobierzecie się już wkrótce i będziecie szczęśliwi. Ta miłość uczyniła cię przecież lepszą, bardziej tkliwą. Przestań dociekać, zwłaszcza, że to wszystko należy już

do przeszłości. I nie wspominaj Heniowi, że cię te sprawy niepokoją... — mówiła łagodnie Ewa-Maria.

Jolanta spojrzała teraz na Janka, który miał bardzo zmieszaną minę.

—Wiem, że macie rację i że pragniecie mego dobra. A jednak czuję, że mój ojciec zawinił. I chociaż swoją tragiczną śmiercią odkupił wszystkie winy, to jednak dręczy mnie ta niepewność...

—Przestań się tym dręczyć i przebacz twemu ojcu. Przecież mimo wszystko twoja matka była z nim szczęśliwa.

—A poza tym, ta jego „wina" — to było naprawdę głupstwo.

Nie warto mówić o tym — rzekł Janek. Za nic w świecie nie byłby powiedział kuzynce, na czym polegała wina jej ojca.

Ewa-Maria skinęła głową i z wdzięcznością spojrzała na brata. Przecież Artur Mertens uknuł zamach na jego życie... I to nie raz, ale trzykrotnie godził na życie Janka. Janek jednak był szlachetnym chłopcem i potrafił milczeć. Ewa-Maria była bardzo dumna ze swego brata.

Jolanta spojrzała badawczo na kuzyna.

—Naprawdę? Chodziło tylko o drobiazg? I dlatego wuj Ludwik usunął go z fabryki?

—Gadasz głupstwa, Jo. Wuj wcale nie chciał go usunąć. Twój ojciec wystąpił dobrowolnie. Poróżnili się o jakiś drobiazg. A teraz przestań już, bo zepsuję sobie moją piękną fryzurę.

Janek dopiął swego. Jolanta roześmiała się. Uwierzyła zupełnie Jankowi.

—Dziękuję ci, Janku, że wybiłeś mi te myśli z głowy. Uspokoiłam się i zapomnę o tym.

W dobrym nastroju przybyli do willi Melanii. Maj przystroił lasy i łąki młodą zielenią. Kwiaty cudnie pachniały. W ogrodzie przed willą unosiła się słodka woń z klombów. Na środkowym, największym klombie jaśniało słowo: „Witajcie!" z różowych wiosennych kwiatów.

Na tarasie stała niska niepozorna pani Melania Mertens. Miała na sobie czarną żałobną suknię. W ciągu ostatnich miesięcy posiwiała i wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

Janek wbiegł na schody i zbliżył się do ciotki.

— Jak się miewasz cioteczko? — zapytał, całując jej rękę.

—Dobrze, Janku, dziękuję. A i ty wyglądasz dobrze. Ralf mówił mi, że dużo pracujesz. Cieszę się z tego.

Janek wiedział, że ciotce zdawało się przez pewien czas, iż on zaniedbuje się w pracy i prowadzi rozwiązłe życie. Artur Mertens oczernił Janka przed swoją żoną. Teraz pani Melania była przekonana, iż Janek stał się solidnym chłopcem. Cieszyła się z tego, bo serdecznie kochała dzieci swojej zmarłej siostry.

Ewa-Maria serdecznie uściskała ciotkę.

— Przybyliśmy obejrzeć nowe urządzenie willi, cioteczko.

—To bardzo dobrze. Jestem pewna że wam się wszystko spodoba. Ludwik miał bardzo oryginalne pomysły, architekt zaś wykonał wszystko według jego wskazówek. Co prawda ten dom wydaje mi się teraz obcy, postaram się jednak przywyknąć do tego. Pozostaniemy tutaj z Ludwikiem aż do końca życia. Mój brat powiedział mi, że się już powtórnie nie ożeni.

—Szkoda — powiedziała Jo — wuj Ludwik jest stworzony, żeby dać szczęście kobiecie.

—Nie, Jo. My Rodenbergowie kochamy tylko raz w życiu, ale za to całym sercem. Nie starczyłoby nam miłości na drugi raz — rzekła pani Melania.

—A poza tym ty, ciociu, zastąpisz zupełnie twemu bratu panią domu — zauważył Janek — dobrze więc, że żadne z was nie wstąpi ponownie w związki małżeńskie.

—A Dolo zastąpi ci trochę córkę, gdy już Jolanta wyjdzie za mąż — dorzuciła Ewa-Maria.

—O nie, nikt nie zastąpi mi córki! Ale cieszę się jednak, że będę mieszkała z tą młodą dziewczyną. To tak przyjemnie czuć, że się jest potrzebną. A i ty, Ewo-Mario, pozostaniesz w pobliżu. Jestem pewna, że nawet i w szczęściu małżeńskim nie zapomnisz o twojej starej ciotce.

—Naturalnie, że nie, kochana ciociu.

—A gdzież jest twój narzeczony?

W tej chwili zabrzmiały na schodach kroki, a po chwili wszedł na taras Ralf Bernd. Powitał ciotkę Melanię, później zaś podszedł do narzeczonej i ucałował ją. Następnie uścisnął rękę Jolanty i Janka. Ralf Bernd żył teraz z Jolantą w wielkiej przyjaźni.

Wszyscy weszli do wnętrza domu i zaczęli oglądać nowo urządzone pokoje. Architekt stworzył prawdziwe arcydzieło. Zarówno salony towarzyskie na parterze, jak i apartamenty pana domu urządzone zostały z wielką prostotą, lecz bardzo wytwornie. Tylko pokoje Dolores utrzymane były w jasnych barwach, jak to przystało dla młodej panienki.

Janek Dornau z dziwnym uczuciem przestępował próg tych apartamentów. Przystanął na progu i nie miał odwagi stąpać po puszystym smyrneńskim dywanie, zaścielającym posadzkę saloniku. W sypialni Dolores leżała przed łóżkiem duża biała skóra. Zdawała się czekać na drobne stopki swojej przyszłej właścicielki. Janek zdążył jeszcze zobaczyć białą gotowalnię, tonącą w puchach koronek, przytrzymywanych niebieskimi kokardami. Wielkie ruchome lustro będzie odbijać jej postać. A na tej białej skórze będą stały jej pantofelki...

Krew nabiegła mu do twarzy, oddychał z trudem. Nikt nie domyślał się, z jakim niepokojem Janek oczekiwał przybycia Dolores Vanzity.

Wszystkim podobało się bardzo urządzenie willi. Ewa-Maria rozmawiała z Jolantą o urządzeniu jej przyszłego mieszkania we Frankfurcie. Jo wiedziała, że jej narzeczony wynajął już duże mieszkanie. Ponieważ miała otrzymać do wyprawy meble, lustra i dywany z rodzicielskiego domu, więc sądziła, że przywyknie szybko do nowego otoczenia.

Wkrótce potem pani Melania kazała podać herbatę. Wszyscy zasiedli na tarasie. Rozmawiano wiele o Ludwiku Rodenbergu i jego pasierbicy.

— Kiedy przyjadą ciociu? — zapytała Ewa-Maria.

—Wiem, że ich okręt zawija dwudziestego maja do Hamburga. Spodziewam się, że mój brat zawiadomi mnie telegraficznie o swoim przyjeździe.

Po herbacie cała rodzina udała się do willi Rodenbergów. Janek i Jo prowadzili między sobą panią Melanię. Ewa-Maria szła pod rękę ze swoim narzeczonym. Opowiadała mu o rozmowie z Jolantą i o myślach, które dręczyły jej kuzynkę.

—Nie sądziłem nigdy, że Jolanta jest tak subtelna i głęboka. Uważałem ją zawsze za bardzo płytką dziewczynę — rzekł Ralf. Wszyscy sądziliśmy fałszywie.

—Jo nigdy nie chciała nikomu okazać, jak ciężko jest jej na duszy.

—Ty jedna twierdziłaś zawsze, że nie jest tak zła, jak się wydaje.

—Dlatego, że ja jedna starałam się głębiej wniknąć w jej duszę. Największy wpływ miał na nią jednak wuj Ludwik. Wyobraź sobie, Jo myślała, że jej ojciec działał na matkę za pomocą hipnozy.

—Może się nie myli. Ciocia Melania jest słabą istotą, a Mertens miał silną wolę. Nie rozumiem tylko, czemu potrafił także mieć wpływ na twego dziadka, który był przecież bardzo rozumnym i jasno myślącym człowiekiem. Nie mówmy jednak już o tych sprawach, Ewo-Mario. Chwała Bogu, z naszego życia pierzchły wszelkie cienie.

— Tak, Ralfie.

Zaczęli znowu mówić o sobie i o swojej miłości. Droga do willi Rodenbergów wydawała im się bardzo krótka: nie zdążyli wyczerpać tego tematu.

***

Ludwik Rodenberg zatelegrafował z Hamburga, że przybywa następnego dnia. Prosił, aby przysłać mu samochód na dworzec.

Pani Melania zawiadomiła natychmiast siostrzeńców. Zapanował ruch i wielkie zdenerwowanie. Jolanta wczesnym rankiem napełniała wszystkie wazony świeżymi kwiatami. Ewa-Maria przyszła pomagać kuzynce. Poprzedniego wieczoru wylosowano, kto pojedzie na kolej po wuja Ludwika i jego pasierbicę.

—Wszyscy nie mogą przecież pojechać na dworzec — orzekła Jolanta.

Los padł na Janka. Chłopiec czuł się jak zwycięzca, choć nie chciał się do tego przyznać. Cieszył się, a zarazem doznawał lekkiego niepokoju. Tak, lękał się tego pierwszego spotkania z Dolores Vanzita.

—Głupi jestem — myślał — cóż to, będę się bał takiej małej dziewczynki?

O czym będzie z nią mówił? Przyjeżdża wprost z jakiegoś dzikiego kraju i pewno nie można z nią zamienić jednego słowa. A może w ogóle nie umie po niemiecku? Wuj wspominał, że w Armadzie wszyscy mówią po portugalsku. Co to będzie, jeżeli Dolores zna tylko język portugalski?

Przed wyjściem zwrócił się z tą wątpliwością do siostry.

—Ewo-Mario? Czy ta Dolores mówi tylko po portugalsku? Jakże ja się z nią porozumiem? Znam tylko angielski i francuski...

Ewa-Maria roześmiała się.

— Ależ, Janku, co ty sobie myślisz! Przecież matka Dolores była Niemką, jej ojczym jest Niemcem, będzie więc umiała porozumieć się po niemiecku.

Janek odetchnął z ulgą.

—Mam nadzieję, że tak będzie. Byłoby to przecież bardzo nieprzyjemnie, gdyby mówiła tylko po portugalsku.

—Uważam to za wykluczone. Wuj Ludwik wspomniałby o tym. Ponieważ nic nie mówił, więc sądzę, że Dolores mówi po niemiecku. Cieszę się bardzo, że Dolo przyjedzie do nas, musi być zachwycającą istotą.

—Uważasz? — spytał Janek z udaną obojętnością.

—Naturalnie! A ty nie?

—Nie znam jej przecież wcale.

—Ale widziałeś jej fotografię, prawda?

—Tak... Ale cóż można wiedzieć po obejrzeniu fotografii...

—Mógłbyś się naprawdę bardziej zainteresować twoją nową kuzynką.

—Przepraszam, to moja przyrodnia kuzynka... Nie jesteśmy z nią spokrewnieni.

Ewa Maria nie domyślała się, że sprawa ta wydaje się Jankowi niezmiernie ważna. Spojrzała na niego zaniepokojona.

—Spodziewam się, że będziesz dla niej miły — powiedziała.

—Najpierw przekonam się, czy i ona będzie dla mnie miła.

—Ależ, Janku, nie zapominaj o tym, jak bardzo wuj Ludwik kocha swoją pasierbicę.

—No, to jeszcze nie dowód, że Dolores spodoba się nam wszystkim.

Ewa Maria spojrzała z wyrzutem na brata. Skąd się w nim nagle wzięła ta przekora. Był zawsze dla wszystkich miły i uprzejmy. A teraz nagle zaczyna się boczyć i to nie wiadomo dlaczego.

—Proszę cię, Janku, pomyśl o tym, że to biedne dziecko wychowywało się na odludziu. Na pewno jest bardzo nieśmiała i niezręczna. Jej całe towarzystwo to kolorowa służba i dwie przyjaciółki, wychowane również na pustkowiu. Musisz być rozsądnym i pobłażliwym. Spodziewam się, że nie zrobisz zmartwienia wujowi i mnie.

Będziesz uprzejmy i wyrozumiały dla Dolores.

— Nie jestem przecież ludożercą — burknął Janek.

Czuł się bardzo nieswojo. Wiedział z góry, że nie potrafi się zachowywać swobodnie w obecności tej dziewczyny, tej nowej kuzynki. Na pewno popełni tysiące głupstw. A ona będzie z niego drwiła... Kto wie, może jest kapryśnym, wymagającym i rozpieszczonym stworzeniem. A on nie ma przecież pojęcia, co uczynić, żeby jej zaimponować...

Myśli jego przerwał śmiech Ewy Marii.

—Nie, ludożercą nie jesteś, ale potrafisz być bardzo niegrzeczny. Przypominam sobie z przerażeniem, jaki szorstki bywałeś dawniej dla Jo.

—A ona? Była bardziej szorstka ode mnie. Teraz przecież jestem zawsze bardzo uprzejmy dla Jolanty.

—To prawda! Spodziewam się, że zaprzyjaźnisz się także z Dolores. Biedne dziecko, musi najpierw przywyknąć do nowego otoczenia. Musimy jej w tym pomóc.

—Tak, pomożemy jej. Ale na mnie już pora, za kilka chwil wyruszam.

Janek udał się do swego pokoju, żeby się przebrać. Gdy żegnał * się z siostrą, Ewa Maria podała mu dużą wiązankę kwiatów.

—Masz, Janku, byłbyś zapomniał o tym... Zdumiony spojrzał na kwiaty.

—A co ja mam z tym zrobić?

—Ależ, Janku, młodzieniec, który idzie na dworzec po młodą panienkę, musi jej przynieść kwiaty na powitanie.

—Naprawdę nie pomyślałem o tym. Dziękuję ci, Ewo-Mario, ty zawsze pamiętasz o wszystkim.

Janek ucałował siostrę i wyszedł.

***

W pół godziny później stał na peronie, trzymając w ręku wiązankę. Przez cały czas myślał o tym, co powie na powitanie tej nieznanej kuzynce. Doznawał uczucia, że się na pewno zblamuje, a to pogarszało jeszcze jego zły humor.

Wreszcie pociąg nadjechał. Janek ujrzał w jednym z okien wuja Ludwika, obok niego zaś jakąś szczupłą panienkę. Musiała to być zapewne Dolores Vanzita. Po chwili pociąg zatrzymał się, wuj Ludwik wyszedł z wagonu i pomógł wysiąść swojej pasierbicy. Janek spojrzał na Dolores, a serce jego zabiło mocno. Zdjął kapelusz, ukłonił się i podał jej kwiaty.

—Witaj nam — powiedział — serdeczne pozdrowienia od wszystkich.

Następnie ujął jej drobną rączkę, którą nieśmiało wyciągnęła do niego. Jankowi zdawało się, że jeszcze nigdy nie ściskał tak malutkiej, miłej rączki.

—Luteczku, czy to mój kuzyn Janek? — zapytała Dolores po niemiecku. Mówiła zupełnie dobrze, z lekkim tylko cudzoziemskim akcentem.

Teraz dopiero Janek przyjrzał się jej dokładnie. Urzekły go od razu jej wielkie brązowe oczy, w których przemykały się złote iskierki. Zdawało się, że w oczach tych zostały uwięzione promienie słońca. Stał bez ruchu i wpatrywał się w nią swymi błękitnymi oczyma. Zmieszanie jego udzieliło się Dolores. Zarumieniła się pod wpływem spojrzenia Janka. Miał takie same oczy jak Luteczek, lecz patrzył na nią z zupełnie innym wyrazem. Oboje ocknęli się z zadumy, gdy Ludwik Rodenberg odpowiedział ze śmiechem:

—Ma się rozumieć, że to Janek. Czy nie poznajesz go po podobieństwie do mnie?

—Tak, Luteczku. Widziałam przecież jego fotografię. Dziękuję ci, Janku, za te śliczne kwiaty. O, jakie są świeże. U nas w Brazylii cięte kwiaty zaraz więdną.

—Te kwiaty dała mi dla ciebie Ewa-Maria — powiedział szczerze.

—Ach, jak to miło z jej strony!

—Wszyscy cieszą się bardzo z twego przyjazdu, Dolores.

—O, ja się także cieszę, że ich poznam. Obawiam się tylko, czy mnie polubią. Proszę cię jednak, nazywaj mnie Dolo. Tak nazywa mnie Luteczek.

—Dobrze, Dolo. A czy cię polubią? Ależ to nie ulega wątpliwości, polubią cię na pewno!

Uśmiechnęła się do niego.

— Będę się bardzo starała, żeby się wam wszystkim spodobać.

Otworzył już usta, żeby zapytać: „Czy mnie także?", powstrzymał się jednak i powiedział prędko:

— A teraz chodźcie, auto już czeka. Wszyscy nie mogli przyjechać na stację, więc ciągnęliśmy losy. Ja miałem to szczęście i dlatego przybyłem po was na dworzec.

Dolores ucieszyła się bardzo, słysząc te słowa „Miałem szczęście!", powiedział Janek, bo na niego padł los i mógł przyjechać po nią na dworzec. Słowa te brzmiały w uszach dziewczyny jak najpiękniejsze powitanie.

— Nie spodziewaliśmy się wcale, że zastaniemy kogoś na dworcu — rzekł pan Ludwik.

— A gdzie wasz bagaż? Czy to już wszystko? — spytał Janek, biorąc z rąk Dolo jej mały neseser.

— Walizek nie mamy wcale, ale za to dużo wielkiego bagażu.

— Przypuszczałem, że tak będzie, toteż poleciłem, aby z fabryki przysłano na dworzec samochód ciężarowy.

— To doskonały pomysł, Janku. Będziemy mogli zaraz zabrać nasze kufry.

— Tak, wuju, daj mi tylko kwit bagażowy. Ludwik Rodenberg wręczył mu kwit.

— Otrzymamy później jeszcze kilka przesyłek. Na razie mamy tylko sześć kufrów. Nie dziw się temu, przecież przeprowadzamy się na nowe mieszkanie.

— Tak, wuju.

Janek pomógł Dolo i wujowi wsiąść do samochodu. Następnie przeprosił ich i oddał kwit bagażowy szoferowi samochodu ciężarowego. Później powrócił i wsiadł również do auta. Siedział naprzeciwko Dolores i czuł się dziwnie uszczęśliwiony.

—Czy mieliście dobrą podróż? — zapytał Janek.

—Dziękuję, pogoda nam sprzyjała — odparł Ludwik.

—Obawiałem się bardzo, że Dolo nie umie mówić po niemiecku. Zastanawiałem się, jak będziemy się z nią mogli porozumieć. Cieszę się bardzo, że mówi tak dobrze.

Dolo roześmiała się serdecznie. Ona cieszyła się, że ten duży chłopiec, ten nowy kuzyn jest miły, że się jej podoba i że nie ma powodu, aby się go bać.

—Ja się także cieszę, że znam język niemiecki, inaczej nie potrafiłabym rozmawiać z wami.

—Czy znasz jeszcze inne języki oprócz niemieckiego i portugalskiego?

—Znam trochę angielski i francuski, ale nie bardzo. A ty, czy znasz jakieś obce języki, oprócz niemieckiego?

—Mówię płynnie po angielsku, ponieważ wprawiam się stale z Ewą Marią. Francuski znam bardzo słabo. Ewa-Maria mówi doskonale po francusku, bo skończyła pensję w Genewie.

Ludwik Rodenberg z radosnym uśmiechem spoglądał na młodych ludzi. Zauważył, że spoglądają na siebie z upodobaniem, że Janek blednie, a Dolores rumieni się. Wtedy przez głowę przemknęła mu myśl, która go zachwyciła.

Dolo i Janek! Tak, gdyby się pobrali... Cieszyłby się z tego całym sercem... Nie, nie powinien myśleć o tym, to przecież jeszcze dzieci. Wiele lat upłynie, zanim będą mogli pomyśleć o małżeństwie. Gdyby jednak los tak zechciał, wtedy... Ach, to byłoby cudownie...

—Luteczku!

Głos Dolo zbudził go z zadumy.

—Czego chcesz, Dolo?

—To doprawdy aż dziwne, jak kuzyn Janek jest podobny do ciebie.

—A widzisz, mówiłem ci przecież.

—I nie przesadziłeś wcale. Trzyma się nawet tak jak ty, tak samo marszczy czoło, a brwi ma zupełnie tak samo zarysowane. Brak mu tylko blizny.

Badawcze spojrzenie Dolores wprawiło Janka w ogromne zmieszanie. Nikt jeszcze nie patrzył w ten sposób na niego. I nigdy jeszcze nie widział takich oczu, jakie miała Dolores. Miał wrażenie, że spojrzenie ich przenika w głąb jego serca. Urzekła go tymi oczyma, a jednak nie pragnął wcale wyzwolić się spod ich uroku.

Droga wydawała mu się bardzo krótką. Przestraszył się niemal, gdy samochód stanął przed willą.

Na tarasie stali wszyscy członkowie rodziny, żeby powitać przybyłych. Janek pierwszy wyskoczył z samochodu i podał rękę Dolores. Wuj Ludwik wprowadził ją na ganek, aby ją przedstawić całej rodzinie. Janek tymczasem wręczył jednemu ze służących kwiaty i polecił wstawić je do wody.

Wszyscy bardzo serdecznie powitali Dolores. Czuła, że ją wszyscy pokochają. Najbardziej spodobała się jej Ewa-Maria. Gdy Ewa--Maria przytuliła ją do siebie, Dolores szepnęła:

—Ciebie bardzo kocham.

—Ja także kocham cię, Dolo, całym sercem. Będziemy na pewno przyjaciółkami.

I jeszcze raz ucałowały się serdecznie.

Janek z dziwnym uczuciem spoglądał na to powitanie. Po raz pierwszy w życiu zazdrościł czegoś swojej siostrze. Jolanta z uśmiechem podała Dolo rękę.

—Cieszę się, że przyjechałaś, droga Dolores.

—Ty jesteś Jolanta, prawda?

—Tak, ale nazywaj mnie Jo.

—A ty nazywaj mnie Dolo.

Dolo z pewnym zmieszaniem zbliżyła się do cioci Melanii. Oto jest ta surowa pani, która będzie z nimi siedziała przy stole, która nie zostawi jej samej ani na

chwilę. Gdy jednak Dolo spojrzała w dobrotliwe oczy pani Melanii, przestała Się jej lękać. Ucałowała ciotkę i rzekła z prośbą w głosie:

—Droga ciociu, proszę cię o trochę cierpliwości. Postaram się postępować zawsze tak, żebyś była ze mnie zadowolona. A ty postaraj się mnie trochę pokochać...

—Ach, ty słodkie dziecko, któż by ciebie nie kochał! — zawołała rozczulona pani Melania i ucałowała ją tkliwie.

Janek niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Nie podobało mu się wcale, że wszyscy pieszczą i całują Dolores. Teraz zbliżył się do niej Ralf. No, jeżeli i ten pocałuje ją, wówczas...

Nie wiedział, co wtedy nastąpi, po raz pierwszy jednak poczuł żal do swego przyszłego szwagra. Jeżeli Ralf pocałuje Dolo, on — Janek — zacznie go uważać za swego śmiertelnego wroga. I Janek zaczął żałować, że będąc na dworcu nie pocałował Dolo. Jest przecież jej kuzynem i miałby do tego prawo.

Na szczęście Ralf uścisnął tylko jej rękę. Janek odetchnął z ulgą i przestał nienawidzić Ralfa. Mimo to żałował w dalszym ciągu, że nie pocałował Dolo.

W ciągu następnych dni nie przestawał o niej myśleć. I wciąż wyobrażał sobie jakby to było, gdyby ją uściskał i pocałował...

Ewa-Maria i Jolanta zaprowadziły Dolo do jej pokoju. Dolores była zachwycona swoim nowym mieszkaniem. Z wielkim ożywieniem rozmawiała z kuzynkami.

—Zwracajcie mi uwagę, jeżeli będę niewłaściwie postępować. Wiem, że muszę się jeszcze wiele nauczyć. Na okręcie starałam się tak zachowywać, jak inne panie, ale Luteczek powiada, że nie zawsze należało je naśladować. Luteczek mówił, żebym tylko z was brała przykład...

Chciała powiedzieć: „Żebym sobie brała przykład z Ewy-Marii", lecz nie chciała urazić Jolanty. Jolanta roześmiała się.

—Wiesz, nie radzę ci brać przykładu ze mnie. Naśladuj lepiej Ewę-Marię, to znacznie pewniejsze.

Ewa-Maria i Jolanta pozostawiły Dolores samą.

Później cała rodzina zasiadła na tarasie. Przy herbacie wszyscy na wyścigi rozpieszczali Dolores. Wszyscy byli nią zachwyceni. Ona nie dziwiła się temu. Przywykła, że wszyscy ludzie okazywali jej życzliwość.

Dolo rozmawiała z ożywieniem, opowiadała o swoich wrażeniach z podróży. Oczarowała wszystkich swoim wdziękiem, najbardziej jednak Janka. Słuchał z rozkoszą jej melodyjnego głosiku, stwierdzając w duchu, że jej cudzoziemska wymowa stanowi szczególny urok. Nie rozmawiali ze sobą, lecz oczy ich spotykały się co chwila.

Janek byłby najchętniej nie odrywał od niej oczu. Myślał, że mógłby jej tak słuchać aż do świtu. Wydawała mu się podobna do jakiegoś egzotycznego cudnego kwiatu. Cieszył się całym sercem, że przyjechała.

***

Dolo przywykła bardzo prędko do nowego otoczenia, znacznie prędzej, niż się tego spodziewała. Umiała się łatwo przystosować do zmienionych warunków, a przy tym wszyscy starali się jej ułatwić zadanie.

Miała teraz już na swoje usługi pokojówkę, miłą, świeżą dziewczynę, zawsze czarno ubraną i w białym czepeczku na głowie. Dolo przyznawała w duchu, że nowa służąca jest o wiele zręczniejsza i inteligentniejsza od Joni i Boni. Dolo podbiła zresztą od razu serce swojej pokojówki.

Ojczym jej spędzał większą część dnia w fabryce, ona jednak nie czuła się samotną. Zawsze znajdował się ktoś, kto dotrzymywał jej towarzystwa. Najbardziej przywiązała się do Ewy-Marii. Do niej udawała się zawsze po radę w trudnych sytuacjach. Odwiedzała ją często w willi Rodenbergów. Zazwyczaj bywała tam przed południem, gdy Janek pracował w fabryce. Janek zawsze żałował później, że nie było go podczas odwiedzin Dolo.

Jolanta nie potrafiła postępować z Dolo. Uważała, że Dolores jest bardzo zabawna i niekiedy śmiała się z niej. Dolores nie znosiła jej drwiącego tonu. Czuła

się w takich razach bardzo dotknięta. Przecież Ewa-Maria nie wyśmiewa jej nigdy, lecz udziela jej zawsze dobrych rad.

Za to Dolores udzielała Ewie-Marii wskazówek podczas lekcji jazdy konnej. Ewa-Maria uczyła się od niedawna tej sztuki. Dostała od wuja łagodnego i spokojnego wierzchowca. Ludwik Rodenberg kupił również dwa konie dla siebie i dla Dolores, lecz były to bardzo ogniste rumaki. Nabył również wierzchowca dla Ralfa Bernda.

Każdego ranka wyjeżdżano konno. Przejażdżki te nie mogły zastąpić Dolores szalonego pędu po szerokich stepach. Nie było tu takich przestrzeni. Wyjeżdżano przeważnie do pobliskiego lasu, albo też w góry.

Janek zawsze brał udział w tych wycieczkach. Najbardziej lubił, gdy Dolores jeździła z nim sama. Załatwiał wiele spraw dla fabryki i musiał jeździć po okolicy. Dolores towarzyszyła mu bardzo często.

Dolo powiedziała mu raz, że bardzo dobrze trzyma się na siodle; był niezmiernie dumny i szczęśliwy z tej pochwały.

Pewnego dnia pojechali razem w góry. Musiał odwiedzić kilku robotników, aby wydać im rozmaite zlecenia. W ciągu kilku godzin oboje nie schodzili z siodła. Dolo i tutaj poznała dobrze życie robotników i zaprzyjaźniła się z ich dziećmi. Razem z Ewą-Marią odwiedzała rodziny robotnicze, a wszystkie dzieci znały ją i lubiły, bo umiała się z nimi bawić. Nawet drwale, zamieszkali w garach, ludzie szorstcy i surowi, uśmiechali się do niej. W powrotnej drodze Dolo rzekła do Janka:

—Dziś przynajmniej opłaciło się dosiąść konia.

—Czy ty nigdy nie męczysz się po tak długiej jeździe?

—Męczyć się? O Janku, co też ty sobie myślisz! W Brazylii bardzo często nie zsiadałam z konia przez pięć godzin. Wy nie macie tu pojęcia o tamtejszych odległościach.

—Przecież mieliście samochód.

— Tak, ale tam dzień jest bardzo długi, podczas gdy tutaj zbiega jak jedna chwila. Gdy chciałam się spotkać z którąś z moich przyjaciółek, musiałam wstawać o świecie. Droga w jedną stronę trwała trzy godziny.

—Ale chyba nie jeździłaś sama? — zapytał.

—Przeciwnie, zupełnie sama.

—O mój Boże! A gdyby ci się przytrafiło coś złego?

—Cóż mi się tam mogło przytrafić? — spytała niefrasobliwie.

—Mogłaś na przykład spaść z konia.

—Och Janku — zaśmiała się — to niemożliwe. Umiem kierować moim wierzchowcem. Jeżeli chcesz, to pokażę ci kilka sztuczek na siodle.

—Nie, nie! Nie chcę na to patrzeć! — zawołał wzburzony — Dziwię się, że wuj Ludwik pozwalał ci na to.

—Przecież nic nie mogło mi tam grozić!

—A czy tam po drogach nie wałęsa się żadna hołota?

— Ani w polach ani też w górach. Nigdy nie spotkałam po drodze nieznajomego człowieka. A znajomi nie wyrządziliby mi krzywdy.

—A dzikie zwierzęta?

—Niekiedy widywało się tylko jaguary.

— Ach, jaguary... Czy zdarzyło ci się kiedyś spotkać jaguara, gdy byłaś sama?

— Tak, dwa razy. Przebiegły obok mnie, a później uciekły spłoszone. Mój koń bał się, ale ja wcale. Miałam przecież rewolwer, nigdy nie jeździłam bez broni. A strzelam bardzo dobrze, Luteczek nauczył mnie. Nie lubię jednak zabijać zwierząt. Zresztą, jaguary rzadko kiedy napadają ludzi. A jeżeli się to zdarza to najczęściej
z winy ludzi. Trzeba wiedzieć, jak się należy obchodzić ze zwierzętami...

— Jesteś bardzo odważna, ale ja nie pozwoliłbym ci jeździć samej.

—A jednak to bardzo przyjemne, takie samotne przejażdżki. Czy ty nie czujesz tego, gdy sam jeździsz w góry?

—Tak, czuję. Powiedz mi, Dolo, a może tobie przeszkadza moje towarzystwo?

—Gdyby tak było, to bym ci to powiedziała.

— Naprawdę?

—Z całą pewnością!

—Przyrzeknij mi, Dolo, że mi powiesz, jeżeli zechcesz być sama.

— Daję ci słowo, że ci powiem.

— Ale dotychczas nie przeszkadzałem ci?

— Nie!

Oczy Janka zabłysły radością.

—To mnie cieszy, Dolo. W ogóle, cieszę się bardzo, że tu jesteś •fc nami.

—Ja także cieszę się, że tu przyjechałam.

—Tak? Czy ci się podoba u nas?

—O bardzo! Wszyscy są dla mnie tacy dobrzy, ciocia Melania i Jo i Ewa-Maria. Najbardziej kocham twoją siostrę. Wszystko co ona mówi i robi i myśli jest takie dobre i piękne. Zazdroszczę jej i chciałabym być taką jak ona.

—Ty? Ty przecież... ty jesteś... ty...

Zająknął się, a Dolo niecierpliwie czekała na dalszy ciąg tej przemowy. Ponieważ Janek wciąż milczał, więc westchnęła cichutko i rzekła po chwili:

—Wiem, wiem... Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

—Nie, nie, pozostań taką, jaką jesteś — powiedział prędko, nie patrząc na nią. Był zły, że mu się wymknęły te słowa.

Dolo ucieszyła się, lecz mimo to potrząsnęła głową.

— Nie, Janku, gdy patrzę na Ewę-Marię, wtedy sama widzę, jak wiele mam wad. Postaram się jednak poprawić, chciałabym, żeby Luteczek był ze mnie zadowolony.

— Czy nie jest z ciebie zadowolony? — zapytał Janek wojowniczo.

— Nie, jest. Nawet i wtedy, gdy robię rozmaite głupstwa. Przecież on mnie kocha.

— Więc dlaczego chcesz się jeszcze tyle nauczyć?

— Przecież ty także chcesz się jeszcze uczyć.
Janek wyprostował się na siodle.

— Ja to co innego. Ja jestem mężczyzną — oświadczył z dumą. Sądził, że jej bardzo zaimponuje tym powiedzeniem.

Dolores wprawdzie kilka dni temu posprzeczała się z Jolantą, ponieważ kuzynka odezwała się o Janku: „Przecież to smarkacz, ale nie mężczyzna!" Teraz jednak, widząc, że Janek „stawia" się, zaczęła się z niego śmiać.

— Będziesz dopiero kiedyś mężczyzną — powiedziała.

Janek zmarszczył czoło. Zabolały go te słowa. Pragnął przecież zaimponować czymś Dolores, a ona śmieje się z niego. I nie uważa go wcale za dorosłego mężczyznę. Nie wiedziała, jak bardzo uraziła Janka. Postanowił nie okazywać jej tego. Wzruszył ramionami i oznajmił jej z powagą:

— Wiesz, wyjadę już wkrótce do Charlottenburga. Wstępuję na politechnikę.

Dolo drgnęła i spojrzała z przestrachem na Janka.

— Wyjedziesz? Ty wyjedziesz?

— Tak! — skinął głową.

— Czego ty się chcesz jeszcze uczyć? Przecież umiesz tak wiele.

— Chcę zostać mężczyzną!

— Czy tego uczą na politechnice?

— Tego także.

Dolo mężnie pokonała swój smutek.

— Czy już wkrótce wyjedziesz?

— Na jesieni. Przez lato zostanę w domu.

— A na jak długo?

— Chyba na trzy lata. Mam nadzieję, że w ciągu tego czasu zdobędę dyplom. Mam dużą praktykę, muszę tylko nabyć trochę wiadomości teoretycznych. Tak powiada wuj Ludwik. On właśnie pragnie, żebym ukończył wyższe studia. No i ma słuszność.

— Pewno się bardzo cieszysz, że wyjedziesz? — spytała cichutko.

—Bardzo! — odparł przekornie,

—A... a... dlaczego się tak cieszysz? zapytała drżącym głosem.

—Janka bolało serce i wcale się nie cieszył, lecz nie chciał jej tego powiedzieć. Gotowa go jeszcze wyśmiać. On wcale przecież nie pragnął tego wyjazdu, lecz wuj Ludwik powiedział:

— W ciągu trzech lat możesz mieć dyplom. Dam ci listy polecające i będziesz mógł zdać egzamin na specjalnych warunkach. Umiesz dużo, Ralf był doskonałym nauczycielem. Lepiej żebyś miał tytuł inżyniera. To się zawsze może przydać.

Janek uznał to i pogodził się z losem. Wiedział, że wuj pragnie jego dobra.

—Dlaczego się cieszę? — rzekł — No, dlatego, że każdy mężczyzna musi raz w życiu wyruszyć w świat. Śmiałaś się, gdy ci powiedziałem, że jestem mężczyzną. Pragnę ci dowieść, że nim jestem.

—No tak. Dobrze, jedź sobie w świat, mnie jest wszystko jedno.

—Mnie także jest obojętne, że ty tutaj zostajesz.

Przez chwilę jechali w milczeniu obok siebie. Serca obojga przepełniała gorycz. Wreszcie Dolores rzekła cichutko:

—A swoją drogą... to mi troszeczkę żal, że wyjedziesz...

—Naprawdę? Przecież najchętniej jeździsz sama konno.

—Ale wolę z tobą.

Janek o mało nie krzyknął z radości. Uśmiechnął się, oczy jego zabłysły. Czuł, że powinien pocieszyć Dolores i odezwał się po chwili:

—Będę przecież przyjeżdżał do domu na wakacje.

—Tak? A ja sądziłam, że cię nie będzie przez całe trzy lata.

—O, nie! Będę w domu na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Zielone Świątki. A także na wielkie ferie, we wrześniu i październiku.

Dolores poweselała. Janek rozchmurzył się także. Oboje cieszyli się, że nastąpiła zgoda. Dolo pokazała Jankowi kilka trudnych sztuk na koniu, a on podziwiał jej umiejętności.

—Muszę ci jeszcze pokazać moje sztuki na nie osiodłanym koniu. Zobaczysz wtedy także, jak się zarzuca lasso. Czy nauczyć cię tego? To wielka przyjemność.

—Tak, chciałbym się tego nauczyć.

—Dobrze, dziś po południu rozpoczniemy naukę.

W doskonałych humorach powrócili do domu.

Janek rzeczywiście nauczył się zarzucać lasso. Posiadł tę sztukę bardzo prędko, ponieważ był doskonałym sportowcem. Wkrótce prześcignął swoją nauczycielkę. I byl z tego bardzo dumny, ponieważ chciał koniecznie okazać Dolo, że jest prawdziwym mężczyzną.

Na Zielone Świątki przyjechał do domu Egon, aby także poznać nareszcie Dolores. Był nią zachwycony, tak jak wszyscy. Zapominał o swojej „wyższości" i pogardzie dla kobiet, gdy spoglądała na niego swymi promiennymi oczyma.

Janek zauważył to, a w sercu jego zbudziła się zazdrość. Dolores była w obcowaniu z Egonem o wiele swobodniejsza, niż w obcowaniu z Jankiem. Działo

się to dlatego, że Egon był jej zupełnie obojętny. Janek nie wiedział o tym. Gdy Dolo uśmiechała się do jego kuzyna, gdy się z nim przekomarzała — serce jego pożerała zazdrość.

Egon chciał koniecznie zaimponować nowej krewnej. Nosił stale monokl i opowiadał jej wiele o swoich bohaterskich czynach. Należał do pewnej korporacji studenckiej i popisywał się jej hasłami.

Pewnego dnia jednak Dolores włożyła jego czapkę korporancką i zaczęła go tak doskonale przedrzeźniać, że wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Egon obraził się bardzo, Janek zaś był niezmiernie zadowolony. Teraz dopiero przekonał się, że Dolores nic sobie nie robi z Egona.

Próżność Egona została boleśnie zraniona. Jego zachwyt dla Dolores prędko zgasł. W duchu nazywał ją „głupią gęsią", chociaż nie śmiał wypowiedzieć tego na głos...

Później zwierzył się swojej siostrze, że Dolores jest niemądrą i źle wychowaną dziewczyną. Jolanta starała się 'bronić Dolo, zwłaszcza, że bawiła się doskonale, gdy Dolores przedrzeźniała jej brata. Egon był z niej bardzo niezadowolony i powiedział ze złością:

— Zmieniłaś się bardzo od czasu, gdy się zaręczyłaś. Dawniej miałaś więcej temperamentu. Teraz stałaś się; taką cnotliwą domową kwoczką, jak Ewa-Maria.

— Tak, Egonie, zmieniłam się. Możesz mi jednak wierzyć, że się teraz czuję o wiele lepiej, niż dawniej.

Egon wzruszył pogardliwie ramionami i oświadczył, że wszyscy jego krewni są ogromnie konserwatywni i zacofani. Wyjechał o kilka dni wcześniej, niż zamierzał.

Nikt, oprócz jego matki, nie żałował tego. Egon mało się zmienił. Pozostał płytkim i próżnym chłopcem.

W lipcu przyjechał Henryk Vollmer, narzeczony Jolanty. Zamieszkał w willi Rodenberg i został serdecznie przyjęty w szczupłym gronie rodzinnym. Henryk był sympatycznym, wesołym chłopcem. Kochał serdecznie Jolantę, ona zaś od-

wzajemniała jego miłość. Kochała go tkliwie i głęboko. Dawniej nikt nie spodziewałby się, że Jo jest zdolna do tak mocnych uczuć.

Obie pary narzeczonych układały gorliwie plany na przyszłość. Ustalono, że ślub odbędzie się piątego września. Kuzynki postanowiły, że ich ślub odbędzie się w tym samym dniu. Pani Melania z początku nie chciała się zgodzić, aby ślub jej córki odbył się tak wcześnie. We wrześniu skończy się wprawdzie żałoba po Jerzym Rodenbergu, lecz upłynie dopiero pół roku od zgonu Artura Mer-tensa.

Wszyscy jednak starali się namówić panią Melanię, aby nie zwlekała z terminem ślubu. Narzeczony Jolanty mieszkał w Frankfurcie i miał mało czasu, toteż odwiedzał ją rzadko. Poza tym Jolanta miała tylko prowizoryczne mieszkanie w willi Melanii i tęskniła za własnym domem.

Toteż wyznaczono termin ślubu na dzień piątego września. Pani Melania miała mnóstwo roboty, należało bowiem skończyć wyprawę dla obydwu narzeczonych. Okazało się, że trzeba jeszcze załatwić wiele sprawunków. Pani Mertens z Ewą-Marią i Jolantą pojechały więc na tydzień do Berlina. Chciały, aby Dolo pojechała z nimi, ona jednak odmówiła. Nie lubiła zgiełku wielkiego miasta, a poza tym nie chciała się rozłączać z Jankiem.

Podczas nieobecności ciotki i kuzynek, Dolo spędzała wiele czasu w towarzystwie Janka.

Pani Melania była zdania, że Dolores powinna pobierać lekcje tańca.

— Musisz przecież tańczyć na weselu twoich kuzynek — powiedziała.

Dolo zgodziła się na to. Co tydzień przyjeżdżał z miasta nauczyciel tańca. Janek zaofiarował się, że będzie partnerem Dolo. Oboje polubili bardzo te lekcje. Niekiedy Ludwik Rodenberg przypatrywał się im, a wtedy cieszył go zawsze widok młodej pary. Wyczuwał, że ich serca lgną do siebie, chociaż ani Dolo ani Janek nie zdają sobie z tego sprawy. Na razie sprzeczali się bez ustanku o każdą drobnostkę. Był to jakby rodzaj samoobrony. Oboje bronili się przed miłością, którą dopiero przeczuwali.

Dolores w ciągu tego krótkiego czasu rozwinęła się fizycznie i umysłowo. Nie była już tak żywa i nieopanowana, jak dawniej, nabrała kobiecego wdzięku. Wiele miała do zawdzięczenia wpływowi Ewy-Marii.

Pisywała bardzo często do swoich przyjaciółek Angeli i Inez. Donosiła im o wszystkich i wszystkim. Najmniej wspominała o Janku. Obawiała się pisać o nim za dużo, żeby się nie zdradzić jakimś niebacznym słówkiem. Mimo to wyczuwała dokładnie, że przemilcza w swoich listach to, co jest najważniejsze i co ją najbardziej obchodzi.

Otrzymywała także listy od przyjaciółek, one jednak miały niewiele nowin do doniesienia. Obie tęskniły bardzo za Dolores i dawały temu wyraz w swoich listach. Wtedy i Dolores zaczynała tęsknić za swoją ojczyzną i oczy jej napełniały się łzami.

***

Nadszedł wreszcie dzień piątego września. Cała fabryka brała udział w uroczystości weselnej. Ludwik Rodenberg wydawał za mąż dwie siostrzenice, pragnął więc, aby i robotnicy mieli tego dnia święto.

Ślub cywilny odbył się już poprzedniego dnia. Obrząd zaślubin miał się odbyć w willi Melanii w kaplicy domowej. Zaproszono tylko krewnych oraz drużbów i druhny. Druhnami były, oprócz Dolo, przyjaciółki Ewy-Marii i Jolanty. Na drużbów poproszono, poza Jankiem i Egonem, inżynierów z fabryki oraz kilku kolegów Egona. W gronie gości znajdowało się również kilku wyższych urzędników z fabryki oraz ich rodziny. Razem zebrało się około siedemdziesięciu osób.

Janek prowadził Dolo, zostało to już od dawna umówione. Poprzedniego dnia wybuchła między mmi znowu gwałtowna sprzeczka, lecz już wieczorem pogodzili się. Toteż następnego ranka, w dniu ślubu, byli oboje w świetnych humorach.

Dolores była bardzo zdenerwowana, ponieważ ta uroczystość stanowiła niejako jej debiut towarzyski. Nigdy jeszcze nie była na weselu.

Wyglądała prześlicznie w jasnoniebieskiej, długiej sukni z Crepe--Georgette na jedwabnym spodzie. Pantofelki tej samej barwy i cienkie jedwabne pończoszki dopełniały tego stroju. Na szyję włożyła kosztowny sznur pereł, spuściznę po matce.

Gdy Janek ujrzał ją w tym stroju, zarumienił się mocno z podniecenia. Nigdy jeszcze Dolo nie wydawała mu się tak piękna i urocza, jak dziś.

Janek podał jej ramię i wprowadził ją do saloniku, gdzie zebrali się już wszyscy drużbowie i druhny. Dolo lękała się bardzo swego pierwszego występu w towarzystwie. Obawiała się, że popełni jakieś faux pas, zwłaszcza, że dziś Ewa-Maria nie mogła uważać na nią.

—Och, Janku, żeby tylko wszystko poszło gładko! Nie mogę się przecież dziś zwracać po radę do Ewy Marii.

—Bądź spokojna, Dolo, wszystko pójdzie jak z płatka.

—Ale ty nie zostawisz mnie samej? Dobrze, Janku?
Przyrzekł jej to z wielką chęcią.

—Nie, ani chwili! — odpowiedział, spoglądając z niepokojem na innych drużbów, z których był najmłodszym.

—Wiesz, Janku, Ewa-Maria wygląda cudownie w ślubnym stroju! Naprawdę jak anioł!

Oczy Janka zwilgotniały.

— Tak, dziś muszę ją oddać na zawsze! Gdyby to nie był Ralf, który ją bierze — byłoby mi jeszcze ciężej na duszy. Tylko jemu jednemu powierzam z chęcią moją Ewę-Marię.

— Ralf zasługuje na to, bo przecież on ocalił ci życie. Jolanta i jej narzeczony wyglądają również na bardzo szczęśliwych. Jolanta wygląda także bardzo ładnie w białej sukni i welonie, ale nie tak pięknie jak twoja siostra.

Nie mogli mówić dalej, ponieważ otworzono wielkie drzwi i cały orszak ruszył do kaplicy. Po chwili nadszedł duchowny, który pobłogosławił związek małżeński obu młodych par. Przemawiał krótko, ale bardzo wzruszająco. Dolo, która miała bardzo miękkie serce, poczuła jak łzy napływają jej do oczu. Przycisnęła się mocno do ramienia Janka.

Janek czuł się dumny i szczęśliwy, że Dolo szuka u niego opieki. Wyglądał dziś bardzo korzystnie. Jego wysoka postać, w doskonale skrojonym fraku, górowała nad wszystkimi. Tylko Ludwik Rodenberg był tego samego wzrostu co Janek.

Dolo słuchała w skupieniu słów duchownego i nagle przypomniała sobie swoją zmarłą matkę, którą utraciła tak wcześnie. Oczy jej znowu napełniły się łzami. Chciała je otrzeć, gdy nagle stwierdziła z przerażeniem, że nie ma chusteczki.

— Nie mam chustki do nosa — szepnęła do Janka.

Janek natychmiast wyciągnął chusteczkę z kamizelki frakowej i ukradkiem wręczył ją swojej druhnie. Spojrzała na niego z wdzięcznością, a Janek stwierdził znowu w duchu, że jest okropnie szczęśliwy.

Dolo była zachwycona ceremoniałem ślubnym.

—Nie wyobrażałam sobie wcale, że to taka piękna uroczystość — powiedziała do Janka.

—Tak, ale przestań już płakać, przecież to wesele. Chodź, musimy teraz powinszować nowożeńcom.

Janek prowadził Dolo do stołu. Jak zwykle w takich razach wygłaszano wiele toastów. Dla Dolo była to nowość. Bawiła się doskonale.

—Żebym tylko nie zapomniała żadnego szczegółu. Muszę przecież wszystko dokładnie opisać Inez i Angeli.

—Jeżeli zapomnisz o jakimś szczególe, to zwróć się do mnie, ja ci pomogę. A teraz wypijmy! Twoje zdrowie, Dolo!

— Twoje zdrowie, Janku!

Trącili się kieliszkami. Dolo uśmiechnęła się niewinnie do Janka, lecz po chwili spuściła oczy. Jakże on na nią patrzy, ten Janek?

Zupełnie inaczej, niż zazwyczaj? Była tak zmieszana, że wychyliła duszkiem kieliszek szampana.

Wreszcie obiad się skończył. Zaraz po obiedzie nowo zaślubieni wymknęli się, aby się przebrać do poślubnej podróży. Ralf i Ewa--Maria wyjeżdżali do Włoch, a Henryk Vollmer i Jolanta do Południowej Francji.

Pod wieczór rozpoczęły się tańce. Janek przeżywał piekielne katusze, gdy kto inny prosił do tańca jego druhnę. On sam uważał to za ciężki obowiązek, gdy musiał tańczyć z innymi paniami.

Ludwik Rodenberg, jako gospodarz, miał niewiele czasu, toteż nie mógł się zajmować Dolo. Wiedział zresztą, że Janek się nią opiekuje, a to była przecież najlepsza opieka. Mimo to podchodził do niej co pewien czas, by z nią chwilkę pogawędzić.

—Jak ci się podoba taka niemiecka uroczystość weselna? — zapytał.

—Och, nadzwyczajnie, Luteczku. Szkoda tylko, że Ewa-Maria ze swoim mężem już wyjechała, a także Jo i Henio. Mieli właściwie bardzo mało z tej uroczystości, która została wyprawiona na ich cześć. Dlaczego nie poczekali z wyjazdem aż do jutra? — zapytała niewinnie.

Ludwik spojrzał na Janka. Spostrzegł z zadowoleniem, że Janek usłyszawszy to pytanie zachował powagę i nie roześmiał się. Przeciwnie, w oczach jego pojawił się wyraz wielkiego rozrzewnienia.

—Widzisz, Dolo, to już taki zwyczaj. Nowożeńcy wyjeżdżają zaraz w podróż poślubną.

—To bardzo niemądry zwyczaj. Nie mogą nawet potańczyć na własnym weselu — zdziwiła się Dolo. Nie mogła mówić dalej, bo w tej chwili ktoś poprosił ją do tańca.

Ludwik pozostał sam z Jankiem.

—Będzie ci teraz bardzo smutno, Janku — rzekł wuj — aż do twego wyjazdu pozostaniesz przez kilka tygodni zupełnie sam. Chciałem ci zaproponować, abyś się w ciągu tego czasu stołował u nas.

— Czy mogę?

—Naturalnie, że możesz. Nam także będzie weselej. Obecnie, gdy Jo wyjechała, Dolo będzie się nudzić z dwojgiem starych ludzi.

—Ty przecież nie jesteś stary. Wszystkie panie zachwycają się tobą, drogi wuju.

—Ach, Janku, gdy patrzę na ciebie, widzę dopiero jaki jestem stary. Nie żałuję jednak minionej młodości. Człowiek w starszym wieku ma także swoje radości. Ale spójrz, Janku, jak moja mała Dolo pięknie tańczy. Ona z całym zapałem bawi się na dzisiejszej uroczystości.

—Tak, Dolo jest ogromnie wrażliwa. Potrafi się cieszyć ze wszystkiego.

—Jest jeszcze młoda i nie zna życia. Oby Bóg czuwał nad nią i strzegł ją przed wszelkim smutkiem. Dolo potrafi się szczerze cieszyć i dlatego będzie bardzo głęboko odczuwała każde cierpienie.

—Nie! Dolo nie powinna cierpieć! Nigdy! Nigdy! — zawołał Janek.

—Postaramy się zapobiec temu. Nie mówmy jednak dziś o takich smutnych sprawach. A więc, Janku, od jutra stołujesz się u nas — to już postanowione. Możesz zresztą cały swój wolny czas spędzać w willi Melanii.

—Bardzo chętnie, ale czy nie będę wam przeszkadzał?

—Co znowu? A kiedy wyjeżdżasz, Janku?

—Dwudziestego piątego września. Muszę się jeszcze postarać o mieszkanie, bo chciałbym od razu po rozpoczęciu semestru zabrać się do roboty. Nie chcę tracić czasu i pragnę jak najprędzej zdobyć dyplom.

—Masz słuszność, Janku. Nie będziesz hulał, wiem o tym.

—Na pewno nie. A podczas wakacji będę dalej pracował w fabryce, aby mieć praktykę.

Ludwik z uśmiechem skinął głową. Podobały mu się poważne zapatrywania Janka. Kochał go jak syna. Ten chłopiec przypominał mu jego młodość. Ponieważ nie miał własnych dzieci, więc postanowił, że Janek zostanie jego spadkobiercą.

Teraz powróciła Dolo. Zaledwie jej tancerz oddalił się, rzekła z żałosną miną:

—Bardzo mi się jedna rzecz nie podoba.

—Co takiego?

—Że muszę tańczyć z każdym panem, który mnie poprosi do tańca.

— Czy nie podobał ci się twój tancerz?

— Ach — westchnęła — ci koledzy Egona to jacyś dziwni ludzie. Zdaje mi się, że nauczyli się na pamięć tego, o czym powinno się mówić z młodą panienką. Każdy mówi to samo: „Pani tańczy jak rusałka!" „Pani ma prześliczną sukienkę!", „Jakie to interesujące, że pani przyjechała z Brazylii", „Czy wszystkie kobiety w Brazylii są tak piękne jak pani?" Naprawdę, Luteczku, jakby wyuczona lekcja! Dlatego też dawałam wszystkim te same odpowiedzi. Nic mądrzejszego nie wpadło mi do głowy.

Obydwaj panowie spojrzeli na nią i zaczęli się śmiać. Janek promieniał z zadowolenia.

—A czy nie lubisz, gdy panowie mówią ci takie miłe rzeczy? — zapytał.

—Miłe rzeczy? To przecież są banalne komplementy, które na pewno mówią każdej.

—Widzę, Dolo, że gniewasz się na biednych kolegów Egona — powiedział ze śmiechem Ludwik Rodenberg.

—No tak! Niech innym paniom opowiadają swoje głupstwa, a mnie niech dadzą spokój. Wolałabym tańczyć z Jankiem, z nim tańczę najlepiej. A poza tym można z nim rozsądnie pogadać.

Ludwik stwierdził z przyjemnością, że Janek zarumienił się z radości.

— No, nie będę wam przeszkadzać, tańczcie sobie.

Janek otoczył Dolo ramieniem i uprowadził ją w wir roztańczonych par. Był znowu bardzo szczęśliwy. Przecież Dolo powiedziała, że najbardziej lubi tańczyć z nim. Widocznie nikt z obecnych panów nie spodobał jej się bardziej od niego.

Nie odstępował jej ani na krok, dopóki ostatni goście nie wyszli z willi Melanii. Schował starannie chusteczkę, którą Dolo ocierała łzy z oczu. Zdarzało się nawet, że przyciskał ją ukradkiem do ust.

***

Następne tygodnie upłynęły zbyt prędko dla Dolo i Janka. Przebywali teraz bardzo wiele z sobą. Janek był stałym gościem w willi Melanii. Nocował tylko w willi Rodenberg, gdzie na razie w ciągu dnia pracowali jeszcze rzemieślnicy, ponieważ w czasie nie obecności Ewy-Marii dokonywano remontu i przebudowy jej apartamentów.

Janka czekała teraz dłuższa rozłąka z siostrą. Gdy Ewa-Maria powróci z podróży poślubnej, on będzie już w Charlottenburgu.

Dolo martwiła się ogromnie wyjazdem Janka i ze zmartwienia kłóciła się z nim trochę. Janek jednak był zbyt smutny, aby się z nią długo sprzeczać. Zgoda następowała szybko, a wtedy Janek starał się pocieszać Dolo.

—Nie martw się, nie będziesz sama. Przecież wkrótce po moim wyjeździe powróci Ewa-Maria.

—Ach, ona przecież ma swego męża i nie znajdzie czasu dla mnie.

—Zapominasz, że Ralf prawie cały dzień spędza w fabryce. Wtedy Ewa-Maria będzie sama. Możecie wiele przebywać z sobą.

—Tak, to bardzo przyjemnie, ale twoja siostra może najwyżej godzinkę jeździć konno. Dla mnie to za mało. A ja znowu nie potrafię tak długo siedzieć spokojnie w pokoju.

—Możecie przecież odbywać razem długie piesze spacery. Ewa--Maria jest bardzo wytrzymała. A poza tym już niedługo do Bożego Narodzenia. Wtedy ja przyjadę i będziemy razem obchodzili Gwiazdkę. Dla ciebie to nowość. Czy tam w Armadzie obchodziliście święta Bożego Narodzenia?

—Tak, w miarę możności. Ale mamusia i Luteczek mówili zawsze, że to nie jest prawdziwa Gwiazdka.

—I mnie się tak zdaje. Tym razem zobaczysz prawdziwą Gwiazdkę. Spodziewam się, że spadnie porządny śnieg. Śniegu chyba także nie widziałaś. I na pewno nie uprawiałaś sportów zimowych.

—Nie, przecież tam nigdy nie było śniegu.

—Ach, tutaj będziemy razem jeździć na saneczkach. Mamy wspaniały tor na wzgórzu. Ewa-Maria także lubi bardzo ten rodzaj sportu. Będziesz miała dość ruchu na świeżym powietrzu. To wielka przyjemność.

Oczy Dolo zabłysły.

—Ach, cieszę się z góry tą myślą. Luteczek opowiadał mi bardzo wiele o niemieckiej zimie.

— Czy ci tylko nie będzie u nas za zimno? Musisz uważać, żebyś się nie zaziębiła. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy marznąć?
Roześmiała się.

—O, tak! W Armadzie bywały niekiedy bardzo zimne noce, wtedy marzło się porządnie. Ale w dzień nigdy.

—Przekonasz się, jak zimno bywa u nas. Musisz się bardzo ciepło ubierać. Czy ty właściwie masz futrzany płaszczyk?

—Tak, Luteczek kupił mi w Hamburgu futro, ponieważ strasznie marzłam wieczorami.

—To bardzo dobrze. Gdy nastaną mrozy, musisz się ubierać w futerko. I nie mów za wiele, gdy wyjdziesz w taki mroźny dzień. Musisz dopiero przywyknąć do tej temperatury — upominał ją Janek.

Zbliżał się dzień jego wyjazdu. Musiał zająć się różnymi przygotowaniami do podróży, lecz każdą wolną chwilę spędzał z Dolo. Lękał się po prostu pożegnania z Dolores. Ona zaś uważała jego wyjazd za wielkie nieszczęście. Starała się panować nad smutkiem, mimo to ojciec jej zauważył, jak bardzo Dolo cierpi na myśl o rozstaniu z Jankiem.

—Trzeba być mężną, Dolo — powiedział raz do niej — ja także będę mężny.

—Czy ty także martwisz się tak okropnie, że Janek wyjeżdża? — zapytała nie przeczuwając, jak bardzo się zdradza tym powiedzeniem.

—Tak, Dolo, bardzo.

—Ale on musi wyjechać, prawda?

—Musi. Powinien poznać świat i ludzi, powinien się jeszcze dużo uczyć.

—Przecież on umie już tak wiele.

— Ale nie dosyć. Westchnęła ciężko.

—Tak, on sam powiedział, że chce się dużo nauczyć i stać się mężczyzną.

—Czy tak? Chce się stać mężczyzną? No, niewiele mu już brakuje do tego.

—Naprawdę? To może wcale nie potrzeba, żeby się jeszcze uczył przez całe trzy lata?

— Nie, Dolo, to jest konieczne. Janek powinien zdobyć dyplom inżynierski. Zobaczysz, on postara się o to w najkrótszym czasie. A na Boże Narodzenie przyjedzie do domu na wakacje.

—Będę się pocieszała tą myślą.

—I nie okazuj Jankowi, że cię martwi to rozstanie. Będzie się jeszcze bardziej smucił...

— Ach nie, on się z tego przecież bardzo cieszy. ,, — Tak sądzisz?

—Powiedział mi, że się bardzo cieszy. *m* — On sam ci to powiedział?

—Tak! Śmiałam się z niego trochę, bo mówił, że jest mężczyzną. Wtedy odpowiedział, że wcale się nie martwi z powodu wyjazdu. Rozgniewał się na mnie i powiedział, że pokaże mi, że jest prawdziwym mężczyzną.

— Aha!

Uśmiech przemknął po twarzy Ludwika Rodenberga. Wyobrażał sobie, jak się Janek obraził, gdy Dolores wyraziła powątpiewanie o jego męskości. Ach, jakież to dzieciaki! A jednak jakże głęboki sens mają te dziecinne igraszki! Zrozumiał w tej chwili, o co chodziło Jankowi.

—Jankowi przyda się ten wyjazd. Mężczyzna musi być samodzielny. A my przestaniemy teraz myśleć o rozstaniu. Przecież Janek powróci za kilka miesięcy. Moja dziewczynka będzie dzielna, prawda?

— Tak, Luteczku, możesz polegać na mnie.

I rzeczywiście Dolo zachowywała się bardzo mężnie podczas pożegnania. Ludwik postarał się skrócić te bolesne chwile, aby pomóc obojgu młodym ludziom. Sam odwiózł Janka na dworzec.

Ciocia Melania pisała właśnie list do Jolanty, nikt więc nie przeszkadzał Dolo w jej bólu. Wyładowała go potokiem łez. Gdy się już porządnie wypłakała, poczuła wielką ulgę i zabrała się do pisania listów. Ostatnio zaniedbała trochę korespondencję z przyjaciółkami.

Dolo zaczęła teraz prowadzić samotne życie. Na szczęście w początkach października powróciła Ewa-Maria z podróży poślubnej. Ona zajęła się Dolo.

Dolo przywiązywała się coraz bardziej do Ewy-Marii. Odwiedzała z nią razem rodziny robotnicze. Obie panie starały si? pomagać w miarę możności chorym i ubogim.

Zaczęły także robić przygotowania przed świętami Bożego Narodzenia. W fabryce Rodenbergów urządzano co roku Gwiazdkę dla dzieci robotniczych. Ewa-Maria była bardzo rada, że zyskała dzielną pomocnicę w osobie Dolo.

Każdego ranka wyjeżdżały obie konno w towarzystwie Ludwika Rodenberga i Ralfa. Poza tym Dolo spędzała codziennie kilka godzin u Ewy-Marii.

Janek często pisywał do siostry, która odczytywała Polo wszystkie jego listy. Janek w każdym liście przysyłał pozdrowienia dla Dolo i gorliwie dopytywał się o nią. Niekiedy nadchodziły także dla Dolo piękne karty z widokami. Dolo zawsze mu odpisywała.

Ewa-Maria zaczęła się domyślać, że w sercach obojga młodych ludzi budzi się miłość. Ona także bardzo cieszyła się z tego, lecz nie wspominała o tym nikomu, nawet Ralfowi.

** *

Czas do Bożego Narodzenia zbiegł o wiele prędzej, niż się Dolores spodziewała. Na dwa tygodnie przed świętami spadł pierwszy śnieg. Na Dolo wywarło to wielkie wrażenie. Upojona radością biegała wśród wirujących płatków śnieżnych, chwytała je rękami i wargami. A gdy przez noc spadł gęsty śnieg, który otulił wszystko w białe szaty — nie posiadała się z zachwytu.

Ewa-Maria opisała szczegółowo Jankowi, jakie wrażenie wywarł śnieg na Dolo. Odpowiedział, iż bardzo żałuje, że go przy tym nie było.

Po południu Ludwik i Ewa-Maria urządzili wielką bitwę śnieżkami. Gdy Dolo ulepiła pierwszą kulę ze śniegu, wypuściła ją natychmiast z rąk i zawołała z przestrachem:

— Zdawało mi się, że ten śnieg parzy.

Ludwik Rodenberg kazał także zaprząc konie do sań i powiózł panie na spacer. Była to wielka przyjemność dla Dolo.

Po kilku dniach nastąpiła odwilż. Dolo zmartwiła się ogromnie.

— Czy to już koniec zimy? — zapytała.

— Nie, to dopiero początek. Śnieg jeszcze będzie padał.

—Ach, żeby tylko był śnieg, gdy Janek przyjedzie. Obiecał mi przecież, że będzie ze mną saneczkował.

—Miejmy nadzieję, że na Gwiazdkę zacznie znowu padać — pocieszała ją Ewa-Maria.

—A czy to nie jest pewne?

— Nie, Dolo.

— A ja myślałam, że w zimie zawsze pada śnieg.

—O, nie! Niekiedy mamy w zimie bardzo dużo śniegu, a czasami niewiele.

Dolo zaczęła się teraz modlić każdego wieczoru, żeby śnieg zaczął padać. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem cały świat okrył się niepokalaną bielą. Dolo, ujrzawszy to przez okno, krzyknęła z radości. Dziś przecież miał powrócić Janek. Jak to dobrze, że zastanie tyle śniegu.

Ewa-Maria chciała pojechać na dworzec po brata. Jego pociąg nadchodził o dwunastej w południe. Przy tej sposobności pragnęła także załatwić w mieście rozmaite sprawunki.

—Zabierz mnie także, Ewo-Mario... ja... ja także muszę jechać po zakupy — prosiła Dolo.

Ewa-Maria uśmiechnęła się ukradkiem, rzekła jednak z powagą:

—Naturalnie, Dolo, powinnaś jechać na stację po Janka, przecież i on był na dworcu, gdy ty miałaś przyjechać.

— Właściwie masz rację. Więc pojadę z tobą? Dobrze? Ewa-Maria potakująco skinęła głową. Obiecała, że o dziesiątej

zajedzie po Dolo. Załatwią swoje sprawunki, a potem pojadą na dworzec.

Dolo była zachwycona wszystkimi przygotowaniami przed Gwiazdką. Bawiła ją ogromnie tajemniczość całego otoczenia. Pierwszy raz w życiu zabrała się do robót ręcznych. Z wielkim trudem zrobiła na drutach dwa szale, jeden dla Janka, drugi dla ojczyma. Jej nauczycielką była Ewa-Maria. Dla Dolores stanowiło to

bardzo poważny wyczyn, ponieważ nie umiała usiedzieć spokojnie na jednym miejscu.

Zwracała się często w tym okresie do ojczyma z prośbą o pieniądze. Z rozkoszą robiła zakupy. Jej cały pokój zawalony był pakunkami i pudelkami, zawierającymi prezenty gwiazdkowe. Wraz z Ewą-Marią wybrała w lesie dwa drzewka i pomagała je ubierać. Cieszyła się przy tym jak dziecko; ona przecież jeszcze nigdy w życiu nie ubierała choinki.

Dzisiaj z mniejszą uwagą niż zazwyczaj załatwiała swoje sprawunki w mieście. Była całkowicie pochłonięta przyjazdem Janka.

Wreszcie obie panie pojechały na dworzec. Pociąg wjeżdżał właśnie do hali. Janek stał przy oknie przedziału i z daleka już ujrzał Ewę-Marię i Dolo. Serce zabiło mu z radości. Jednym susem wyskoczył z wagonu, nie czekając aż pociąg się zatrzyma. Uściskał siostrę, po czym podał rękę Dolo:

— Przyszłaś po mnie na dworzec? — zapytał rozpromieniony.

— Tak, Janku. Robiłyśmy w mieście zakupy gwiazdkowe. Och, jakież to piękne święta! I śnieg spadł znowu, będziemy mogli jeździć-na saneczkach. A dziś po południu urządzamy Gwiazdkę dla dzieci robotników. Kupiłam dla nich jeszcze trochę słodyczy i zabawek. Pomożesz mi po obiedzie rozdzielić to wszystko. A Ewa-Maria będzie śpiewała kolędy. Ona tak ślicznie śpiewa. Ubrałyśmy razem choinkę, nie masz pojęcia jaka jest piękna. Ach, Janku, jak tu jest pięknie u was, jak cudownie!

Mówiła to wszystko jednym tchem, żeby pokonać zmieszanie. A Janek słuchał z zachwytem jej słodkiego głosu i wpatrywał się oczarowany w uroczą osóbkę. Wyglądała prześlicznie z zaróżowionymi policzkami i oczyma błyszczącymi z zapału. Podniosła wysoko kołnierz futra, z którego wyzierała jej rozpromieniona twarzyczka.

Janek wręczył służącemu kwit bagażowy, po czym wsiadł z paniami do samochodu.

— Jak długo trwają wakacje, Janku? — spytała Dolo.

— Do szóstego stycznia.

Dolo zaczęła szybko liczyć i obliczyła, że Janek pozostanie w domu całe dwa tygodnie. Nie posiadała się z radości.

Po południu Ewa-Maria, Dolo i Janek pojechali do kantyny. Tutaj, jak co roku, wyprawiono Gwiazdkę dla dzieci robotników. Dolo bawiła się świetnie. Wszystko przecież było dla niej nowe.

— Ach, dałabym wiele, gdyby nasze dzieci w Armadzie mogły także mieć taką Gwiazdkę — rzekła do Janka. — Wasi robotnicy mają w ogóle znacznie lepsze warunki, niż nasi z Brazylii. Muszę poprosić Luteczka, aby kazał wybudować dla naszych robotników takie ładne domki, jak tutaj. Chciałabym, żeby im było dobrze.

— Widzisz, Dolo, wasza kopalnia istnieje dopiero piętnaście lat, a fabryki Rodenbergowskie już przeszło osiemdziesiąt. Mój dziadek dopiero przed dziesięcioma laty kazał wybudować domy dla swoich robotników. Potrzeba na to wielkiego kapitału. Czy rozumiesz?

— Rozumiem, ale to jest bardzo smutne.

— Nie zapominaj, że wasi robotnicy nie mają tak wysokich potrzeb kulturalnych jak nasi. Pozostaw to wszystko wujowi Ludwikowi. On nie zrobi krzywdy swoim ludziom, jest nieodrodnym synem swego ojca. Nie martw się, Dolo.

Słowa Janka brzmiały tak serdecznie, że Dolo byłaby mu się najchętniej rzuciła na szyję. Powstrzymywał ją od tego jakiś niezrozumiały lęk. Zaczęli więc dalej gawędzić, poruszając najrozmaitsze tematy i Dolo zapomniała wkrótce o swojej trosce.

Nazajutrz przypadła Wilia. Dolo była zachwycona Gwiazdką. Została hojnie obdarowana przez wszystkich. Od Janka otrzymała książkę i piękny wisiorek w kształcie czterolistnej koniczyny. Składał się on z czterech szmaragdów, otoczonych brylancikami. Włożyła go zaraz na szyję. Miała piękną biżuterię po matce, lecz ten wisiorek miał dla niej największą wartość, ponieważ pochodził od Janka.

Janek ucieszył się także z szala, który Dolo zrobiła dla niego. Wyobrażał sobie, jak musiała się namęczyć przy tej robocie.

Wakacje minęły bardzo szybko. I znowu nastąpiła chwila bolesnego pożegnania. I znowu po wyjeździe Janka Dolo schroniła się do swego pokoju, zalewając się łzami. Czuła się ogromnie samotna i opuszczona. A najbardziej martwiła się tym, że Janek tak smutno wyglądał przy pożegnaniu.

***

Mijały lata. Janek przyjeżdżał na wakacje, po czym znowu odjeżdżał do Berlina. Dolo w ciągu tego czasu odwiedziła go dwa razy w Berlinie, dokąd zawiózł ją ojciec. Później w życiu Dolo, nastąpiła bardzo smutna chwila. Jej ukochany Luteczek musiał na kilka miesięcy wyjechać do Brazylii. Był to bardzo ciężki okres dla Dolo, chociaż ciocia Melania i Ewa-Maria starały się ją w miarę możności pocieszyć i rozerwać. Pan Ludwik spędził w Brazylii przeszło trzy miesiące. Dolo uspokoiła się dopiero, gdy nareszcie powrócił.

Janek poświęcił się gorliwie swoim studiom, a jego profesorowie byli z niego bardzo zadowoleni. Wkrótce już czekał go ostateczny egzamin. W miarę zbliżania się tego terminu, młody student coraz bardziej tracił pewność siebie. Lękał się bardzo egzaminu, dręczyły go różne wątpliwości. W szkole był zawsze średnim uczniem i otrzymał maturę zaledwie z wynikiem dostatecznym. Co to będzie, jeżeli się zatnie przy egzaminie dyplomowym? I Janek lękał się bardzo o swoją przyszłość.

W ostatnich czasach tęsknił bardziej niż kiedykolwiek za Dolo. Kochał ją i zdawał sobie sprawę ze swojej miłości. Lękał się jednak, czy uda mu się pozyskać jej wzajemność. Niekiedy wierzył niezachwianie, że Dolo go kocha, nie wyobrażał sobie nawet, że mogłoby być inaczej. Później znowu ogarniały go dręczące wątpliwości i czuł się bardzo nieszczęśliwy. Zdarzało się bowiem, że Dolo nie zachowywała się tak, jakby tego pragnął.

Dolo wyrosła na piękną pannę. Ona także powoli zaczęła sobie uświadamiać swoje uczucia dla Janka. Kochała przecież wielu ludzi, wyczuwała jednak obecnie, że Janka darzy zupełnie inną miłością. Im bardziej zdawała sobie z tego

sprawę, tym większy chłód okazywała Jankowi. Dawniej, gdy przyjeżdżał — wybiegała z wyciągniętymi ramionami na jego spotkanie. W ostatnich czasach stała się bardziej powściągliwa, witała go jak dobrze wychowana panienka.

Właśnie dlatego, że go tak gorąco pokochała, nie chciała się zdradzić ze swoim uczuciem, ukrywała je pod maską obojętności. A Janek był zbyt młody, żeby zrozumieć wstydliwość tej młodej dziewczęcej duszyczki. Pragnął, aby Dolo okazywała mu więcej czułości i był bardzo nieszczęśliwy.

Przechodzili więc oboje wszystkie stadia młodzieńczej miłości i wiedzieli tylko jedno: że oboje nie mogą żyć bez siebie.

Janek miał już wreszcie zakończyć swoje studia. Zdał egzamin z doskonałym wynikiem. Natychmiast po otrzymaniu dyplomu inżynierskiego zatelefonował z Berlina do fabryki i poprosił do aparatu wuja Ludwika.

Pan Ludwik podszedł natychmiast do telefonu. Wiedział, że Janek ma w najbliższych dniach zdawać ostateczne egzaminy.

—Hallo, czy to ty Janku?

—Tak, wuju. Tu mówi inżynier Jan Dornau.

—Winszuję ci serdecznie, mój chłopcze. Nie, przepraszam, panie inżynierze. Tacy świeżo upieczeni inżynierowie lubią jeszcze swój tytuł. Cieszę się ogromnie. Czy zdałeś z dobrym wynikiem?

—Będziesz ze mnie zadowolony.

—Zawsze byłem z ciebie zadowolony. Kiedy wracasz do domu?

—W najbliższych dniach, wuju, zabieram się do pakowania moich manatków. Proszę cię jednak, nie mów nikomu, że zdałem i że powracam. Pragnę wszystkim sprawić niespodziankę.

Ludwik Rodenberg uśmiechnął się. Wiedział dobrze, komu Janek pragnie sprawić niespodziankę.

—Dobrze, Janku, nie powiem o tym nikomu. Ale jeżeli nie będę wiedział, kiedy masz zamiar przyjechać, to nie będę mógł posłać samochodu na stację.

— Nie potrzeba, przyjadę taksówką.

— Dobrze, mój chłopcze! I jeszcze jedno... Nie rób z radości głupstw... Pamiętaj, że ja kiedyś bardzo drogo zapłaciłem za to...

—Bądź spokojny, wuju! Będę ostrożny.

—No to doskonale. Do widzenia, panie inżynierze!

— Do widzenia, wuju! Cieszę się okropnie, że wracam do domu. Ludwik Rodenberg odwiesił słuchawkę. Stał jeszcze chwilę przy

telefonie, zatopiony w myślach. Z przeszłości przyszło ku niemu wspomnienie owego dnia, w którym on sam ukończył studia na politechnice. Tego samego wieczoru „oblewali" dyplom i trochę „wstawieni" powracali do domu. Po drodze napotkali grupę jakichś obcych młodych ludzi, z którymi doszło do bójki. I oto nagle ujrzał przed sobą martwego przeciwnika. Był przekonany, że mimo woli stał się zabójcą. Dopiero po piętnastu latach okazało się, że był niewinny. Morderca przyznał się na łożu śmierci do winy.

Ludwik westchnął ciężko. W duchu prosił Boga, aby ustrzegł Janka przed takim okropnym doświadczeniem. Przez wzgląd na niego samego i przez wzgląd na Dolo. Dolo jest przecież dzieckiem kobiety, która uratowała mu życie, która była jego ukochaną żoną i pomagała mu przez piętnaście lat znosić ciężki los. Helena nauczyła go na nowo kochać i cenić życie. A Dolo jest jej córką! Dolo musi być szczęśliwa!

Uśmiechnął się do siebie. Jego maleńka Dolo! Jakże się, biedactwo, broni przeciw swojej miłości dla Janka. I jak się ucieszy, gdy się dowie, że Janek już nie wyjedzie. Miała teraz dziewiętnaście lat, a Janek liczył obecnie dwadzieścia pięć. Zapewne już wkrótce zaczną sobie w całej pełni zdawać sprawę ze swojej miłości. Oboje są młodzi, mają wiele czasu. On jednak nie każe im długo czekać, pozwoli im się pobrać. Nikt jeszcze nie żałował wczesnego ożenku. Na pewno dojdą już niedługo do porozumienia. A tym samym spełni się jego najgorętsze pragnienie.

Ludwik Rodenberg podczas swego ostatniego pobytu w Armadzie zastał wszystko w porządku. Był zadowolony z pracy swego dyrektora, urzędników i

robotników. Zupełnie uspokojony powrócił do Niemiec. Miało to miejsce przed półtora rokiem.

Tym razem zamierzał pojechać po znacznie dłuższej przerwie. Otrzymywał wciąż szczegółowe raporty od swego dyrektora, na ogół zadowalające. To na razie wystarczało w zupełności.

W swoim czasie umyślnie pojechał sam. Nie chciał zabierać Dolo do Brazylii, pragnął, żeby przywykła do nowego środowiska.

Przed kilkoma tygodniami zwróciło się do niego pewne amerykańskie towarzystwo. Amerykanie chcieli kupić całą Armadę wraz z kopalnią srebra. Pragnęli oni rozbudować urządzenia i prowadzić na wielką skalę eksploatację kopalni. Spodziewali się, że w skałach znajdują się jeszcze bogate złoża kruszcu.

Ludwik również wiedział o tym, lecz dotychczas nie był w stanie rozbudować kopalni, aby zwiększyć jej wydajność. Na razie nie powziął żadnego postanowienia. Amerykanie proponowali mu wprawdzie niezwykle korzystne warunki, on jednak nie chciał się jeszcze ostatecznie zdecydować. Myślał o tym, że może Dolo wyjdzie za Janka, a Janek zechce zająć się na własną rękę eksploatacją. Ludwik uważał siebie jedynie za zarządzającego majątkiem Dolo, chociaż on sam włożył również duży kapitał do kopalni. Zamierzał uczynić Janka spadkobiercą fabryk Rodenbergowskich, na razie jednak miał dopiero lat czterdzieści kilka i pragnął sam pracować. Kto wie, może jeszcze żyć bardzo długo, a wówczas Janek będzie długo czekał na swoje dziedzictwo. Może Janek będzie wolał samodzielne stanowisko w Armadzie. Może zechce objąć kopalnię i wykonać to wszystko, czego zaniechał Ludwik wskutek wyjazdu do Niemiec. W każdym razie Ludwik nie powziął ostatecznej decyzji.

Odpowiedział amerykańskiemu towarzystwu, że na razie nie ma zamiaru sprzedawać Armady, lecz nie jest wykluczone, że zechce uczynić to w przyszłości. W takim razie na pewno powróci jeszcze do oferty towarzystwa.

Z Dolo nie mówił wcale o tej sprawie i nie wspominał jej wcale o propozycji Amerykanów. Była zbyt młoda i niedoświadczona, nie mogła przecież wydać żadnego orzeczenia w tej kwestii. Gdyby zaczął z nią poruszać ten temat, to mimo woli musiałby mówić o jej przyszłym małżeństwie, a tego właśnie pragnął

uniknąć. Ona sama nie orientowała się jeszcze we własnych uczuciach, czemu więc właśnie teraz mówić z nią w tak delikatnej materii i wprawiać ją w jeszcze większe zmieszanie.

Na razie pan Ludwik pracował bardzo usilnie w fabryce swego ojca. Poświęcał jej cały swój czas i siły. Pod jego kierunkiem fabryki Rodenbergowskie doszły do najwyższego rozkwitu. Chętnie zatrzymałby jeszcze Janka przy sobie, gdyż przydałaby mu się jego pomoc. Z drugiej jednak strony pojmował, że Armada nie może wciąż pozostawać bez nadzoru. Wiedział również, że kopalnia obecnie przynosi stosunkowo niewielki zysk. Postanowił, że przy sposobności pomówi o tym z Jankiem.

Na razie sprawa ta wydawała mu się przedwczesna. Janek powinien się najpierw oświadczyć o rękę Dolo i uzyskać jej zgodę. Wtedy zapyta go, czy woli objąć kierownictwo kopalni, czy też pracować w fabrykach Rodenbergowskich i sprzedać kopalnię swojej żony.

Tak czy inaczej — wzajemny stosunek obojga młodych ludzi powinien zostać wyjaśniony. Ludwik Rodenberg przeczuwał, że nastąpi to już w ciągu najbliższego czasu. Przecież Janek ukończył studia i powróci na stałe do domu. A wtedy na pewno wyzna Dolores swoją miłość.

W kilka dni później Ludwik Rodenberg otrzymał znowu list od dyrektora Delory, zarządzającego kopalnią. Dyrektor pisał, że tym razem musi mu zakomunikować nieprzyjemną nowinę. Zwlekał z tą wiadomością, ponieważ sądził, że wszystko się jakoś ułoży, a nie chciał na próżno niepokoić swego szefa. Obecnie jednak uważa, że powinien napisać prawdę, ponieważ nie nastąpiła poprawa warunków. Otóż już od kilku miesięcy zachodzi obawa buntu robotniczego. Do fabryki przedostały się czynniki, które posiały ziarno niezgody i niezadowolenia. Robiło się wszystko, aby uspokoić wzburzone umysły, lecz nadaremnie. Znalazło się dwóch komunistycznych agitatorów, którzy bez ustanku podżegają ludzi, szerząc ideę bolsze-wizmu. Dyrektor zamierzał odprawić agitatorów, lecz wówczas robotnicy wystąpili z pogróżkami. Zagrozili, że jeżeli dyrekcja wydali ich „przywódców", wówczas przerwą pracę. W robotnikach zbudził się duch buntu, opierają się wszyscy, zarówno biali jak i czarni. Dyrektor nie może sobie sam poradzić i dlatego prosi go o jak najrychlejszy przyjazd.

Byłoby bardzo pożądane, gdyby przyjechał jak najprędzej, gdyż tylko on jeden mógłby coś wskórać swoim autorytetem. Robotnicy żądają warunków, których nie można przyjąć. A na domiar wszystkiego są tak zaślepieni, że słuchają tylko swoich prowodyrów. Nie można z nimi rozsądnie pomówić, upierają się przy swoim. Zachodzi obawa zamieszek i rozruchów wśród zbuntowanych robotników.

Wiadomość ta wywarła na Ludwiku wielkie wrażenie, a jednocześnie zdziwiła go. Skąd się wzięli komunistyczni agitatorzy w Brazylii, a przede wszystkim w odludnej Armadzie? Czy naprawdę jego robotnicy dali się tak łatwo zbuntować? Przecież dotąd byli zawsze zadowoleni. Nie, to niemożliwe!

Był bardzo zły, że Delora nie zawiadomił go wcześniej. Byłby od razu pojechał i zrobił porządek. W każdym razie postanowił jak najrychlej wyjechać do Armady. Jego urzędnicy musieli popełnić jakiś błąd w stosunku do robotników, na pewno zachowali się niewłaściwie. Pojedzie sam do Armady i zaprowadzi tam dawny ład i spokój.

Ludwik już od dawna postanowił, że musi swoim robotnikom dać lepsze warunki i poprawić ich byt. Byłby to dawno uczynił, gdyby mu w tych zamiarach nie przeszkadzał tamtejszy rząd. Miarodajne czynniki zarzucały mu zawsze, że psuje swoich ludzi. Robotnicy z Armady mieli znacznie dogodniejsze i lepsze warunki pracy, niż gdzie indziej. Nie brakło im nigdy żywności, mieli własne, dosyć przestronne chaty. Dla dzieci została wybudowana szkoła. Mimo to Ludwik Rodenberg zdawał sobie sprawę, że było to niewiele w porównaniu z warunkami pracy panującymi w Niemczech.

Teraz natomiast, gdy przyjedzie, zajmie się tą sprawą. Przestanie się liczyć z zarzutami innych pracodawców. Zatroszczy się przede wszystkim o los swoich pracowników.

Warunki życia w Brazylii są zupełnie inne niż w Niemczech. Tłumaczył to nieraz Dolo. Dolo bowiem, od czasu, gdy przyjechała do Niemiec, nie dawała mu spokoju. Pytała ciągle, czemu ich robotnicy nie mają takich ładnych domków z ogródkami i dlaczego to i owo jest tutaj zupełnie inne. Starał się jej wytłumaczyć

te różnice, nie przekonał jej jednak. Dolo była bardzo przywiązana do swoich ludzi i pragnęła ich dobra.

Aby zapewnić dobrobyt robotnikom należało rozszerzyć kopalnię, która w obecnym stanie dawała niewielkie zyski. Należało poświęcić duży kapitał, aby wybudować kolonię robotniczą. Kapitał taki przynosiłby wprawdzie odsetki, lecz bardzo niskie. Musiał był nisko oprocentowany, aby robotnicy mieli naprawdę tanie mieszkania.

Gdyby amerykańskie towarzystwo odkupiło Armadę, mogłoby osiągnąć z kopalni milionowe dochody. Rozpoczęłoby na pewno wydobywanie srebra na wielką skalę, a dzięki zwiększonej wydajności wzrosłyby zyski. Pojedynczy człowiek nie mógł w tym wypadku nic zdziałać. Towarzystwo akcyjne, w którym byli zainteresowani potentaci finansowi, mogło zająć się rozbudową i eksploatacją kopalni. W takim wypadku naturalnie zmieniłyby się także na lepsze warunki robotników.

Ludwik wiedział, dlaczego Dolo nie pojechała z nim w swoim czasie do Armady. Nie chciała robić porównań między dobrobytem robotników niemieckich i ubóstwem robotników z Armady. Cierpiałaby nad tym ogromnie.

Dolo w dalszym ciągu prowadziła korespondencję z Inez i Angelą. Nie pisywała do nich jednak tak często jak dawniej. Ojciec po powrocie z Brazylii przywiózł jej wiadomości o przyjaciółkach. Państwo Frasquita zostali przeniesieni do Jaimewille, wobec czego Angela i Inez zostały także rozłączone. Od Inez Dolo otrzymała niedawno list. Przyjaciółka donosiła jej, że zaręczyła się z synem jednego z przyjaciół swego ojca.

Ludwik Rodenberg przeczytał kilka razy list dyrektora Delory. Tak, to rzecz postanowiona, pojedzie do Brazylii.

Tym razem chciał zabrać Dolo i to nie tylko ją samą, ale także i Janka. Skłaniały go do tego rozmaite powody. Przede wszystkim nie chciał się na dłuższy przeciąg czasu rozstawać z Dolo. Za każdym razem oboje cierpieli z powodu rozstania. Obecnie Dolo przywiązała się ogromnie do swojej nowej ojczyzny. Nie było już obawy, że powrót do Armady wywoła w niej uczucie nostalgii za Brazylią.

Nie miał zamiaru rozstawać się z Dolo, lecz nie chciał jej również narażać na długą rozłąkę z Jankiem. Uważał przy tym za wskazane, aby Janek obejrzał kopalnię i poznał tamtejsze warunki. Janek będzie się mógł przy tej okazji zorientować co do swoich zamiarów na przyszłość: czy jako mąż Dolores obejmie kierownictwo kopalni, czy też zrzeknie się tego.

Jeżeli zechcą pozostać w Armadzie, to będzie musiał rozstać się z nimi na długo. Myśl o rozłące budziła w nim smutek. Przecież nikogo nie kocha tak jak Dolo i Janka. Mniejsza o to, pogodzi się z losem. Zarządza majątkiem Dolo i musi nim sumiennie zarządzać. Skoro Janek zechce zostać dyrektorem Armady, kopalnia będzie w najlepszych rękach.

Ludwik Rodenberg spodziewał się w głębi duszy, że Janek będzie wolał powrócić do Niemiec. Byłoby to najlepsze wyjście z sytuacji. Wtedy można by się było zwrócić do amerykańskiego towarzystwa i omówić warunki sprzedaży. Ludwik nie chciał jednak wpływać na Dolo ani też na Janka. Musieli sami uczynić wybór, nie licząc się z nim i jego pragnieniami. Aby się zdecydować, powinni byli oboje pojechać do Brazylii.

Odpisał natychmiast dyrektorowi kopalni. Zawiadomił go, że postara się jak najprędzej przyjechać do Armady, w celu osobistej interwencji. Prosił, aby pan Delora wydał odpowiednie polecenia Pedrowi. Pedro miał doprowadzić dom do porządku i przyjąć na przeciąg kilku tygodni służących. Zaznaczył, że przybędzie w towarzystwie swojej córki i swego siostrzeńca.

Po napisaniu tego listu, udał się do gabinetu Ralfa Bernda. Inżynier Bernd obrzucił go badawczym spojrzeniem:

— Czy przychodzisz w jakiejś ważnej sprawie, wuju?

— Tak, Ralfie. Mam z tobą do pomówienia. Czy masz pół godzinki dla mnie?

— Znajdę dla ciebie czas, drogi wuju.

Usiedli naprzeciw siebie. Ludwik spoglądał z upodobaniem na przystojną, energiczną twarz Ralfa. Był z niego bardzo zadowolony. Ralf został dyrektorem działu technicznego w fabryce i wypełniał dzielnie swoje obowiązki. Był jednak stanowczo przeciążony pracą. Przydałby się bardzo drugi dyrektor w tym dziale.

Na razie Ludwik zarezerwował to stanowisko dla Janka. Może Janek zdecyduje się jednak powrócić do Niemiec i pracować w Rodenbergowskich fabrykach. Gdyby pozostał w Armadzie, trzeba będzie przyjąć kogoś na jego miejsce.

— A więc, mój drogi Ralfie, wiem, że masz nadmiar pracy i chciałbym cię trochę odciążyć. Nastąpi to w ciągu najkrótszego czasu. Na razie jednak będziesz musiał przyjąć na siebie nowe obowiązki. Rzecz oczywista, tylko na krótki przeciąg czasu. Czy możesz się przez kilka miesięcy obejść beze mnie?

Ralf spojrzał na niego zaskoczony. Wahał się chwilę, potem jednak odparł stanowczo:

— Skoro wspominasz o tym, to musi to być konieczne. A jeżeli jest konieczne, to się zrobi. Mamy przecież kilku dzielnych pracowników, którzy nam pomagają. Ponieważ wspominasz o tym, że chcesz wyjechać na kilka miesięcy, więc domyślam się, że chodzi o Armadę. Jestem bardzo zdumiony, bo przecież niedawno mówiłeś, że pragniesz się tam wybrać dopiero za jakieś pół roku.

— Taki miałem zamiar, teraz jednak zaszły tam okoliczności,

które zmuszają mnie do wcześniejszego wyjazdu. Proszę cię, przeczytaj ten list od dyrektora Delory.

Ralf przeczytał list, po czym rzekł z powagą:

— Więc i tam agitatorzy komunistyczni buntują robotników?

Ludwik wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc Ralfie, tamtejsi robotnicy mieliby więcej powodów do buntu, niż u nas. W Brazylii naprawdę mają niezbyt dobre warunki pracy. Ja sam nadałem im już dobrowolnie rozmaite przywileje. Dlatego też dziwię się, że właśnie robotnicy w Armadzie podnieśli bunt. Bo trzeba ci wiedzieć, że u mnie jest im znacznie lepiej, niż gdzie indziej. Bądź co bądź nie mam nic przeciwko temu, żeby dać im lepsze warunki. Delora zna moje stanowisko w tej sprawie. Jeżeli on sam pisze, że ich wymagania są zbyt wygórowane, to zapewne musi mieć słuszność. Wiemy przecież jak to bywa. Gdy już w takich pierwotnych ludziach budzą się jakieś pragnienia, wtedy przeważnie żądają rzeczy niemożliwych. Są jak

dzieci, na ogół skromni, chętni i pracowici, ale gdy się im obiecuje złote góry, wierzą każdemu i wyciągają ręce do tych złotych gór. Nieraz rozmawiałem na ten temat z różnymi ludźmi. Dziwię się, że robotnicy z Armady dali się tak łatwo podburzyć. Widocznie jednak musi tak być naprawdę. Nie wiem, czy urzędnicy postępowali z nimi niewłaściwie, czy też to wina agitacji. Tak czy inaczej muszę tam pojechać i zaprowadzić ład. Zdaje się, że to mi się prędko uda. Zobaczę, co można zrobić, żeby polepszyć warunki tamtejszych robotników. Uczynię dobrowolnie, co będzie w mojej mocy, nie pozwolę się jednak do niczego zmusić.

—Mam nadzieję, że ci to przyjdzie bez trudu.

—Nie obawiam się o to. Moi robotnicy są z natury łagodni, zwłaszcza Murzyni. Wśród białych zdarzają się rozmaite szumowiny, spodziewam się jednak, że poradzę sobie i z nimi. Najważniejsze, czy ty dasz sobie radę beze mnie.

—Ma się rozumieć, wuju. A zresztą wkrótce przyjedzie przecież Janek, on mi pomoże.

Ludwik przesunął ręką po czole.

—Na Janka nie masz co liczyć. Tobie pierwszemu zwierzę się z moich planów. Otóż pragnę, aby Janek pojechał ze dmą do Brazylii.

Ralf badawczo spojrzał na niego.

—Czy masz jakieś specjalne zamiary względem Janka?

—Na razie nie mam jeszcze określonych planów. Pragnę jednak, aby Janek poznał tamtejsze stosunki. Niech się zdecyduje, czy nie objąłby kierownictwa kopalni. Tak, Ralfie, z tobą mogę przecież mówić otwarcie, wiem, że nie powiesz o tym nikomu. Mam wrażenie, że między Jankiem a Dolo nawiązuje się coś — a może się już nawiązało — naturalnie, że zupełnie podświadomie...

Oczy Ralfa zabłysły.

—Jakie to dziwne! Ewa-Maria niedawno wspominała mi o tym. Powiada, że od dawna obserwuje tych dwoje i poczyniła rozmaite spostrzeżenia.

Ludwik uśmiechnął się.

—Kobiety mają w tych sprawach więcej intuicji niż mężczyźni. Ja jednak również poczyniłem pewne spostrzeżenia. Dolo i Janek są bardzo młodzi, lecz ostatecznie mogą już wkrótce dojść do porozumienia. Zaręczą się, a ja pragnę być na to przygotowany. A więc Janek pojedzie ze mną, żeby się trochę rozejrzeć i zdecydować czy obejmie Armadę. Dolo pojedzie także, bo i ona powinna powziąć decyzję. Poznała teraz dobrze Niemcy, niechaj więc rozstrzygnie czy woli mieszkać w Niemczech czy w Brazylii. Gdyby się zdecydowali powrócić do Niemiec, w takim razie sprzedam Armadę pewnemu towarzystwu. Wspominałem ci przecież w swoim czasie o propozycji tych Amerykanów. Dają mi bardzo dobre warunki. Naturalnie, że zakupiłbym duży portfel akcji dla Dolo i dla mnie. Może też uda mi się obecnie uzyskać dogodniejsze warunki płatności. Wiem przecież, jaką wartość posiadają te złoża srebra. To milionowy obiekt, nawet w dolarach. Nie pozwolę się oszukać, bo to własność Dolo, a ja zarządzam jej majątkiem. Muszę pod każdym względem spełnić moje obowiązki. Rozstanie z Dolo i z Jankiem stanowiłoby dla mnie ciężką ofiarę, ale trudno. Wolałbym, gdyby Janek pozostał w naszej fabryce, gdzie byłby bardzo potrzebny. Uważam Janka za mego spadkobiercę, jemu pozostawię fabrykę ojca. Może jednak Janek woli mieć samodzielne stanowisko w Armadzie. Nie chcę go namawiać, niech sam zadecyduje. Ja w każdym razie nie będę miał sobie nic do wyrzucenia. Naturalnie, że ani Janek ani Dolo nie powinni wiedzieć, że wymagam od nich decyzji. Powtarzam — nie chcę wywierać na nich nacisku. Muszą sami postanowić o swojej przyszłości. Ja zgodzę się na wszystko. Ralf serdecznie uścisnął jego rękę.

—Podziwiam cię, wuju Ludwiku.
Pan Rodenberg machnął ręką.

—Nie ma powodu do podziwu, drogi Ralfie. Spełniam tylko mój obowiązek, to rzecz zupełnie naturalna. W każdym razie sprawa ta musi na razie pozostać między nami.

—Ma się rozumieć, wuju.

—Nie wspominaj o tym także Ewie-Marii. Lękałaby się niepotrzebnie o brata. A to przecież jest jeszcze przedwczesne.

—Tak, wuju. Ewa-Maria będzie bardzo zmartwiona, jeżeli Janek zdecyduje się na zamieszkanie w Brazylii.

—Wiem o tym. Jednakże i ona potrafi się pogodzić z losem, tak jak ja. Możesz ją powoli przygotować i wspomnieć o naszym wyjeździe. Niech się oswoi z myślą o rozłące.

—Dobrze, wuju. Masz słuszność.

—Ty również powinieneś się odpowiednio urządzić. Postaraj się o jakiegoś tymczasowego zastępcę, nie zamęczaj się podczas naszej nieobecności. Wyjeżdżam spokojnie, wiedząc, że pozostawiam fabrykę pod twoją opieką. Wiem, że zarząd spocznie w najlepszych rękach.

—A kiedy spodziewasz się powrotu Janka?

—Janek powróci w najbliższych dniach. To także jest na razie tajemnica i musi pozostać między nami. Janek pragnie nam sprawić niespodziankę i prosił, abym nikomu nie mówił o jego przyjeździe ani też o wyniku ostatecznego egzaminu na politechnice. Mówiłem z nim przez telefon.

—A kiedy wyjedziesz, wuju?

—Postaram się jak najprędzej. Muszę naturalnie poczynić jeszcze przygotowania do wyjazdu. Dolo nie wie o niczym. Powiem jej o tym dopiero wtedy, gdy Janek tutaj przyjedzie.

— Obmyśliłeś wszystko doskonale.

Panowie uścisnęli sobie dłonie, po czym rozstali się. Każdy powrócił do swoich zwykłych zajęć.

***

Dolo stała w ogrodzie i zrywała jesienne kwiaty. Chciała nimi napełnić wszystkie wazony w pokojach. Zmieniła się niewiele w ciągu tych kilku lat. Uro-

sła jednak i cokolwiek przytyła, miała teraz ruchy spokojniejsze i bardziej opanowane. Dolo dojrzała zewnętrznie i wewnętrznie. Wypiękniała, stała się bardziej kobieca.

Wyglądała w tej chwili prześlicznie, gdy tak stała w ogrodzie z naręczem barwnego kwiecia w rękach. Miała na sobie szarą jedwabną sukienkę o srebrzystym połysku, stanowiącą wymarzone tło dla jej świeżej cery i kasztanowych włosów.

Dolo miała doskonały gust i wybierała instynktownie te kolory, które pasowały do jej rzadkiego koloru włosów. Srebrzysty, błyszczący miękki materiał i jej miedziane, metaliczne loki tworzyły zachwycający kontrast.

Tego samego zdania był również Janek Dornau, który przed chwilą wszedł niepostrzeżenie do ogrodu. Dolo nie zauważyła go wcale. Janek przystanął i z zachwytem wpatrywał się w piękną dziewczynę.

Przed godziną zaledwie przyjechał z Berlina do domu. Zajechał do willi Rodenbergów, uściskał swoją siostrę, zaskoczoną jego nieoczekiwanym przybyciem, opowiedział jej o pomyślnym wyniku egzaminów, po czym natychmiast pożegnał Ewę-Marię, mówiąc:

— Muszę się przywitać z ciocią Melanią i z Dolo. Później wstąpię do fabryki.

Ewa-Maria nie zatrzymywała brata. Wiedziała dobrze, dokąd się śpieszy, rozumiała jego tęsknotę. Przeczuwała od dawna, co się dzieje w sercu brata.

Janek przywitał się już z ciocią Melanią, po czym zaraz zapytał o Dolo. Pani Martens powiedziała mu, że Dolo jest w ogrodzie i ścina kwiaty. Janek natychmiast podążył do ogrodu.

Stał teraz, nieco na uboczu, i spoglądał na Dolo. Płonącymi oczyma śledził każdy ruch jej smukłej postaci, spowitej w srebrzystą sukienkę. Powoli postąpił kilka kroków naprzód. Dolo wciąż jeszcze nie spostrzegała Janka. Wreszcie przystanął w pobliżu i zawołał:

— Dolo!

Drgnęła i zaczęła się rozglądać wokoło. Wreszcie spostrzegła Janka i stanęła jak wryta. Zdawało się, że dźwięk jego głosu obezwładnił ją. Zauważył, że najpierw pobladła, a później spłonęła rumieńcem. Później oczy jej rozszerzyły się, te jedyne na świecie, cudowne złocistobrunatne oczy, tak bardzo ukochane przez niego; te oczy, o których śnił po całych nocach, gdy przebywał z daleka od niej.

— Janku! Janku! To ty?

Słowa te wyrwały się jej bezwiednie z ust. Z trudem panowała nad wzruszeniem. Nie spodziewała się przecież, że już dziś ujrzy Janka.

Janek podszedł do niej i ujął jej obie ręce. Kwiaty osunęły się na trawnik.

— Dolo, powiedz, czy cieszysz się choć trochę, że już przyjechałem?

Zdradziecki rumieniec zalał znowu policzki dziewczęcia.

— Tak, tak, bardzo się cieszę... Nie wiedziałam wcale, że masz dzisiaj przyjechać i dlatego przestraszyłam się trochę, gdy cię tu ujrzałam tak niespodziewanie... Bo... bo właśnie w tej chwili myślałam o tobie...

Właściwie Dolo wciąż myślała tylko o Janku. On wyłącznie zaprzątał jej myśli i uczucia. Nie mogła mu jednak powiedzieć prawdy. Dziewicza duma zamykała jej usta.

Janek milczał i wciąż wpatrywał się w Dolo.

Zauważył z radością, że nosi na szyi czterolistną koniczynę, którą podarował jej przed laty na Gwiazdkę. Przypomniało mu to pierwsze święta Bożego Narodzenia, jakie spędzili razem. Szmaragdowa koniczynka odbijała się, lśniąca, na tle szarego jedwabiu sukni.

Ilekroć Janek przyjeżdżał na wakacje, widział zawsze ten wisiorek na szyi Dolo. Wówczas jednak Dolo wiedziała za każdym razem, że Janek ma przyjechać. Dziś nie wiedziała o tym, a mimo to przystroiła się w ten klejnocik. Janka ogarnęła szalona radość. Przecież był to nieomylny znak, że Dolo stale nosiła na szyi tę czterolistną koniczynę.

Janek nie mylił się. Dolores nie rozstawała się z tym amuletem. Rzadko kiedy stroiła się w piękną i kosztowną biżuterię, odziedziczoną po matce. Ulubionym i najcenniejszym klejnotem była właśnie owa koniczynka, ponieważ otrzymała ją od Janka.

— Chciałem ci sprawić niespodziankę, Dolo — odezwał się po chwili — właściwie chciałem wam wszystkim sprawić niespodziankę...

— Więc nikt nie wiedział, że masz przyjechać?

— Nikt, oprócz wuja Ludwika. Jego zawiadomiłem natychmiast po zdaniu ostatecznego egzaminu.

— Zdałeś już ten straszny egzamin?

— Tak, zdałem i ukończyłem wyższe studia. Nareszcie! — powiedział z głębokim westchnieniem.

Spojrzała na niego uszczęśliwiona i spytała nieśmiało:

— Więc już nie wyjedziesz? Zostaniesz tutaj?

— Tak, Dolo!

W oczach Dolo zalśnił promienny blask. Janek pojął, jak bardzo jest rada, że nie ma już potrzeby wyjeżdżać. Serce jego zabiło z radości.

Dolo tymczasem opanowała się zupełnie.

— A ja się z tobą wcale nie przywitałam. Przestraszyłam się tak bardzo, że zapomniałam o tym.

— Nie szkodzi! Najważniejsze, że się cieszysz z mego przyjazdu i że będę mile widziany.

— O, czyż mogłeś wątpić o tym? A zresztą, wcale przecież nie wątpiłeś, tylko tak udajesz. Więc naprawdę ukończyłeś już wyższe studia?

Roześmiał się, pełen radości i dumy.

— Przypatrz mi się, ale porządnie. Przed tobą stoi pan inżynier Jan Dornau.

— Naprawdę?

— Ależ tak!

Wciąż jeszcze trzymał w uścisku jej drobną rączkę. Czuł wyraźnie jej lekkie drżenie i ciepło smukłych paluszków. Czuł je tak mocno, tak głęboko, że zdawało mu się, iż przenika ono aż do serca.

— Winszuję ci, kochany Janku i życzę ci szczęścia. A może powinnam do ciebie mówić „panie inżynierze"? — dodała z filuternym uśmiechem.

Zmarszczył czoło i spojrzał na nią z komiczną powagą.

— Nie, ponieważ należysz do rodziny, więc nie wymagam, abyś mnie tytułowała. Na razie jeszcze ten tytuł sprawia mi wielką przyjemność, ponieważ jestem świeżo upieczonym inżynierem. Ale wiesz, Dolo, ty się zmieniłaś od czasu naszego ostatniego widzenia...

— Zmieniłam się?

— Urosłaś porządnie, o cały kawałek... Tak, naprawdę. Gdy byłem po raz ostatni w domu sięgałaś mi zaledwie do ramienia. A teraz... teraz... czuję twoje włosy tuż przy moich ustach...

Przybliżył wargi do jej lśniących włosów. Ach, jakże pragnął ucałować te włosy, te cudowne, miedziane loki. Miały piękność i połysk jedwabiu, a jesienne słońce rozpalało w nich metaliczne refleksy. A przy tym unosiła się z nich taka słodka, dziwnie upajająca woń...

Dolo drgnęła i spojrzała z przestrachem na Janka. Oszołomiła ją delikatna pieszczota jego warg. Zmieszana, z rumieńcem na twarzy, cofnęła rękę z jego uścisku i oddaliła się o kilka kroków. Pochyliła się nad murawą i zaczęła zbierać rozsypane kwiaty. Układała je starannie, usiłując nie patrzeć na Janka. Unikała wbrew woli jego spojrzenia. A przecież z wielką chęcią spojrzałaby w tej chwili na to najdroższe oblicze. Ona również zauważyła, że Janek się zmienił, lecz nie miała odwagi powiedzieć mu o tym. Tak, stał się mężczyzną. Twarz jego stała się inna, dojrzalsza, bardziej męska. Rysy wyostrzyły się, oczy nabrały wyrazu powagi. Janek był obecnie jeszcze bardziej podobny do swego wuja Ludwika.

Po chwili Dolores zebrała wszystkie kwiaty i nieśmiało podniosła wzrok na Janka.

—Tak, Luteczek także powiada, że ostatnio urosłam. Jestem teraz prawie tego samego wzrostu, co Ewa-Maria. Czy widziałeś się już z Ewą-Marią?

—Naturalnie! Zajechałem przecież do willi Rodenberg.

—A co powiedziała twoja siostra, gdy się dowiedziała o twoim dyplomie inżynierskim? — spytała Dolo.

Zachowywała się teraz zupełnie swobodnie, maskując swoje zmieszanie żartobliwym tonem. Janek nie odrywał od niej zachwyconych oczu.

—Ewa-Maria cieszyła się bardzo, ucałowała mnie i powiedziała mi tyle miłych i serdecznych słów na powitanie...

W słowach tych brzmiało coś na kształt lekkiego wyrzutu. Dolores wyczuła to natychmiast i zmieszała się ogromnie. Ach, ona przecież nie mogła przywitać Janka w taki sposób... Nie mogła, chociaż pragnęła... Spuściła oczy i zarumieniła się mocno...

Janek pożałował natychmiast swoich słów i postanowił wybawić Dolores z tego zakłopotania. Na usta cisnęły mu się gorące wyrazy miłości, pojmował jednak, że jeszcze nie pora mówić z Dolo o swoich uczuciach. Wprawdzie i ona zdaje sobie już sprawę ze swojej miłości, ale jest tak młoda, naiwna i niedoświadczona, że takie przedwczesne wyznanie mogłoby ją spłoszyć. Nie, nie można jej jeszcze zadać decydującego pytania. Trzeba mieć cierpliwość i poczekać.

Pragnął, aby się uspokoiła i pokonała zmieszanie. Toteż po chwili zapytał na pozór spokojnie:

Może ci pomóc przy ścinaniu kwiatów? Dolo odetchnęła z ulgą.

—Tak, proszę cię bardzo. Potrzeba mi dużo kwiatów do przybrania stołu.

—Dobrze, pomogę ci.

— Czy przywitałeś się już z ciocią Melanią? , — Tak. Ona właśnie mi powiedziała, że cię zastanę w ogrodzie.

— A co mówiła na temat twego dyplomu?

—Cieszyła się bardzo.

Dolo obrzuciła Janka promiennym spojrzeniem. W oczach jej malowała się radość i duma.

—Och, Janku, ukończyłeś twoje studia o wiele wcześniej niż Egon. On na Wielkanoc przystąpi dopiero do pierwszego egzaminu. A przecież rozpocząłeś o wiele później od niego.

—Mnie poszło o wiele łatwiej, bo byłem dobrze przygotowany Nauczyłem się wiele w fabryce pod kierunkiem Ralfa.

—Tak, ale Ewa-Maria mówiła, że tobie nauka przychodzi z większym trudem niż komu innemu, bo nie potrafisz spokojnie usiedzieć na jednym miejscu.

Janek przeciągnął się jak struna i westchnął z ulgą.

—Tak, to było najtrudniejsze! Chwała Bogu, że się to już skończyło. I jeszcze coś dręczyło mnie tak strasznie...

—Co takiego, Janku?

—Tęsknota. Myślałem wciąż o domu...

—Naprawdę, Janku? Myślałeś często o nas? — spytała cichutko.

—Za często, Dolo. Myśli nie dawały mi spokoju... Milczeli długą chwilę. Później Janek odezwał się nagle:

—Wiesz, Dolo, prześlicznie ci w tej szarej sukience. Znowu oblała się zdradzieckim rumieńcem.

—Widzę, że nauczyłeś się prawić komplementy.

—Nie, nie! Mówię przecież prawdę. Do twarzy ci w tym szarym kolorze. W ogóle wyglądasz teraz zawsze tak elegancko, a przy tym tak egzotycznie. Umiesz

się korzystnie ubierać, wszystkie twoje suknie są ładne. Najbardziej jednak lubię cię w białych sukniach. Biała barwa najlepiej pasuje do ciebie.

—Ja także najchętniej ubieram się w białe suknie. Gdy mieszkałam jeszcze w Armadzie, stale ubierałam się na biało. Tylko do konnej jazdy miałam specjalny ubiór, podobny zresztą do tego, jaki mam obecnie. Tutaj to nie zawsze uchodzi. Lubię jednak jasne kolory i pastelowe tony.

—Masz słuszność.

—Jeżeli chodzi o moje suknie, to powinieneś skierować twoje pochwały do Ewy-Marii. Zasięgałam często jej rady i nauczyłam się od niej bardzo wiele.

—Być może, ale i ona powiada, że masz wrodzony dobry smak. Dolo zmieszała się i zmieniła szybko temat rozmowy.

—Mam teraz dosyć kwiatów, Janku. Chodźmy już do domu!

Włożyła swoje kwiaty do koszyczka, po czym chciała go przewiesić przez rękę. Janek jednak wyjął jej koszyk z rąk. Oboje udali się do domu.

Ciocia Melania miała jakieś zajęcie, z czego Janek był bardzo rad. Mógł jeszcze trochę nacieszyć się towarzystwem Dolo. Przyglądał się jej, jak układała kwiaty w wazonach. Każdy jej ruch tchnął niewysłowionym wdziękiem.

Janek znowu poczuł, jak bardzo kocha tę smukłą dziewczynę, jak pragnie jej całym sercem, całą duszą. Dla niego była ona uosobieniem urody i powabu. Z trudem tylko panował nad sobą.

Rozmawiali o rozmaitych sprawach. Janek zapytał, czy Dolo codziennie jeździ konno.

Odpowiedziała twierdząco, po czym dodała z uśmiechem:

—Spodziewam się, że teraz będę miała częściej tę przyjemność.

—Przecież i teraz jeździsz codziennie?

—Tak, ale to są krótkie przejażdżki. Ciocia Melania nie pozwala mi jeździć samej, a twoja siostra tak prędko męczy się. Nie potrafi wytrzymać na siodle dłużej niż godzinę.

—A wuj Ludwik?

—Luteczek i Ralf śpieszą się do fabryki i mają niewiele czasu. Tylko w niedzielę jeździmy z Luteczkiem przez całe prawie przedpołudnie. Teraz liczę na ciebie. Mam nadzieję, że będziesz często jeździł w góry do drwali.

—Ja także spodziewam się tego. Postaram się, żeby mi dawano do załatwienia jak najwięcej spraw poza obrębem fabryki. Wtedy będę jeździł konno. Naturalnie, że teraz rozpocznie się dla mnie zupełnie inna, znacznie poważniejsza praca.

—Dlaczego?

—Obecnie zacznę już na dobre pracować w fabryce. To nie to, co dawniej, gdy przyjeżdżałem tylko do domu na wakacje. Pragnę zresztą mieć dużo roboty.

— Ale będziesz mnie zabierał na konne przejażdżki? Oczy jego zabłysły.

—Och, Dolo, z największą chęcią!

Rozmawiali dalej, na pozór bardzo swobodnie, a jednak w rozmowie tej drgała jakaś głębsza nuta. Starali się przed sobą nawzajem ukrywać swoje prawdziwe uczucia. Żadne z nich nie chciało się zdradzić. Mimo to każde słowo, najprostsze nawet, nabierało w ich ustach szczególnego znaczenia. Oboje wyczuwali to podświadomie i dlatego ta rozmowa o rzeczach błahych i codziennych sprawiała obojgu tak wielką rozkosz.

Nie spostrzegli wcale, jak prędko minął czas do obiadu. Ocknęli się dopiero, gdy do pokoju wszedł Ludwik Rodenberg.

Dolo podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję.

—Jesteś już, Luteczku? Czy to już pora obiadu?

—Tak, Dolo. Zapewne zagadałaś się z Jankiem.

—Wyobraź sobie Luteczku, że stanął przede mną nagle i niespodziewanie w ogrodzie, zupełnie jakby spadł z nieba. Przestraszyłam się bardzo.

—Naprawdę? A jak ci się podoba, że Janek został inżynierem? Zaśmiała się filuternie. W obecności ojca czuła się znacznie pewniejsza.

—Byłam zdumiona, Luteczku. Pan inżynier — to już osobistość godna najwyższego szacunku. Mamy teraz w rodzinie trzech inżynierów.

—Tak, Dolo, to nie byle co!

Ludwik wyciągnął rękę do Janka.

—Przepraszam cię, wuju. Chciałem jeszcze wstąpić do fabryki i przywitać się z tobą i z Ralfem, ale się zagadałem.

—Nie szkodzi, mój chłopcze. Ale nie, nie powinienem cię już nazywać w ten sposób, jesteś przecież dorosłym mężczyzną, prawdziwym mężczyzną. Prawda, Dolo?

I Ludwik Rodenberg spojrzał badawczo na Dolo, która się natychmiast zarumieniła. Pokonała jednak zmieszanie i odparła żartobliwie:

—Bardzo mu do twarzy z tym tytułem inżyniera. Wygląda po prostu imponująco.

—Dolo, widzę, że żartujesz sobie ze mnie! Potrząsnęła głową.

—O nie! Teraz nie ośmieliłabym się już kpić z ciebie. Ludwik położył ręce na ramionach Janka.

—O tym przecież nie może być mowy. Takiej małej dziewczynce nie wolno żartować z pana inżyniera.

—Urosła, wuju Ludwiku, nie ma już małej dziewczynki. Mimo to postaram się już pozyskać jej szacunek. Musi mnie wreszcie uznać za mężczyznę. Ja także przestałem być chłopcem. Tylko z twoich ust słyszę chętnie tę nazwę. Pragnąłbym pozostać na zawsze twoim chłopcem.

Ludwik poklepał go po ramieniu. Rozmawiali przez chwilę, dopóki nie zjawiła się ciocia Melania.

—Czy zostaniesz u nas na obiedzie, Janku? — zapytała.

—Bardzo chętnie, skoro mnie chcecie zatrzymać.

— Ależ naturalnie.

—Wobec tego, muszę zawiadomić Ewę-Marię.

—Dobrze, zatelefonuj do niej — rzekł pan Ludwik. — Rad jestem, że zostajesz. Po obiedzie porozmawiamy. Mam z tobą ważne sprawy do omówienia. Ciocia położy się po obiedzie, a wtedy pogadamy.

Janek zatelefonował do siostry. Do aparatu podszedł Ralf.

—Hallo, czy to ty, Ralfie? Chciałem wstąpić do fabryki i przywitać się z tobą, ale jakoś nie doszło do tego.

—Mam nadzieję, że przyjmujesz także powinszowania przez telefon. Ewa-Maria mówiła mi, że masz już dyplom.

—Tak, Ralfie. Poszło prędko i dobrze, dzięki twojej pomocy.

—Winszuję ci, mój drogi, cieszę się bardzo. Jestem bardzo dumny z mego ucznia. Ale, ale, Janku! Dziś wieczorem oblejemy chyba twój dyplom?

—Ma się rozumieć, Ralfie. Powiedz Ewie-Marii, że nie będę dziś na obiedzie.

—Powiedz jej sam, bo stoi obok mnie. j,~

—No, to poproś ją do telefonu.

W chwilę później zgłosiła się Ewa-Maria.

—Hallo, Janku! Prawdopodobnie chcesz mi powiedzieć, że nie przyjdziesz na obiad?

—Tak, Ewo-Mario, zostałem zaproszony na obiad do willi Melanii. Wuj Ludwik chce po obiedzie omówić ze mną coś ważnego. Nie gniewaj się na mnie!

—Dobrze, nie będę się gniewać, ale dziś wieczorem musicie wszyscy przyjść do mnie na kolację. Ralf chce koniecznie przyrządzić jakiś nadzwyczajny kruszon, aby oblać twój dyplom. A pragnę cię przynajmniej wieczorem mieć w domu.

—Zgoda, Ewo-Mario. Do widzenia!

—Do widzenia, pozdrów wszystkich.

Janek powtórzył zaproszenie siostry, które zostało przyjęte. Mieszkańcy obu willi w dalszym ciągu bardzo serdecznie obcowali ze sobą i odwiedzali się bardzo często.

***

Po obiedzie pani Melania udała się do swego pokoju na zwykłą poobiednią drzemkę. Ludwik z Jankiem i Dolo weszli do pięknie urządzonego saloniku. Usiedli wszyscy troje w małej i przytulnej niszy, gdzie stał pięknie nakryty okrągły stolik. Na stoliku stała już maszynka do kawy i maleńkie filiżanki.

Dolo sama przyrządziła dzisiaj kawę. Nauczyła się wielu zajęć gospodarskich i bardzo chętnie zajmowała się domem. Nie potrzebowała już teraz tak licznej służby jak dawniej, umiała sobie sama dać radę. Miała tylko na swoje usługi jedną pokojówkę.

Dolo napełniła filiżanki wonną kawą, po czym usiadła przy stole.

—A więc, moje dzieci — zagaił Ludwik Rodenberg — wspomniałem wam już, że pragnę z wami omówić coś ważnego. Otóż kilka dni temu otrzymałem list od dyrektora Delory. Okazuje się, że powinienem jak najprędzej pojechać do Brazylii...

Dolo ciężko westchnęła.

—Domyślałam się tego, Luteczku. Czułam, że twój wyjazd będzie konieczny.

—No, a co będzie z tobą, Dolo? Czy chcesz tym razem pojechać ze mną?

Dolo w jednej chwili zbladła. Spojrzała na Janka i spostrzegła z biciem serca, że i on jest blady jak opłatek. Janek rzeczywiście przeraził się i pomyślał ze smutkiem:

—Jeżeli Dolo teraz pojedzie do Brazylii... właśnie teraz gdy ja nareszcie przyjechałem... w takim razie nie kocha mnie i nigdy mnie nie pokocha...

Sercem dziewczyny miotała jednak burza różnorodnych uczuć. Co począć? Czy wyjechać na kilka miesięcy i zostawić Janka? Nie, nie chce nowej rozłąki. Serce bolało ją na samą myśl o tym.

A z drugiej strony nie może przecież puścić Luteczka. On także będzie cierpiał z powodu rozłąki. Opowiadał jej, jak tęsknił za nią, gdy zeszłym razem pojechał sam do Armady. Brakowało mu na każdym kroku jego małej Dolo!

Co począć? Co powinna uczynić? Walczyła ze sobą. Mieniła się na twarzy, lecz nie odpowiadała. Nie mogła się przecież tak od razu zdecydować.

Pan Ludwik spostrzegł, że Dolo toczy ze sobą ciężką, wewnętrzną walkę. Spostrzegł również bladość Janka, który badawczo spoglądał na Dolo. Czuł, że oboje lękają się ponownego rozstania. Nie chciał ich dłużej dręczyć, nie chciał także, aby Dolo pozostawała w rozterce wobec tak trudnego wyboru. I dlatego też powiedział szybko:

—Zastanów się, moje drogie dziecko, nie żądam od ciebie natychmiastowej odpowiedzi. Namyśl się dobrze, a ja tymczasem poproszę Janka, żeby towarzyszył mi w tej podróży.

Oboje młodzi ludzie drgnęli i spojrzeli pytająco na pana Ludwika.

—Mnie? Mnie chcesz zabrać do Brazylii, wuju? — zapytał Janek niepewnym głosem.

Przed chwilą jeszcze obawiał się, że Dolo zechce pojechać z ojczymem do Armady. Teraz drżał z obawy, że Dolo gotowa pozostać w Niemczech.

—Tak, Janku — rzekł z uśmiechem pan Ludwik — sądzę, że taka podróż wyjdzie ci na dobre. Poznasz Brazylię, a przede wszystkim kopalnię w Armadzie. To cię na pewno zainteresuje. Poza tym, uważam za wskazane, żebyś zwie-

dził kawał świata. A wreszcie pragnę ci zafundować tę podróż w nagrodę za twój doskonały dyplom.

Janek przesunął ręką po czole. Wiadomość wuja była tak nieoczekiwana, że młody człowiek został zupełnie wytrącony z równowagi. Milczał oszołomiony i rozważał wszystkie dodatnie i ujemne strony tego wyjazdu.

Tak, ta podróż nęciła ogromnie. Pragnął pojechać — ale nie chciał jechać bez Dolo. Uzależniał swoją decyzję od jej decyzji. Ach, gdybyż wiedział, czy Dolo się zgodzi, czy też pozostanie w Niemczech.

Teraz on znalazł się w niemiłej sytuacji. Musiał przecież powziąć jakieś postanowienie i odpowiedzieć wujowi.

Spojrzał badawczo na Dolo — oczy obojga zatonęły w sobie. Janek spostrzegł, że w oczach dziewczyny płonie tłumiona radość. Zrozumiał wszystko. Tak, Dolo na pewno pojedzie, skoro Luteczek zaprosił Janka.

Jednocześnie prawie Dolo powiedziała:

—Naturalnie, że pojadę z tobą, Luteczku!

Janek odetchnął z ulgą i natychmiast oświadczył:

—Pojadę bardzo chętnie do Brazylii, skoro mnie chcesz zabrać, drogi wuju.

Ludwik z trudem wstrzymywał się od uśmiechu.

—A więc dobrze, pojedziemy wszyscy troje. Musicie się jednak w ciągu krótkiego czasu przygotować do podróży.

Janek i Dolo odetchnęli z ulgą, jakby ktoś uwolnił ich ze złych czarów. Obecnie, gdy oboje już wiedzieli, że odbędą wspólnie tę podróż, zaczęła się im ona ukazywać w bardzo ponętnym świetle.

Ludwik powiedział im teraz, kiedy mniej więcej wyjadą i poprosił, aby się przygotowali do drogi. Nie zataił przed nimi również powodu, jaki skłaniał go do tej podróży.

—Nasi robotnicy są niezadowoleni ze swego losu i zaczynają się buntować. Dyrektor Delora spodziewa się, że moja obecność wystarczy, aby ich uspokoić.

Dolo zerwała się.

—Och, Luteczku, powiesz im, że w ich bycie nastąpi poprawa. Ja także pomówię z nimi, mam nadzieję, że mnie jeszcze nie zapomnieli.

—Zobaczymy na miejscu, co się da zrobić, moje dziecko.

—Ach, i zobaczę znowu Inez i Angelę i Joni i Boni i Pedra... Zobaczę ich wszystkich! — zawołała Dolo z ogromną radością.

—A ja jestem bardzo ciekawy, jak ci się teraz spodoba w Armadzie. Poznałaś już życie w Niemczech, oswoiłaś się z nim i czujesz się dobrze w nowej ojczyźnie. Będziesz mogła obecnie osądzić czy wolisz tę nową ojczyznę, czy też dawną...

Dolores w zamyśleniu spojrzała na ojca.

—Tak, ja sama jestem tego bardzo ciekawa. W każdym razie cieszę się bardzo, że pojedziemy. A ty Janku?

Spojrzał na nią błyszczącymi oczyma. Czy się cieszy? Nie brakło mu słów na wyrażenie tej wielkiej radości! Odbędzie tę piękną i ciekawą podróż w towarzystwie Dolo. Spędzi z nią kilka tygodni na pokładzie wspaniałego okrętu. Nie będą się rozłączać ani na chwilę. Będzie ją miał dla siebie, tylko dla siebie. Jakże się tu nie cieszyć?

—Wiesz, Dolo, że jeszcze nie oswoiłem się z tą myślą. Wiadomość wuja spadła na mnie tak nieoczekiwanie, że zostałem zupełnie wytrącony z równowagi. Nie dowierzam wcale, że spotka mnie tak wielka przyjemność. Właściwie miałem zupełnie inne plany, chciałem się na serio zabrać do roboty. Cieszyłem się bardzo, że zacznę pracować w fabryce jako inżynier... Ale ta podróż... Ach, Dolo, jakże się tu nie cieszyć z tej wspaniałej podróży!

Ludwik Rodenberg słuchał z uśmiechem słów siostrzeńca.

—Praca nie ucieknie ci, mój chłopcze. Jeszcze się później dosyć napracujesz, masz czas. Dopiero przecież ukończyłeś studia.

—Tak, wuju, ale Ralf...?

—Trudno, Ralf będzie miał podwójną robotę w czasie naszej nieobecności, ale sądzę, że da sobie radę. Rzecz oczywista, że Ralf będzie za wszystko odpowiedzialny. Ostatecznie jednak znajdował się już dwa razy w tym położeniu, więc i teraz podoła swoim obowiązkom. Mamy dzielnych, doświadczonych urzędników, oni mu pomogą. Przecież wyjeżdżamy tylko na kilka miesięcy, a nie ma innego wyjścia, muszę jechać.

Janek i Dolo spojrzeli na siebie rozpromienieni. Z wielkim zapałem zaczęli omawiać szczegóły podróży. Pan Ludwik udzielał im " wyjaśnień. Należało jeszcze niejedno załatwić przed wyjazdem.

***

Wieczorem wszyscy zebrali się w willi Rodenberg. Tutaj pan Ludwik opowiedział całej rodzinie o swoich zamiarach. Ewa-Maria zmartwiła się trochę, ona przecież cieszyła się tak bardzo z powrotu Janka. Rodzeństwo kochało się ogromnie. Ewa-Maria rada była, że będzie miała brata przy sobie. Tak długo przebywał w Berlinie, a teraz zaledwie powrócił, musi wyjechać znowu. Marzyła o tym, że brat zamieszka z nią, że będzie się nim opiekowała i da mu w domu te wszelkie wygody, jakich nie miał w Berlinie. Musiała jednak zrezygnować z tych planów i pogodziła się z losem.

Spostrzegła przy tym jak bardzo Janek cieszy się myślą o tej podróży z Dolo. Wiedziała, że jej brat byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby Dolo odjechała sama ze swoim ojcem. Dolo również promieniała radością a Ewa-Maria nie chciała obojgu młodym zamącać pogodnego nastroju. Dlatego też starała się panować nad swoim smutkiem i nie wspominała o swoim zmartwieniu.

Pani Melania była również bardzo zaskoczona.

—Mój Boże, zostanę sama jedna! — westchnęła.

—Chciałem ci właśnie zaproponować Melanio, żebyś sobie zaprosiła na kilka tygodni Jolantę. O ile mi wiadomo, Henryk zamierza wkrótce wyjechać w jakiejś sprawie do Anglii. W ciągu tego czasu Jolanta mogłaby zabawić u ciebie. Nie będziesz więc taka osamotniona. A przy tym i Egon ma obecnie wakacje i na pewno przyjedzie na kilka tygodni.

Pani Melania z westchnieniem skinęła głową. Ona również pogodziła się z losem.

—No tak, naturalnie, będę się musiała jakoś obejść bez was. Jak długo pozostaniecie w Brazylii? Mam nadzieję, że na Gwiazdkę będziecie już w domu?

Ludwik zaczął obliczać.

—O tak, Melanio! Nasz okręt odpływa dwudziestego września. Podróż w jedną stronę trwa miesiąc, musimy więc na samą podróż policzyć dwa miesiące. Przypuszczam, że załatwię swoje sprawy w ciągu miesiąca. Zdaje się, że nasza nieobecność potrwa trzy miesiące. A zatem święta Bożego Narodzenia spędzimy już w domu.

—Wróćcie na Gwiazdkę — poprosiła Ewa — Maria.

—Tak, wujaszku, musisz nam przyrzec, że powrócicie na święta. Pan Ludwik skinął głową.

—Mnie samemu zależy na tym, żeby jak najprędzej powrócić. Wiem przecież, że Ralf będzie miał wiele pracy, a nie chciałbym, żeby się przepracował.

—Nie martw się o to, drogi wuju, ja sobie dam radę — zapewnił go Ralf z wrodzonym optymizmem.

Wszyscy byli bardzo zdenerwowani, wszyscy zadawali pytania, naradzali się. Debatowano z wielkim zapałem na temat podróży. Dopiero po jakimś czasie minęło pierwsze podniecenie, a umysły nieco się uspokoiły. Z tej chwili skorzystał Ralf, który oznajmił ze śmiechem:

—Moi państwo, przecież właściwie zebraliśmy się po to, aby uczcić naszego młodego inżyniera. Mamy oblać uroczyście jego dyplom. Mój znakomity kruszon czeka tylko na to, żeby go wypić.

„Oblano" więc należycie inżynierski dyplom Janka. Biesiada przeciągnęła się do późnej nocy. Wreszcie trzeba było się pożegnać. Gdy już wszyscy wychodzili, Janek zbliżył się do Dolo i powiedział cicho, drżącym głosem:

— Wiesz, Dolo, cieszę się ogromnie z tego wyjazdu do Brazylii. Gdybyś ty jednak miała pozostać tutaj, to nie sprawiłoby mi to najmniejszej radości.

Nie odpowiedziała, lecz obrzuciła go przeciągłym, wymownym spojrzeniem. Wyczytał z jej oczu, że nie pojechałaby na pewno, gdyby on musiał zostać w Niemczech. Zrozumiał mowę jej oczu, a serce jego wezbrało szaloną radością.

Cieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby mu to powiedziała. Niestety, było to w tej chwili niemożliwe.

***

Jeszcze tylko kilka dni dzieliło Janka i Dolo od podróży. Ten krótki okres minął bardzo szybko. Musieli oboje pozałatwiać wiele spraw, które zajmowały większą część dnia. Takie niezbędne przygotowania przed daleką podróżą zwykły pochłaniać wiele czasu.

Dolo następnego dnia po rozmowie z ojczymem napisała zaraz listy do swoich obu przyjaciółek i zawiadomiła je o swoim przybyciu. Wiedziała, że Angelę zobaczy przejazdem, gdy zatrzyma się w Jaimeville. Inez postanowiła odwiedzić zaraz po przyjeździe do Armady, o ile by Inez nie mogła przyjechać do niej.

Wspomniała o swoich zamiarach Jankowi.

— Musisz koniecznie pojechać ze mną na rancho pana Hermadosa. Wtedy dopiero przekonasz się, jaka to przyjemność rzucać lassem i jeździć na nie osiodłanych koniach. Zobaczę fbśSfównież mojego wierzchowca. Ciekawa jestem, czy mnie pozna? orzekła do

Janka. ^

Podczas ostatniego tygodnia młodzi ludzie widywali się bardzo rzadko, każde z nich musiało załatwiać rozmaite sprawy dla siebie. Pocieszali się jednak myślą o bliskiej, wspólnej podróży. Wtedy przecież nie będą się rozłączać ani na chwilę. Oboje byli niezmiernie szczęśliwi, myśląc o tym.

Wszystko było gotowe na czas. Nastąpiła chwila pożegnania. Najsmutniej wypadło pożegnanie z Ewą-Marią. Młoda kobieta cierpiała ogromnie nad rozłąką z bratem. Rozstawali się wprawdzie już nieraz, nawet i na dłuższy czas, lecz nigdy przecież Janek nie odjeżdżał tak daleko, jak tym razem. Ta odległość właśnie wzbudzała największy niepokój w sercu Ewy Marii.

Janek miał pojechać w nieznane. Kto wie, co czeka go w takiej podróży? Albo też w samej Brazylii? Przecież ta Armada znajduje się gdzieś daleko, na jakimś pustkowiu. Modliła się, żeby Janek powrócił zdrów i cały. Lękała się bardzo o brata. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że Janek będzie narażony na jakieś niebezpieczeństwo.

Wspomniała mu o swoich obawach, a Janek starał się pocieszyć siostrę.

—Nie przejmuj się tak bardzo, Ewo-Mario, nie ma powodu do obawy!

—Ach, Janku, tak mi ciężko na duszy!

—Cóż mi się może przytrafić, Ewo-Mario.

Jej piękne, jasne oczy napełniły się łzami. Z troską spojrzała na brata.

—Sama nie wiem, Janku, ale przecież możesz być narażony na rozmaite niebezpieczeństwa. Któż to może wiedzieć, co spotka człowieka podczas tak długiej podróży.

—Ależ, Ewo-Mario! Nic mi się nie stanie, bądź spokojna.

—Przypomnij sobie dzieje wuja Ludwika. Okręt, na którym płynął do Ameryki Południowej, rozbił się i zatonął. Wuj został tylko cudem ocalony. Przyznam ci się, że nie przestaję myśleć o tej okropnej katastrofie...

—Nie bądź takim tchórzem, siostrzyczko. Wuj wyjechał przed laty starym, kiepskim parowcem, który właściwie nie powinien był już wcale wyruszać na morze. My odbędziemy naszą podróż nowym, pięknym okrętem, zaopatrzonym we wszystkie nowoczesne zdobycze techniki. Posiada on wszelkie urządzenia, gwarantujące zupełne bezpieczeństwo. Nie, Ewo-Mario, nie potrzebujesz się lękać o mnie! Bądź dobrej myśli, zobaczymy się na pewno na święta Bożego Narodzenia.

—Ale natychmiast po przyjeździe do Rio de Janeiro zatelegrafujesz do mnie. Proszę cię o to, Janku. Dasz mi zaraz znać, że szczęśliwie zajechałeś do portu.

—Przyrzekam ci to solennie, Ewo-Mario.

Ewa-Maria od czasu śmierci Artura Mertensa nigdy jeszcze nie lękała się tak bardzo o swego brata jak obecnie. Ogarnęły ją jakieś złe przeczucia. Nie wspominała o tym nikomu, lecz była bardzo przygnębiona. Udawała, że wywody Janka trafiają jej do przekonania, mimo to nie mogła się otrząsnąć ze smutnych myśli. Kochała ogromnie Janka, opiekowała się nim od dzieciństwa, ponieważ oboje bardzo wcześnie stracili rodziców. Za życia Artura Mertensa, który był prawnym opiekunem jej brata, wyczuwała za każdym razem, gdy Jankowi zagrażało jakieś niebezpieczeństwo. I teraz także ostrzegał ją jakiś wewnętrzny głos. Nie chciała jednak niepokoić Janka i zatruwać jego wielkiej radości.

Z trudem tylko siliła się na spokój. Później zaczęła tłumaczyć sobie, że to przecież wszystko głupstwa. Martwi się niepotrzebnie, przecież Janek jedzie pod opieką wuja Ludwika. Gdyby wuj Ludwik wiedział, że taka podróż jest niebezpieczna, nie zabierałby przecież Janka ani tym bardziej Dolo. Dawniej Jankowi naprawdę groziło nieszczęście, a jednak Bóg ustrzegł go od niego. Tak, tu czy tam, Janek może się zawsze zdać na Boską opiekę. A przecież jego los spoczywa w ręku Boga.

Tak starała się pocieszyć Ewa-Maria. Ufna w pomoc Boga, uspokoiła się trochę. A przy tym po wyjeździe podróżników Ralf pocieszał ją tak tkliwie, z taką miłością, że odzyskała zupełnie równowagę ducha.

Ludwik i jego towarzysze podróży przybyli do Hamburga w samą porę, aby udać się natychmiast na pokład okrętu. Udawali się do Rio de Janeiro na jednym z nowych, wielkich, luksusowych parowców. Okręt był rzeczywiście urządzony z nowoczesnym komfortem.

Pan Rodenberg zamówił telegraficznie kabiny, które były położone bardzo korzystnie. Kabina Dolo znajdowała się między kabinami obydwu panów. Czuła się więc zupełnie bezpieczna.

Janek nigdy nie odbył jeszcze większej morskiej podróży. Raz tylko przed laty był razem z dziadkiem w Anglii. Toteż zaledwie znalazł się na pokładzie, gdy udał się razem z Dolo, by zwiedzić cały okręt. Jako inżynier interesował się bardzo budową okrętu.

Okręt posiadał około dwustu metrów długości. Kotły były ogrzewane naftą i przystosowane do najnowszych wymagań techniki. Potrzebna ilość nafty mieściła się w dwudziestu pięciu bunkrach, znajdujących się za kotłownią. Wszystko wyglądało ogromnie czysto i budziło zupełne zaufanie. Jeszcze większe zaufanie wzbudzały wszelkie inne urządzenia nawigacyjne. Kadłub był konstrukcji poprzecznej z częstymi wzmocnieniami. Wzdłużenie belki i całość zasadniczej konstrukcji łączona była na nity.

Statek posiadał podwójne dno oraz wodoszczelne grodzie, dające wraz z burtami mocną, elastyczną konstrukcję. Oprócz wodoszczelnych grodzi, istniały na okręcie również grodzie ognioszczelne, uniemożliwiające przerzucenie się ognia w razie powstania pożaru w jednym z przedziałów statku. Specjalna uwaga została zwrócona na zapewnienie sprawnego i szybkiego zebrania w razie potrzeby wszystkich pasażerów i załogi na łodzie ratunkowe. Na statku było kilkanaście łodzi ratunkowych, w tym kilka z własnym radiem. Rzecz oczywista, że na tym wspaniałym okręcie istniała również radiostacja.

Pod względem racjonalności, higieny, bezpieczeństwa, wygód i estetyki, wszystkie pomieszczenia, jak kabiny, sale publiczne i otwarte pokłady mogły zadowolić najwybredniejszych podróżnych.

Dolo z wielkim zainteresowaniem zwiedzała zakamarki okrętu. Panowie objaśniali jej wszystkie techniczne szczegóły, których nie rozumiała. Janek twierdził, że taki okręt to cudowny wynalazek, można płynąć na nim śmiało i spokojnie, nie lękając się katastrofy.

— Szkoda, że Ewa-Maria nie widzi tych wszystkich urządzeń. Uspokoiłaby się zaraz i przestałaby się raz na zawsze o nas lękać — zauważył.

Na okręcie znajdowało się około tysiąca pięciuset pasażerów oraz czterysta osób załogi. Pokład spacerowy był po części oszklony, toteż można się było ca-

łymi godzinami przechadzać naokoło całego okrętu, bez względu na pogodę. Ta okoliczność miała szczególną wagę dla Dolo i Janka.

Na pokładach stała wielka ilość składanych krzesełek i leżaków. Wielki salon, mieszczący się pośrodku okrętu, był urządzony z ogromnym przepychem. Tam miały się odbywać bale, koncerty i wieczornice. Za tym zbytkownym salonem pierwszej klasy znajdowała się przepiękna oranżeria, pełna palm oraz innych egzotycznych roślin.

Janek był oszołomiony tym nieznanym przepychem. Dolo natomiast, po zwiedzeniu wielkiej sali balowej, zawołała uradowana:

— Ach, Janku, jak to dobrze! Będziemy mogli trochę potańczyć!

—A kiedy jechaliśmy do Niemiec, nie tańczyłaś wcale — zauważył pan Ludwik.

—Nie, nie tańczyłam. Teraz jednak będę tańczyć, ponieważ Janek jest z nami — oświadczyła Dolo.

Nie zdawała sobie wcale sprawy, jak wielką radość sprawiła Jankowi tymi słowami.

— Nie przepuścimy żadnej okazji do tańca — powiedział z entuzjazmem.

Po obejrzeniu salonów towarzyskich, ruszyli w dalszą wędrówkę. Na okręcie pomyślano o wszystkich potrzebach i wygodach pasażerów. Wszyscy troje zwiedzili bibliotekę, zaopatrzoną w bogaty zbiór dzieł, zbytkownie urządzoną czytelnię, liczne palarnie oraz bary.

W wielkiej sali jadalnej nakryto już do stołu. Stały tam dwa długie stoły oraz wielka ilość mniejszych stoliczków, przeznaczonych dla kilku osób. Ludwik Rodenberg zamówił zaraz dla siebie i swych towarzyszy podróży jeden z mniejszych stoliczków przy oknie.

Na okręcie był również salon muzyczny oraz sala gimnastyczna, zaopatrzona we wszelkie przyrządy. Dalej mieściła się piękna pływalnia. Każda kabina pierwszej klasy miała własną łazienkę. Słowem, miało się tutaj zapewniony całkowity komfort.

Dolo była zachwycona okrętem. Oznajmiła Jankowi, że motorowiec ten jest o wiele większy i piękniejszy niż okręt, na którym przybyła z Brazylii do Niemiec.

Kabiny pierwszej klasy były przestronne i pomimo całej racjonalności urządzone elegancko i bardzo estetycznie.

Po zwiedzeniu okrętu wszyscy troje udali się do swoich kabin, aby rozpakować rzeczy i urządzić się wygodnie. Dolo była obecnie zupełnie samodzielną panienką i obywała się doskonale bez pomocy służby. Przypominała sobie swoją pierwszą podróż i śmiała się z własnej niezaradności. Pamiętała jeszcze, jak nie potrafiła się sama ubrać i ile kłopotu sprawiało jej wkładanie jedwabnych pończoszek. Niejedną parę zniszczyła wówczas przez niezręczność. Obecnie nie mógł się jej przytrafić podobny wypadek. Przeszła dobrą szkołę pod opieką cioci Melanii oraz Ewy-Marii.

Dolo wypakowała swoje rzeczy i porozmieszczała je w szafce i w szufladkach. Zaledwie ukończyła to zajęcie, gdy zabrzmiał głos gongu, wzywający na wieczorny posiłek. Szybko przebrała się do kolacji, po czym wyszła z kabiny.

Na korytarzu przed jej kabiną czekali już na nią pan Ludwik i Janek. Udali się razem do sali jadalnej. Zajęli tam miejsca przy zarezerwowanym dla nich stole.

Piękna, elegancka Dolo oraz jej wytworni towarzysze zwrócili na siebie natychmiast uwagę wszystkich pasażerów. Ze wszystkich stron biegły ku nim zaciekawione spojrzenia.

Janek i Dolo siedzieli naprzeciw i patrzyli na siebie rozpromienionym wzrokiem. Z oczu obojga tryskało szczęście, serca obojga rozpierała ogromna, młodzieńcza radość życia. A Ludwik spoglądał na nich uradowany i, patrząc na tę młodą parę, czuł się również młodym i szczęśliwym. Starał się w tej chwili nie myśleć o tych wszystkich przykrych sprawach, jakie go gnębiły w ostatnich czasach. Cieszył się, że ma przy sobie tych dwoje ukochanych dzieci i że nie odbywa tej podróży samotnie.

Dla Dolo i Janka nastąpiły teraz rozkoszne dni. Byli nierozłączni. Od wczesnego ranka do późnego wieczora Janek ani na krok nie odstępował Dolo. Podczas podróży Dolo poznała kilku młodzieńców, którzy starali się o jej względy i

pragnęli jej narzucić swoje towarzystwo. Janek jednak spoglądał na nich tak posępnie, tak groźnie, że wreszcie ustąpili z placu.

Janek również miał wielkie powodzenie na okręcie. Interesowały się nim wszystkie panie, zwłaszcza młode panienki. Nie było w tym nic dziwnego. Janek wyrósł na bardzo przystojnego młodego mężczyznę. Był wysoki, szczupły, o jasnych włosach i pięknych niebieskich oczach. Ruchy miał sprężyste, energiczne, cała jego postać tryskała siłą i młodzieńczym zdrowiem. Trudno było nie zauważyć pięknego i zgrabnego chłopca, toteż niejedno spojrzenie płynęło ku niemu z pięknych oczu niewieścich. Starsze i młodsze kobiety spoglądały z upodobaniem na Janka, on jednak na żadną nie zwracał uwagi. Na próżno robiły mu mniej lub więcej wyraźne awanse. Dla Janka istniała jedynie i wyłącznie Dolo. Uważał ją za najpiękniejszą i najmilszą istotę na świecie, uważał, że żadna inna nie może wytrzymać z nią porównania.

Ludwik Rodenberg również podbijał szturmem serca niewieście, chociaż wcale mu na tym nie zależało, zachował on po dziś dzień swoją smukłą, piękną sylwetkę i mógł śmiało pójść w zawody z najmłodszym nawet mężczyzną, choć wcale nie ubiegał się o to. Jego interesująca głowa przykuwała powszechną uwagę, zwłaszcza wśród przeciętnych i pospolitych twarzy, jakich nie brakło na pokładzie. Pozostał nadal imponującym i ciekawym mężczyzną, pomimo swoich czterdziestu ośmiu lat. W głębi duszy pozostał młodym, wydawał się niekiedy znacznie młodszym od wielu mężczyzn, którzy liczyli o dziesięć lat mniej od niego.

Wielu pasażerów starało się nawiązać bliższą znajomość z panem Ludwikiem, jego córką i jego siostrzeńcem, lecz nie była to łatwa sprawa. Nie zależało im wcale na nowych przygodnych znajomych, wystarczało im w zupełności własne towarzystwo.

Czuli się najlepiej, gdy byli sami we trójkę. Mimo to zawarli znajomość z kilkoma towarzyszami podróży. Było ich jednak bardzo niewielu.

Dolo była bardzo dumna ze swoich dwóch panów, oni zaś byli dumni ze swojej uroczej towarzyszki. Dziewczyna nieraz wyobrażała sobie, co też powiedzą Inez i Angela, gdy przedstawi im Janka.

Inez wprawdzie zaręczyła się już, lecz jej narzeczony na pewno nie będzie mógł porównać się z Jankiem. W Brazylii spotykało się niewielu mężczyzn o tak interesującej powierzchowności.

Janek jest jedyny na świecie, nikt nie może się z nim równać. Tak, obecnie Janek imponował już Dolores. Naturalnie, że starała się to przed nim ukrywać. Kochała Janka pierwszą, gorącą miłością, lecz w dalszym ciągu broniła się przed tym uczuciem, nie chciała mu się poddać. Obecnie także wybuchały między nimi drobne sprzeczki z najrozmaitszych błahych powodów. Czuli, że nie potrafią żyć bez siebie, a jednak dręczyli się nawzajem. Docinali sobie często, lecz właściwą przyczyną wszystkiego była wielka, przeogromna miłość, której nie chcieli sobie nawzajem okazać. Dolo nawet wobec samej siebie nie chciała się przyznać, że kocha Janka. Niekiedy dokuczała mu właśnie dlatego, żeby się nie domyślił jej wielkiej miłości. Za nic w świecie nie zdradziłaby się z tym uczuciem, które jednak wzmagało się z dnia na dzień.

Ludwik Rodenberg bywał często świadkiem takich drobnych utarczek, nie zdołały go one jednak zwieść. Wiedział dobrze, że to jeszcze ostatnie wahanie, ostatnie etapy walki z miłością. Wiedział, że ani Janek ani Dolo nie potrafią się obronić, że muszą oboje ulec temu czarowi, któremu nikt na świecie nie może się oprzeć.

Takie małe sceny mijały zazwyczaj bardzo szybko. Janek i Dolo godzili się prędko, gdy tylko jedno spostrzegało, że sprawiło przykrość drugiemu. Na ogół żyli w większej harmonii, niż dawniej. Czuli się szczęśliwi, a każdy dzień tej cudownej podróży wydawał im się świętem.

Po kilku tygodniach okręt zawinął wreszcie do portu w Rio de Janeiro. Janek i Dolo stali przy burcie, rozkoszując się wspaniałym i malowniczym widokiem, jaki roztaczał się przed ich oczyma. Po chwili Janek odezwał się:

— Jak dobrze, Dolo, że czeka nas jeszcze droga powrotna. Inaczej żałowałbym bardzo, że musimy już zejść z tego wspaniałego okrętu.

Dolo skinęła głową i rozmarzonym wzrokiem spoglądała na ki-Piel morską, rozbijającą się o skały. Tam w dali, ukazywała się już jej ojczyzna, ten kraj, w którym się urodziła. A jednak doznawała w tej chwili uczucia, że jej prawdziwa

ojczyzna to Niemcy. Bardziej niż kiedykolwiek czuła się związana z tym krajem, do którego ciągnęło ją serce. Zwierzyła się Jankowi z tych myśli.

Janek słuchał jej rozpromieniony, z błyszczącymi oczyma.

—Więc nie chciałabyś już na stałe pozostać w Brazylii? — zapytał.

—Nie, nie! Czuję, że Niemcy to moja prawdziwa ojczyzna. W Armadzie nie czułam się nigdy tak szczęśliwa, jak u was.

Spojrzał na nią z tkliwością i powagą.

—To mnie cieszy, Dolo, to mnie bardzo cieszy. Obawiałem się już, że zechcesz pozostać w Armadzie.

—.Ach nie, Janku, nie chciałabym przecież przebywać tam, gdzie...

Zająknęła się i umilkła. Chciała powiedzieć: „gdzie ciebie nie ma!", lecz przestraszyła się, a wyrazy te uwięzły jej w krtani. Janek spojrzał na nią pytająco.

—...gdzie nie ma Luteczka! — dokończyła prędko i spuściła oczy.

Po chwili dodała:

—Zapytajmy się Luteczka, czy nie można będzie się tak urządzić, aby powracać do domu na tym samym okręcie.

Do domu! Dolo powiedziała: „Do domu!". Gorąca fala tkliwości wezbrała w sercu Janka.

Podążyli oboje do pana Ludwika, który odpoczywał na leżaku, czytając książkę. Dolo wypowiedziała swoje życzenie, a on z uśmiechem skinął głową.

—Zobaczymy, czy się to da urządzić. Pogadam później z kapitanem i zapytam się, kiedy w powrotnej drodze zawinie znowu do Rio. Możliwe, że będziemy mogli powrócić tym samym okrętem.

—Luteczku, podejdź z nami do burty. Zobacz, jaki to piękny widok!

Pan Ludwik wstał z leżaka.

—Ja już trzy razy przeżywałem ten wjazd, dziś przybywam tutaj po raz czwarty. Zdaje mi się, że znam każdą skałę, wynurzającą się z wody. Widok ten jest rzeczywiście wyjątkowo piękny i malowniczy.

Długo, długo stali wszyscy troje przy burcie. Pan Ludwik objadł wszystko, co można było zobaczyć w porcie.

Wysiedli w Rio i zajechali do tego samego hotelu, w którym Ludwik Rodenberg mieszkał zawsze podczas swego pobytu w tym mieście. Janek, stosownie do przyrzeczenia, zatelegrafował natychmiast do siostry. Nazajutrz rano wyruszono w dalszą drogę. Pan Ludwik nie miał spokoju, nie chciał się niepotrzebnie zatrzymywać w Rio de Janeiro.

—Gdy będziemy wracali, zwiedzisz sobie Rio, kochany Janku. Teraz śpieszę się bardzo do Armady. Mam wrażenie, że już wielki czas, abym tam przybył.

—Ma się rozumieć, wuju, te sprawy są najważniejsze — zgodził się Janek.

Następnego dnia wyjechano do Jaimeville.

Tutaj na podróżnych czekali na dworcu państwo Frasquita oraz ich córka Angela. Dolo jednak, ku swemu wielkiemu zmartwieniu, nie potrafiła odnaleźć dawnego serdecznego tonu wobec Angeli. Dziwiła się temu bardzo. Czyżby Angela zmieniła się tak bardzo w ciągu tych kilku lat? A może ona sama ma teaz większe wymagania i jest bardziej wybredna w doborze towarzystwa?

Angela stała się typową małomieszczanką. Nieśmiała i zahukana, nie potrafiła przemówić słowa ani do Janka ani do pana Ludwika. A przy tym z nietajoną zawiścią spoglądała na elegancką, strojną postać Dolores.

Państwo Frasquita zażądali energicznie, aby podróżni odpoczęli u nich i posilili się trochę.

Ludwik Rodenberg zgodził się wreszcie na półgodzinny postój, chociaż ziemia parzyła go pod stopami. Nie chciał jednak obrażać swoich starych przyjaciół.

Zaczął wypytywać pana Frasąuitę, czy nie wie przypadkiem, jak się przedstawia sytuacja w Armadzie. Pan Frasquita nie wiedział jednak i nie słyszał nic. Zgnuśniał ogromnie na swojej nowej posadzie, która pochłaniała go do tego stopnia, że nie interesował się zupełnie sprawami, nie mającymi z nim nic wspólnego.

Podróżni udali się do jego domu, gdzie znaleźli się od razu w atmosferze drobnomieszczańskiej ciasnoty, która bardzo przykro dawała się we znaki. Zwłaszcza Dolo czuła się niezmiernie przygnębiona. Dawniej, na stacji pocztowej, rodzice jej przyjaciółki również nie mieszkali w wielkim zbytku, lecz przynajmniej za domem ciągnęła się wolna, niezmierzona przestrzeń. Obecnie mieszkali w małym domku na ciemnej, wąskiej uliczce.

Wszyscy siedzieli przy stole i czuli się bardzo nieswojo. Każdy próbował podtrzymywać rozmowę, która wlokła się i urywała co chwilę.

Angela bez przerwy obrzucała Dolo spojrzeniem zawistnym i niechętnym. Doznawało się wrażenia, jakby oceniała w myśli każdy szczegół jej ubioru. Zauważyli to nie tylko obaj panowie, ale i sama Dolo. Było jej ogromnie przykro, zwłaszcza, że nie rozumiała tych spojrzeń przyjaciółki. Czuła tylko, że Angela ma do niej o coś żal i jakby pretensję. Nie mogła także pojąć, dlaczego nagle Angela zaczęła się jej wydawać taka obca, dlaczego nie potrafiła w stosunku do niej odnaleźć dawnej swobody i serdeczności. Dręczyła się tą myślą i była bardzo przygnębiona. Doszukiwała się winy u siebie. Prawdopodobnie ona sama musiała się bardzo zmienić w ciągu tych kilku lat i dlatego nie potrafi teraz jakoś obcować tak poufale z przyjaciółką, jak dawniej. Angela zapewne wyczuwa to i ma do niej pretensję. Dolo w duchu czyniła sobie wyrzuty, lecz nie potrafiła zmusić się do dawnej serdeczności.

Pragnąc jakoś powetować tę obojętność, zasypała Angelę podarunkami. Przywiozła dla niej dużo pięknych rzeczy. Angela rozchmurzyła się trochę. Dziewczęta zaczęły ze sobą nieco swobodniej rozmawiać. Nie powróciła jednak dawna zażyłość. Dolo starała się być trochę serdeczniej sza, ale się jej to nie bardzo udawało. Nie umiała udawać.

Jedyną osobą, która nie przestawała ani na chwilę mówić, była pani Frasquita. Opowiadała, jak przyjemnie jest w Jaimeville, o wiele przyjemniej, niż na stacji pocztowej, położonej na pustkowiu wśród stepów. Mają tutaj mnóstwo miłych znajomych i dużo urozmaicenia. Angela ma bardzo wielu wielbicieli, gdyby chciała, mogłaby już od dawna wyjść za mąż. Jest bardzo wybredna i dotąd nikogo jeszcze nie uszczęśliwiła swoją ręką, choć może wybierać i zrobić doskonałą partię.

I pani Frasquita zaczęła opowiadać rozmaite ploteczki z małego miasteczka; rzecz oczywista, że te historie nie interesowały nikogo, oprócz niej samej.

Słowem spotkanie z przyjaciółką stało się wielkim zawodem dla Dolo.

Dziewczyna odetchnęła z prawdziwą ulgą, gdy pan Ludwik dał znak do odjazdu. Z Armady przysłano po nich samochód. Gdy auto ruszyło w dalszą drogę, Dolo odezwała się, ogromnie zasmucona:

—Nie wiem, co się stało i dlaczego nie potrafię być dla Angeli taka jak dawniej. Wydaje mi się ona zupełnie obcą osobą. W moich wspomnieniach pozostała zupełnie inna. I jestem pewna, że Angela również doznała na mój widok rozczarowania. Była taka jakaś zmieszana, jakby ją nasza obecność krępowała. Dawniej była dla mnie zawsze bardzo miła, a dziś doznawałam prawie wrażenia, że mnie wcale nie lubi.

I Dolo spojrzała z wielce nieszczęśliwą miną na ojca.

Pan Ludwik z uśmiechem pogłaskał jej włosy.

—Moja droga Dolo, przywykłaś do zupełnie innego towarzystwa, nauczyłaś się mierzyć ludzi inną miarą. Gdy mieszkałaś w Brazylii, nie miałaś wcale towarzystwa, oprócz Inez, Angeli i twojej służby. Nie wyczuwałaś żadnych różnic. Poza tym Angela, dzięki Inez i tobie, przebywała stale w wyższej sferze towarzyskiej, która nie była jej sferą. Obecnie cofnęła się poniekąd w rozwoju, podczas gdy ty rozwijałaś się w dalszym ciągu. Powróciła obecnie do tych kół, z których pochodzi.

—Ale przecież nie można się tak zupełnie odmienić, Luteczku.

—To nie ona się zmieniła, tylko ty poznałaś innych ludzi. Mimo woli porównujesz z nimi Angelę, a to porównanie wypada na jej niekorzyść. Porównaj choćby Jolantę i Ewę-Marię z twoją przyjaciółką Angelą. Wtedy zrozumiesz, dlaczego Angela sprawiła ci taki zawód.

—Dlaczego jednak Angela przestała mnie lubić? Przecież nie zrobiłam jej nic złego. Wyczuwam, że nie lubi mnie tak jak dawniej.

—Angela zawsze zazdrościła Inez i tobie, dlatego, że wy byłyście zamożnymi dziewczętami, a ona ubogą. Nie można jej tego brać za złe. Pozwalałyście jej zawsze brać udział we wszystkim, z czego korzystałyście w waszych rozrywkach, w nauce. Rozpieściłyście ją, toteż Angela zaczęła uważać, że się jej to wszystko należy. Była bardzo dotknięta i urażona, gdy się to w końcu zmieniło.

—Jestem ciekawa, czy Inez także wyda mi się taka zmieniona — rzekła Dolo.

—O, nie! Inez w ciągu tego czasu wyjeżdżała kilka razy, poznała kawałek świata i nauczyła się bardzo wiele. Ona nie sprawi ci zawodu.

—Nie wiem również czy Inez także zauważyła tę zmianę w Angeli.

—Na pewno, moje dziecko. Ich drogi także musiały się rozejść. Nie przejmuj się tym jednak, Dolo.

—Ale może sprawiłam przykrość Angeli?

—Nie obawiaj się tego. Angela była trochę skrępowana, ponieważ i ona wyczuła, że obecnie już nie pasuje do ciebie. Pocieszyły ją na pewno te liczne prezenty, które jej przywiozłaś.

—Wobec tego jestem bardzo rada, że przywiozłam jej parę drobiazgów. Widziałam, że się z nich cieszyła.

—Tak, Dolo, cieszyła się bardzo.

—Nie mam już odwagi zapytać Janka, jak mu się podobała Angela. Tyle mu o mej opowiadałam, opisywałam ją w tak świetnych barwach, że na pewno i on musiał być rozczarowany. Prawda, Janku?

Janek roześmiał się głośno.

—No, muszę przyznać, że jest bardzo ładną dziewczyną. Byłaby znacznie ładniejsza, gdyby nie miała tej niezadowolonej miny. I stanowczo patrzyła na ciebie z zawiścią.

—Angela?

—Tak, Dolo, ona ci zazdrości. Wuj Ludwik ma słuszność, Angela pochodzi z innej sfery i nie jest odpowiednią towarzyszką dla ciebie.

Dolo spojrzała na niego swymi wielkimi, pięknymi oczyma, po czym głęboko westchnęła.

—Chciałabym wiedzieć jedno...

—Co takiego, Dolo?

—Czy ja w swoim czasie wywarłam na was takie samo wrażenie jak Angela na mnie. Czy także byłam taka niezręczna, zahukana i trochę dzika? Ale proszę cię, Janku, powiedz mi prawdę. Co pomyślałeś o mnie, gdy przyjechałam wtedy z Luteczkiem do Niemiec?

Janek przypomniał sobie ów pamiętny dzień, gdy po raz pierwszy w życiu ujrzał Dolo, wówczas na dworcu... Przypomniał sobie, jakie wrażenie wywarł na nim jej słodki, srebrzysty głosik, jej delikatna twarzyczka i cudne, aksamitne oczy. Już wtedy przypominała mu cudny, egzotyczny kwiat z dalekiej krainy czarów...

Oczy jego zabłysły.

—Wiem tylko jedno, Dolo — odpowiedział — że nigdy w życiu nie porównałbym cię z taką Angelą Frasquita...

Miał ochotę dodać jeszcze: „Gdybyś wiedziała, jak słodko, jak uroczo wyglądałaś wtedy! Gdybyś wiedziała, jak bardzo pokochałem cię od pierwszego wejrzenia!" Nie wypowiedział jednak tych słów. Oczy jego natomiast musiały zapewne zdradzić Dolo coś w tym rodzaju, gdyż serce jej poczęło walić jak młotem. Spłoniona odwróciła wzrok od Janka, aby uniknąć jego spojrzenia.

Teraz samochód wjechał na campa. Były to szerokie, dalekie równiny porośnięte wysoką, gęstą trawą. Dolores krzyknęła z radości. Jej ukochane stepy były piękne jak zawsze. One nie sprawiły jej zawodu.

—Campa! O, Janku, spójrz! Czy nie są wspaniałe? Ach, jakżebym chciała znowu pędzić na koniu przed siebie, tak, pędzić w dal bez celu, tylko dla samej przyjemności ruchu... Ach, jakżebym chciała znowu położyć się w tej gęstej, wysokiej trawie... Ach, Boże! Janku, prawda, jak tu pięknie?

—Tak, Dolo! Tutaj doznaje się poczucia nieograniczonej swobody. Wyobrażam sobie jednak, że podczas upałów musi tu być okropnie. Gdy słońce mocno przypieka, nie można pewnie wytrzymać na tych campach...

Dolores zamilkła. Rozmarzonym wzrokiem powiodła w bezkresną dal. Ona kochała te campa, porośnięte wysoką trawą, którą Poruszał lekki wiatr tak, że falowała jak morze. Tutaj urodziła się i Wychowała, spędziła swoje beztroskie dzieciństwo. Dalej nieco, na północny wschód, znajdowała się kopalnia. Wkrótce już ujrzy te nagie skały, które kryją w sobie bogate skarby. A za tymi skałami ciągną się góry, porośnięte lasem. Lubiła bardzo ten las, nieraz jeździła tam na wycieczki z Inez i Angelą. Jak przyjemnie było pędzić na koniu przez ten las! Panowała tam zawsze taka niezmącona, kojąca cisza... Wśród gałęzi przemykały się różnobarwne kolibry, podobne do uskrzydlonych klejnotów. Wspaniałe kolorowe motyle fruwały nad ich głowami... A jeszcze dalej, za górami było morze. Tam spędzała zawsze z rodzicami letnie miesiące. Ach jakież to dawne czasy...

Pan Ludwik i Janek obserwowali badawczo Dolores. Czyżby się w niej teraz zbudziło uczucie miłości dla tego kraju? Czyżby nagle zaczęła odczuwać, że tutaj jest jej właściwe miejsce? Czyż przemówił w niej głos krwi, dziedzictwo po ojcu? Czyżby krew ojca miała wziąć przewagę nad krwią jej niemieckiej matki? Może Dolores pojęła w tej chwili, że jej ojczyzna to te szerokie, wspaniałe stepy, nie zaś Niemcy, gdzie nie ma takich rozległych przestrzeni?

Nie zapytali jej o to i tego dnia nie dowiedzieli się jeszcze, jak Dolo zamierza postanowić o swojej przyszłości. Janek jednak pocieszał się słowami, jakie Dolo wypowiedziała na okręcie: „Niemcy — to moja prawdziwa ojczyzna! Nigdy nie byłam w Armadzie tak szczęśliwa jak u was..."

TLR

Pan Ludwik nie słyszał w swoim czasie tych słów, toteż nie miał tej pociechy co Janek. Zwrócił tylko uwagę na to, że c a m p a uczyniły na Dolo ogromne wrażenie. Nie wiedział, o czym Dolo myśli w tej chwili.

A dziewczyna myślała o swojej pięknej, przedwczesne utraconej matce. Wspominała swoje całe dzieciństwo spędzone na odludziu, to dzieciństwo, które mimo wszystko było tak słoneczne i szczęśliwe. We wszystkich tych wspomnieniach odgrywał jednak ważną rolę Luteczek, jej ukochany ojciec. Tak, i właśnie dlatego — Dolo czuła to podczas tej jazdy — ojczyzna jej mogła być tylko tam, gdzie on przebywał. On Luteczek i... Tak, i Janek!

Zadrżała i głęboko westchnęła.

A samochód pędził tymczasem przez szerokie równiny. Zielone morze trawy kołysało się na wietrze, falowało. W górze szybowały wielkie, drapieżne ptaki. Niekiedy któryś z nich opuszczał się w dół, aby porwać jakiegoś gryzonia, poruszającego się w trawach. Spadał na niego znienacka, chwytał go w szpony i znowu szybował w górę. ptaków takich było tu bardzo wiele; gnieździły się one w górach, dokąd też odlatywały ze swoją zdobyczą.

Janek podziwiał te dalekie równiny, ciągnące się niby bez końca. Rzecz dziwna, jego przytłaczał ten step. Doznawał uczucia, jakby jakiś ciężar tamował mu oddech.

Ucieszył się bardzo, gdy z daleka na wschodzie ujrzał kontury gór. Szczyty ich rysowały się na tle nieba, spowite oparami mgieł. Janek odetchnął z ulgą.

Jazda trwała długie godziny, zdawała się nie mieć końca. Samochód pędził przed siebie. Wreszcie zatrzymano się, aby coś przekąsić. Podróżni zabrali ze sobą koszyk z zapasami. Po krótkim odpoczynku wsiedli znowu do samochodu, który ruszył w dalszą drogę.

Wreszcie przybyli do stacji pocztowej, którą dawniej zarządzał pan Frasquita. Nowy pocztmistrz, młody jeszcze człowiek, stał wraz ze swoją żoną przed domem. Pan Ludwik kazał zatrzymać samochód, wysiadł, podszedł do niego i przedstawił się. Pragnął się od niego dowiedzieć, jak wygląda obecnie sytuacja w Armadzie. Zamienił z pocztmistrzem kilka słów.

—Ach, to bardzo dobrze, że pan przyjechał! — powiedział pocztmistrz.

—Czy się coś stało?

—Robotnicy z kopalni grożą strajkiem.

Pan Ludwik zwrócił się teraz do szofera, który przyjechał po niego samochodem. Był to młody Murzyn, imieniem Tommy. Pan Rodenberg spojrzał na niego przenikliwie.

—No i co, Tommy? Ty przecież powiedziałeś, że w kopalni panuje spokój? — zapytał.

Tommy wywrócił oczy, tak że widziało się tylko białka.

—Tommy nic nie wie — odpowiedział.

Ludwik Rodenberg spostrzegł jednak, że Tommy obrzucił pocztmistrza spojrzeniem pełnym nienawiści. Dało mu to wiele do myślenia. Nie powiedział już ani słowa.

Po chwili pożegnał się uprzejmie z pocztmistrzem i jego żoną.

Wsiadł do samochodu, który pojechał dalej. Podczas jazdy pan Ludwik nie spuszczał oczu z szofera, który wydawał mu się podejrzany. Nie zmienił jednak swego postępowania w stosunku do niego. Spokojnie i stanowczo, lecz bardzo uprzejmie wydawał mu rozmaite rozkazy.

Auto znowu popędziło przez szerokie stepy. Nareszcie po długiej jeździe wynurzył się w dali folwark. Ludwik Rodenberg polecił szoferowi, aby zatrzymał się na dziedzińcu folwarcznym.

Administrator oraz jego żona powitali bardzo serdecznie pana Ludwika i Dolo. Pan Ludwik przedstawił im Janka, na którego patrzyli z nieukrywaną ciekawością. Przywitali się z nim jednak bardzo uprzejmie.

Janek i Dolo pozostali w samochodzie, poczas gdy pan Ludwik wyszedł, aby porozmawiać z administratorem. Wziął go pod rękę i odszedł z nim nieco dalej.

Gdy znaleźli się w pewnym oddaleniu od samochodu, Ludwik Rodenberg zapytał:

— Co tam słychać w Armadzie? Czy wszystko w porządku?

Administrator odpędził kilku ludzi, którzy zbliżyli się, spoglądając z zaciekawieniem na przybyłego. Nie chciał, aby podsłuchiwali. Następnie spojrzał nieufnie na szofera. Najwidoczniej nie miał do niego zaufania. Niby nieumyślnie postąpił z panem Ludwikiem kilka kroków dalej. Rozejrzał się uważnie wokoło, zanim wreszcie odpowiedział:

—Okropne czasy nastały, panie!

—Czy się znowu coś stało?

—Nastrój wśród robotników jest bardzo niespokojny. Nie wiadomo skąd zakradli się do nas jacyś ludzie, którzy ich podburzają. Jest tam między nimi dwóch, oni są najgorsi. Nazywają siebie agitatorami, panie — to bolszewicy!

—Czy mają taki wielki wpływ na naszych robotników?

—Opowiadają im rozmaite głupstwa, gadają o wolności i równości, wmawiają robotnikom, że powinni prowadzić takie życie, jak panowie, że mają do tego prawo. Źle się dzieje, panie! Popsuli mi także moich ludzi. Wszyscy biegają co niedzielę na jakieś zebrania i słuchają przemówień tych burzycieli. Teraz już nie to, co dawniej.

— A jak się zachowują robotnicy?

—O to właśnie chodzi, że się bardzo zmienili. Nie chcą już słuchać. Buntują się, nie chcą pracować, narzekają na jedzenie. A przecież u nas naprawdę karmi się ich lepiej, niż gdziekolwiek. Po prostu gadają, żeby gadać.

— Więc są niezadowoleni z warunków?

—Tak, panie! Powiadają, że im się źle płaci i że muszą za wiele pracować. Dawniej robili wszystko bez szemrania. A wszystko to dlatego, że się ciągle upijają...

—Upijają się? Przecież alkohol został im raz na zawsze zabroniony — zawołał z oburzeniem pan Ludwik.

—Nie wiem, w jaki sposób potrafią się teraz zawsze wystarać o wódkę. To pewno także wina tych agitatorów. Przemycili wódkę do kopalni. Ma się rozumieć, że jak się ludzie upijają, to zaczynają po pijanemu gadać różne głupstwa. Domagają się wolności i równości, powiadają, że także są panami. Tak, zachciewa im się pańskiego życia! Nie wiem, jak sobie to wyobrażają, bo przecież pracować nie chcą. Tamci dwaj podżegają ich ciągle, a nasi robotnicy sami nie wiedzą, czego chcą.

— Widzę, że naprawdę dobrze zrobiłem, iż przyjechałem.

—Oj, dobrze, dobrze! Pan ich na pewno nauczy moresu! Pan dyrektor Delora to bardzo porządny i dzielny człowiek... Słówka na niego nie powiem. Ale widzi

pan, on się boi tych ludzi i nie potrafi sobie z nimi dać rady. A tamci wyczuwają to i dlatego pozwalają sobie zbyt wiele. Ma się rozumieć, że dlatego oni są górą.

—No, zobaczymy, jak to będzie! Muszę przede wszystkim poznać nieco bliżej tych tak zwanych agitatorów komunistycznych.

—Oj, straszni to ludzie! Ogłupiają naszych robotników, bałamucą ich. Ale pan poradzi sobie z nimi.

—Mam nadzieję! Na razie dziękuję panu bardzo za pańskie informacje — powiedział Ludwik Rodenberg.

Wolnym krokiem powracali do samochodu, zagłębieni w rozmowie- Wyglądało, jakby rozmawiali o jakichś błahych sprawach. Ludwik przyglądał się badawczo ludziom, którzy pracowali na dziedzińcu. Widać było, że wypełniają swoje obowiązki bardzo niechętnie. Mieli posępne twarze i milczeli. Dawniej podczas pracy śmiali się i żartowali.

Zaczął się także ponownie przyglądać szoferowi. Zauważył, że ma nieprzyjemny wyraz twarzy; malowała się w mej złość i zaciętość.

Nie dając nic poznać po sobie, pożegnał się z administratorem, po czym wsiadł do samochodu.

— Kto wie, może nie należało zabierać ze sobą Dolo — pomyślał, lecz nie okazywał bynajmniej swego niepokoju. Stało się. Obecnie nie można było już zmienić tego stanu rzeczy. A poza tym spodziewał się, że wkrótce uda mu się zaprowadzić dawny ład i porządek.

Spoglądał raz po raz badawczo na szofera. Coraz bardziej rzucało mu się w oczy, jak bardzo zmienił się Tommy. Szofer ten już od dawna służył u niego, to on zawsze woził samochodem jego i Dolo. Gdy pan Ludwik wyjechał do Niemiec, Tommy pozostał jako szofer w kopalni. Prowadził jeden z samochodów ciężarowych. Ponieważ był bardzo zręczny i ostrożny, więc pan Ludwik nie chciał go w swoim czasie odprawić.

Pan Ludwik na pozór swobodnie i z wielkim spokojem rozmawiał z Jankiem i Dolo, lecz ani na chwilę nie spuszczał oczu z szofera. Zauważył, że Tommy

uśmiecha się kpiąco i bynajmniej nie ukrywa tego. Przeciwnie, zdawało się iż umyślnie stara się pokazać swemu panu, że go lekceważy. Pan Ludwik na razie nie zwrócił mu uwagi, lecz zignorował zachowanie szofera. Postanowił, że się z nim w swoim czasie rozprawi. Teraz nie chciał niepokoić Dolo.

Wreszcie samochód zatrzymał się przed domem mieszkalnym [w] Armadzie. Tutaj Pedro, Boni i Joni przyjęli ich z nieukrywaną i szczerą radością. Tutaj nic się nie zmieniło, tutaj panował dawny ton.

Dolo serdecznie przywitała się z wiernymi służącymi. Całowali jej ręce i kraj jej szat, okazywali wylewnie swoją radość z powodu jej przybycia. Wreszcie z triumfem wprowadzili ją do wnętrza domu. Dolo śmiała się i nie sprzeciwiała się niczemu.

Tommy spoglądał na to powitanie i uśmiechał się ironicznie.

— Ten chłopak zmienił się do gruntu. Bez wątpienia uległ agitacji — myślał pan Ludwik, lecz udawał, że nie zwraca uwagi na zachowanie szofera.

Wraz z Jankiem podążył za Dolo. Podczas gdy Dolo udała się do łazienki, aby się odświeżyć po podróży, panowie pozostali jeszcze chwilę w saloniku.

— Wuju, mam wrażenie, że administrator na folwarku musiał ci opowiedzieć jakieś złe nowiny. Jesteś taki poważny i zamyślony. Co się stało? — zapytał Janek.

Pan Ludwik spojrzał z powagą na siostrzeńca.

—Nie mylisz się, mój drogi.

—Co ci powiedział administrator?

— Przede wszystkim oznajmił mi, że jacyś dwaj agitatorzy komunistyczni stale podżegają naszych ludzi.

— Co to za jedni?

— Administrator twierdzi, że to bolszewicy. Będę musiał poznać bliżej ich działalność. W każdym razie widzę sam, że się tutaj bardzo wiele zmieniło podczas mojej nieobecności. Najlepszym tego dowodem jest Tommy.

— Szofer?

— Tak! Zachowuje się zupełnie inaczej, niż dawniej. Był to człowiek uważny, chętny i uprzejmy. Jego obecne zachowanie wcale mi się nie podoba. Na pewno należy do tych pracowników, którzy mają zamiar wywalczyć sobie pańskie życie. Nie brałbym tego wszystkiego zbyt poważnie, bo znam moich ludzi; są jak dzieci, wspominałem ci przecież o tym. Można ich wprawdzie łatwo podburzyć, lecz spodziewam się, że się również łatwo uspokoją. Martwię się tylko, że pozwoliłem Dolo pojechać do Brazylii. Byłoby znacznie lepiej, gdyby nie przyjeżdżała tutaj w tym okresie.

Janek spojrzał spokojnie na wuja, po czym rzekł stanowczo:

— Dolo jest pod naszą opieką, a poza tym nie ma potrzeby udawać się do kopalni. Tutaj w domu jest zupełnie bezpieczna, tak mi się przynajmniej wydaje. Przecież kopalnia znajduje się w dość dużej odległości od domu. A Pedro oraz jego żona i córka okazywali tak żywą radość, że przypuszczam, iż oni nie dali się podburzyć.

— Ja również sądzę, że można się zdać na nich. Nie znam tylko pozostałej służby. Ludzi tych przyjęto od niedawna, na krótki czas. No, w każdym razie proszę cię, Janku, żebyś ani na krok nie odstępował Dolo, gdy ja będę w kopalni. Nie pozwalaj jej samej wychodzić z domu. Muszę się dopiero przekonać, jak się sprawy ułożą.

— Dobrze, wuju!

— I nie wychodź nigdy z domu bez broni. Przywiozłeś przecież twój browning?

— Tak, wuju!

— Doskonale! Dzisiaj już za późno, ale jutro rano pojadę natychmiast do kopalni i zobaczę, co się tam dzieje, a przede wszystkim czego żądają nasi robotnicy. Zdaje się, że nie wiedzą sami, czego się mają domagać. Zapewne tylko ich tak zwani przywódcy są dostatecznie uświadomieni.

—Przecież sam mówiłeś, że zamierzasz poprawić los twoich robotników. Wobec tego sprawa ta nie jest tak groźna. Będziesz ich mógł z łatwością uspokoić.

W oczach Ludwika Rodenberga zalśniły błyskawice gniewu.

—Nie pozwolę się jednak zmusić do żadnych ustępstw! Byłby to fałszywy krok. Nie wolno im okazać słabości, bo starają się ją wyzyskać i pozwalają sobie zbyt wiele. Oni powinni czuć nad sobą rękę pana, to nie nasi niemieccy robotnicy, nie są oni tak inteligentni ani tacy wyszkoleni, jak u nas. Nic nie da się tutaj zrobić bez dyscypliny. Jeżeli im od razu ustąpię i okażę chwilę słabości, wówczas przegrałem.

—Więc co z nimi poczniesz?

—Poprawię im dobrowolnie warunki bytu, ale nie pozwolę się do tego zmusić. Nie odstąpię ani na jotę od mego postanowienia. Inaczej zaczęliby stawiać coraz to nowe żądania. Zdaje się, że się już oswoili z tą myślą, że to oni są panami. Przekonało mnie o tym zachowanie mego szofera. Ja natomiast postaram się ich przekonać, [Ze] takim postępowaniem najbardziej szkodzą sobie. Mają po prostu przewrócone w głowie. No, ale chodź już, Janku! Odświeżmy się po podróży, a później się posilimy. Zobaczysz, jak świetnie gotuje taki czarny kucharz. I pamiętaj: na razie nie mów Dolo ani słowa!

Uścisnęli sobie ręce, po czym pan Ludwik sam zaprowadził Janka do jego pokoju.

Pan Rodenberg prędko wykąpał się i przebrał. Był wcześniej gotowy niż Janek i Dolo. Udał się do swego pokoju i kazał zawezwać do siebie starego Pedra.

Pedro, stary wierny służący i zarządzający domem, był wysokim Murzynem o siwych włosach. Sprawiał on wrażenie wielkiego pana, pomimo swojej ciemnej twarzy. Wyglądał o wiele szlachetniej, niż jego żona i córka. Dolores zawsze twierdziła, iż Pedro jest człowiekiem niezmiernie prawym i wyjątkowo szlachetnym, niezdolnym do żadnego niskiego postępku. Pan Ludwik zgadzał się z jej zdaniem. Oboje cenili ogromnie starego Pedra.

Zjawił się on natychmiast, a pan Ludwik spostrzegł, że na twarzy wiernego sługi maluje się wyraz troski.

—Powiedz mi Pedro, co się właściwie dzieje w kopalni? — zapytał spokojnie.

Pedro wlepił w twarz pana swoje ciemne, łagodne oczy.

—O panie, wszyscy diabli się tam rozpętali. Ludzie zgłupieli do cna. Nagle każdy z nich pragnie mieć więcej niż ma. Upijają się w biały dzień, komuniści buntują ich, przewrócili im zupełnie w głowie. Nie wiem, czego te draby chcą, ale w każdym razie nic dobrego. Buntują robotników, bo pragną sami łowić ryby w mętnej wodzie. Po tych ludziach można się wszystkiego spodziewać. Nie zależy im wcale na poprawie losu naszych górników. Wypędź, panie, tych dwóch bolszewików z Armady, a natychmiast nastąpi spokój. Robotnicy nie przychodzą regularnie do pracy, ponieważ są wiecznie pijani. A tamci dwaj w jakiś sposób przemycają wciąż wódkę, aby im było łatwiej otumanić ludzi. Wielki czas, żeby z tym wszystkim zrobić porządek. Nasi ludzie zupełnie potracili głowy. Przecież znasz ich, panie! Są jak dzieci! Teraz, gdy się ich ciągle podjudza, gadają coś o równości i wolności i o pańskim życiu. Sami tego nie rozumieją. Po prostu nie chce im się pracować i tyle!

—Przecież to są głupstwa, panie, muszą być jakieś różnice. Na świecie zawsze byli panowie i słudzy, ubodzy i bogaci. Jeżeli kto chce zostać wielkim panem, to powinien pracować i o własnych siłach dojść do tego. Niektórym się to udaje, innym nie. Wszystko zależy od zdolności i umiejętności wytrwania. Kto się chce w taki sposób wzbogacić, ten powinien dążyć do tego. Ale tak, jak oni sobie to ułożyli? To niemożliwe. Powiedziałem im otwarcie.

—Więc zwracali się do ciebie?

—Tak, panie. Chcieli mnie także otumanić swoją głupią gadaniną i namawiali mnie, żebym się przyłączył do nich. Żądali, bym zdradził mojego pana i moją maleńką panią, która zawsze była dla nas tak dobra.

—A co im odpowiedziałeś?

—Powiedziałem im, panie, że jestem zadowolony z mego losu. Ja przecież wiem, że nie mam ani sił, ani nauki, więc nie mogę się wspiąć wyżej. Przyznałem się do tego otwarcie. Wtedy chwyciła ich wielka złość. Gadali, gadali, a w końcu zaczęli mi grozić. Mówili, żebym się strzegł. Wreszcie odeszli.

— A co mówili?

—Powiedzieli mi, że mnie zbiją na kwaśne jabłko, jeżeli do nich nie przystanę. Ale ja się nie boję, panie. Mam tak samo jak oni mocne ręce i potrafię się bronić. Do końca życia będę wiernie służyć mojemu panu i mojej maleńkiej pani.

Ludwik Rodenberg uścisnął rękę Pedra.

—Nie zapomnę ci tego, Pedro. Zobaczymy jak się wszystko ułoży. Wysłucham tego, co mi powiedzą. Jeżeli ich żale okażą się uzasadnione, to postaram się uwzględnić ich prośby, chociaż uważam, że nasi robotnicy mają lepsze warunki pracy, niż gdzie indziej. Nie pozwolę jednak nic wymusić z siebie. Możesz im to powtórzyć, w razie gdyby jeszcze raz mieli się zwrócić do ciebie.

— Dobrze, panie.

—Powiedz mi, Pedro, a jak się przedstawia sprawa służby, którą przyjąłeś na czas mojej obecności? Co to za ludzie?

—Tamci starają się także podburzyć naszą służbę, panie. Na razie jednak jest jeszcze spokojna. W każdym razie należy się mieć na baczności i pilnować dobrze tych ludzi.

—Dobrze, uważaj więc, żeby wieczorami cała służba wychodziła z domu i powracała na noc do domu służbowego. Tylko ty i twoja rodzina macie prawo pozostawać tutaj w ciągu nocy, zwłaszcza, że wasze mieszkanie mieści się na dole w suterenie.

—Tak, panie.

—Miej baczenie na tych nowych służących.

—Dobrze, panie.

—Dziękuję ci, Pedro, wynagrodzę ci twoją wierność i przywiązanie. I pamiętaj jeszcze, żeby jak najbardziej ukrywać stan rzeczy przed małą panią. Nie chcę jej niepokoić. Powiedz twoim kobietom, Pedro, żeby nie rozmawiały z nią o tych sprawach.

— Uczynię wszystko według twoich rozkazów, panie. Ludwik odprawił Pedra. W głębokim zamyśleniu rozważał to

wszystko, czego się dowiedział od starego służącego. Pedro nie kłamał, był szczerze przywiązany do niego i do Dolores. Zatarg z robotnikami przedstawiał się znacznie poważniej, niż się tego początkowo spodziewał. Do kopalni wkradł się duch buntu. Pan Ludwik zastanawiał się, jak zaradzić złu.

Po chwili do pokoju wszedł Janek. Wuj powtórzył mu swoją rozmowę z Pedrem.

— Nie zdziwiłbym się bynajmniej, gdyby się okazało, że ci tak zwani „bolszewicy" to zwykli szmuglerzy alkoholu. Przemycają na teren kopalni swoją kiepską wódkę i zależy im na tym, by rozsprzedać jej jak najwięcej wśród naszych robotników.

— Czemu ich jednak podburzają?

— Bo wiedzą, że im się inaczej nie uda sprzedać dostatecznej ilości wódki. Dlatego urządzają bunt. Muszę poznać bliżej tych bubków i przekonać się co to za jedni.

Dolo weszła do pokoju, wobec czego obydwaj panowie przerwali swoją rozmowę. Dolo miała na sobie białą sukienkę i wyglądała czarująco. Opowiadała ze śmiechem, jak się zachowywały Joni i Boni.

— Zerwały ze mnie po prostu ubranie, nie pozwoliły mi się ruszyć. Nic się nie zmieniło, jedna jest zazdrosna o drugą, usługują mi na wyścigi. Boni chciałaby wyprzedzić Joni i na odwrót. Mam wrażenie, Luteczku, że twój dyrektor mocno przesadził w swoim liście. Jestem przekonana, że gdy nasi ludzie zobaczą nas, gdy pomówimy z nimi, uspokoją się na pewno. Spodziewam się, że nabiorą znowu rozsądku, zwłaszcza, gdy im powiesz, że chcesz im dać lepsze warunki.

—Zobaczymy, Dolo, jak to będzie.

—No, w każdym razie pojadę z tobą jutro rano do kopalni.

—Nie, Dolo.

—Ale dlaczego, Luteczku?

—Najpierw ja pomówię z nimi.

—Przecież mogłabym przynajmniej pokazać się naszym robotnikom. Okazywali mi zawsze tyle przywiązania i życzliwości...

—Zostaniesz z Jankiem w domu i nie ruszysz się stąd ani na krok. Nie wolno ci się oddalać poza obręb ogrodu. Czy przyrzekasz mi, Dolo?

—Ach, Luteczku, ja przecież chciałam przynajmniej pospacerować trochę po p a m p a c h . . .

—Na razie nie ruszysz się z domu. Mam swoje powody, Dolo.

—Przecież Janek mógłby mi towarzyszyć, Luteczku.

—Będziesz mogła później wychodzić z Jankiem. Teraz jednak, dopóki nie doszedłem do porozumienia z robotnikami, wolę, abyś została w domu. Muszę się przekonać jak sprawy stoją, muszę się zorientować w sytuacji. Poczekaj jeszcze jeden dzień. Pojutrze pojedziesz ze mną do kopalni i przywitasz się z robotnikami. Wtedy także będziesz mogła powędrować przez c a m p a . Jutro jednak posiedzisz w domu.

Gdy Luteczek mówił tak poważnie i energicznie, nie można było sprzeciwiać się jego woli. Dolo wiedziała o tym z doświadczenia.

— Dobrze, Luteczku! — odparła z cichym westchnieniem. Wszyscy troje udali się do jadalni; Janek dziwił się różnorodności

i dobroci podawanych potraw. Czarny kucharz przygotował rzeczywiście wykwintny posiłek.

Po kolacji rozmawiano jeszcze trochę o rozmaitych sprawach. Później pan Ludwik usłyszał, jak Pedro wypuszcza z domu całą służbę i zamyka drzwi na klucz.

Służba udała się do swoich mieszkań. Dom dla służby położony był za ogrodem, obok garażu i zabudowań stajennych.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu, pan Ludwik rozkazał, by zajechał po niego samochód. Udał się natychmiast do kopalni.

Zaledwie tam przybył, gdy zauważył zmieniony nastrój robotników. Spostrzegł, że robotnicy, obok których przejeżdżał, nie kłaniali mu się uprzejmie jak dawniej, lecz spuszczali wzrok, albo też odwracali się. Unikali najwyraźniej jego spojrzenia. Twarze mieli gniewne i zasępione.

Pan Ludwik wyciągnął odpowiednie wnioski z tego zachowania swoich ludzi.

Polecił szoferowi, aby zatrzymał się przed gmachem, w którym mieściły się biura. Gdy wysiadał z samochodu, zauważył porozumiewawcze spojrzenie, jakie jego szofer Tommy zamienił z robotnikami, stojącymi w pobliżu budynku. Ze spokojem i powagą spojrzał na szofera. Tommy odrzucił głowę w tył, wykrzywił się drwiąco i odwrócił się od swego pana.

Wyglądało to bezwarunkowo na bunt. Na razie jednak pan Ludwik nie skarcił ani jednym słowem tego krnąbrnego i hardego zachowania szofera.

Wszedł do biura. Dyrektor Delora oraz kilku wyższych urzędników już go oczekiwało. Przywitał się z nimi.

—Chwała Bogu, że pan już przyjechał — powiedział dyrektor.

—Wywnioskowałem z pańskiego listu, że mój przyjazd jest konieczny — odparł Ludwik Rodenberg.

—O tak! Myśmy już zupełnie wyczerpali wszelkie środki i pomysły, nie wiemy jak sobie poradzić z tym wszystkim — mówił dyrektor bardzo przygnębiony.

Pan Ludwik wyczuł, że w słowach jego brzmi wyraźny lęk. Zauważył, że odwaga opuściła zupełnie jego urzędników.

Spostrzegł, że jeden z woźnych, który stał przy drzwiach, nadsłuchuje z wielkim napięciem. Dlatego też powiedział spokojnie i bardzo głośno:

—Należy zawsze wiedzieć, jak postępować z ludźmi. Tak, moi panowie! Spokoju, tylko spokoju! Sprawa ta zostanie bardzo prędko załatwiona.

Wraz ze swoimi urzędnikami wszedł do sali posiedzeń. Sala ta posiadała podwójne drzwi. Można tu było swobodnie rozmawiać, bez obawy, że ktoś podsłucha rozmowę.

Tutaj Ludwik dowiedział się wszystkiego, co powinien był wiedzieć.

Z początku nie przywiązywano wcale wagi do okoliczności, że się ludzie wciąż zbierają w gromady po fajrancie i długo o czymś rozprawiają. Później zauważono, że na tych zebraniach robotnicy nie tylko rozmawiają, lecz przede wszystkim piją wiele wódki.

Później robotnicy zaczęli się zbierać w kantynie. Tam również, pomimo surowego zakazu, odbywał się wyszynk napojów wyskokowych. Wśród robotników było dwóch białych, których przyjęto niedawno. Oni to zaczęli nagle występować w roli agitatorów. Przemawiali do swoich towarzyszy, podburzali ich mowami. Wszyscy pili, krzyczeli, odgrażali się, nieraz do późnej nocy trwał ten hałas w kantynie. Nikt najpierw nie wiedział, o co chodzi.

Pewnego wieczoru kilku urzędników udało się ukradkiem pod kantynę. Zaczęli podsłuchiwać pod drzwiami. Obydwaj podżegacze przemawiali z wielkim patosem. Opowiadali, że na całym świecie wybuchł bunt robotników, którzy zaczynają się domagać swoich praw i walczą o nie. Panowie nie mają obecnie żadnych praw, kto był dawniej na dole, ten stanie teraz na wyżynach i odwrotnie. Dość już tego ucisku, tego jarzma.

Robotnicy nie pozwolą się już zbywać pięknymi słówkami. Nie powinni 'się zgadzać na te głodowe płace. I czemu to zabrania im się picia alkoholu? Należy się oprzeć temu zakazowi. Cóż to, czy alkohol jest tylko dla panów? Każdy proletariusz powinien pić wódkę tak często i w takich ilościach, jak mu się żywnie podoba.

Mówcy wykrzykiwali głośno rozmaite hasła i mówili o tym, jak bardzo kapitaliści wyzyskiwali nieszczęśliwych robotników. Teraz i to się skończyło, teraz lud roboczy ma władzę w ręku. Przecież kapitaliści nie mogą wcale istnieć bez robotników.

Niestety, jeszcze nie wszędzie zaprowadzono nowy ład. Panowie w dalszym ciągu traktują pracujących ludzi jak niewolników. Trzeba z tym skończyć i to jak najprędzej! Precz z uciskiem, precz z kapitalistami! Niby wilki w owczej skórze zwodzą i ogłupiają robotników, zabierają im zdrowie i siły. A gdy już robotnik straci zdrowie i przestaje być zdolny do pracy, wtedy wyrzuca się go jak wyciśniętą cytrynę. Teraz nadszedł wreszcie dzień zapłaty! Wybiła godzina odwetu dla ludu robotniczego. Robotnicy powinni wywalczyć sobie swoje prawa, powinni się domagać tych bogactw i zbytków, jakie dotąd mieli tylko kapitaliści, ci nikczemni wyzyskiwacze, żywiący się potem i krwią proletariatu. Panowie przede wszystkim nie powinni mieć prawa zabraniania alkoholu. Wódka to przyjaciel człowieka, to jedyna jego radość. Należy również zażądać podwyższenia płacy, podwójna płaca to jeszcze za mało! Nie powinno się pracować tyle godzin, dyrekcja musi skrócić dzień roboczy. Przecież i robotnik powinien mieć coś ze swego życia, żeby mógł odpocząć po ciężkiej pracy i wypić w spokoju swój kieliszeczek wódki.

Następnie zaczęto się w kantynie naradzać jakie warunki postawić dyrekcji. Żądania robotników przechodziły granice możliwości.

Narady te odbyły się przed kilkoma dniami. Postanowiono wybrać delegację i skierować ją do dyrekcji. Delegaci mieli przedstawić rządowi kopalni żądania robotników.

Tu pan dyrektor Delora urwał. Po chwili zaczął mówić dalej: — Wczoraj zjawiła się u mnie ta delegacja. Ma się rozumieć, że przemawiali znowu w imieniu wszystkich ci dwaj agitatorzy, którzy stali na czele delegacji. Oświadczyli, że jeżeli co do joty nie wypełnimy warunków, robotnicy natychmiast przerwą pracę. Jeżeli to nastąpi, to cała odpowiedzialność spadnie na nas. Ludzie ci zachowywali się tak bezczelnie, tak ordynarnie, że doprawdy nie wiedzieliśmy w pierwszej chwili, jak zareagować na to wystąpienie. Mam wrażenie, że nasi robotnicy wpadli w jakiś szał, bo nie wiedzą już sami, czego chcą. Mają tylko jedno na celu: pragną ująć w swoje ręce ster i rządzić nami. Dawali nam wyraźnie do zrozumienia, że władza jest w ich rękach. Spisali zresztą swoje żądania i pozostawili nam do rozpatrzenia ten dokument swojej bezgranicznej głupoty.

Ludwik Rodenberg wysłuchał dyrektora do końca. Podczas jego opowiadania nie przerwał mu ani jednym słowem. Dla niego sprawa ta przedstawiała się zupełnie jasno. Coraz bardziej dochodził do przekonania, że ci tak zwani przywódcy i agitatorzy są po prostu przemytnikami alkoholu. Postanowili łowić ryby w mętnej wodzie i zniknąć po wyłudzeniu ostatnich oszczędności robotników.

Tak, sytuacja przedstawiała się bez wątpienia bardzo poważnie. Robotnicy są stale odurzeni alkoholem, mają zamroczone umysły. Trudno będzie pertraktować z nimi i przemówić im do rozsądku.

Nie zdradził swego zaniepokojenia, lecz zapytał:

— Gdzie są te warunki?

Dyrektor Delora podał mu w milczeniu arkusz papieru. Dokument był rzeczywiście zredagowany w tonie pogróżki. Teraz dopiero Ludwik Rodenberg mógł pojąć obawy swoich urzędników.

Po przeczytaniu podniósł oczy na dyrektora Delorę i innych pracowników. Spoglądali oni na niego wyczekująco, ciekawi jego postanowień.

— A co odpowiedzieliście na te bezczelne żądania, moi panowie? — zapytał.

— Otrzymaliśmy prawie równocześnie depeszę od pana, nadaną z Rio de Janeiro. Powiedzieliśmy więc ludziom, że pan powraca i że decyzja zależy od pana. Kazaliśmy, aby się dziś zgłosili po odpowiedź.

— O której godzinie delegacja ma się zgłosić?

— O czwartej po południu. Nie mieliśmy innego wyjścia, a przy tym naprawdę nie wiemy, jak pan zamierza postąpić w tej sprawie. Nasi robotnicy już przed kilkoma tygodniami wysłali do zarządu swoich delegatów, aby nam przedstawili warunki.

— A jakie były warunki tej pierwszej delegacji?

— Także nie do przyjęcia. Inaczej bylibyśmy sobie przecież jakoś poradzili z naszymi ludźmi. Już wtedy doszedłem do przekonania, że taki stan jak obecnie, nie może trwać długo. Dlatego właśnie napisałem do pana i wspomniałem o zaj-

ściach w Armadzie. Uważałem, że pan powinien przybyć na miejsce i zlikwidować jakoś te sprawy.

—Uczynił pan bardzo rozsądnie — powiedział Ludwik Rodenberg — mam nadzieję, że dam sobie radę z naszymi robotnikami.

Dyrektor Delora spojrzał na niego niepewnie.

—Niełatwa to sprawa. Nie mogliśmy przyjąć pierwszych warunków, tym bardziej tych. Przecież oni żądają absurdów. W każdym razie jesteśmy bardzo zadowoleni, że pan przyjechał i że pan będzie osobiście prowadzić układy z robotnikami. My nie mamy nad nimi władzy, a przy tym lękaliśmy się odpowiedzialności. Jeżeli jednak nie uda się panu uspokoić naszych ludzi, to na pewno wybuchnie bunt. Obawiam się, że może dojść do poważnych zaburzeń.

—Ja się nie boję!

—Bo pana długo nie było w Armadzie i nie widział ich pan teraz. Przybierają coraz groźniejszą postawę. No, zobaczymy zresztą. W każdym razie delegaci będą tutaj o czwartej po odpowiedź.

Ludwik cisnął dokument na stół. Wstał z miejsca, wyprostował się. Na twarzy jego malowała się energia i żelazna stanowczość.

—Dobrze, niech przyjdą po odpowiedź, ja odpowiem im bardzo wyraźnie. Nie uwzględnię tych żądań, to zupełnie wykluczone.

Urzędnicy otoczyli kołem swojego zwierzchnika. Twarze ich wyrażały lęk i głęboką troskę.

—Powtarzam, to niełatwa sprawa — rzekł dyrektor Dełora.

—Dlaczego? Dotychczas zawsze jakoś dochodziliśmy z nimi do porozumienia.

—Niech pan nie zapomina, że nie będzie pan obecnie miał do czynienia z tymi posłusznymi i uległymi ludźmi co dawniej. Są bardzo niezadowoleni ze swego losu.

—Tak, zauważyłem to — stwierdził pan Ludwik.

— Właściwie, to już przed pół rokiem zaczęła się ta cała historia. Spostrzegłem, że się jakoś dziwnie zmienili. Wówczas jednak nie brałem tego na serio.

— Kiedy się to rozpoczęło na dobre?

— Jakieś dwa miesiące temu. Ci ludzie po prostu powariowali. Zachowują się bezczelnie, zdają się drwić sobie ze wszystkiego. Są leniwi i niedbali. W ciągu ostatniego tygodnia doszło do poważnych wykroczeń. Gdy są wstawieni — a nie wiemy skąd mają wódkę — zatracają zupełnie poczucie przyzwoitości. Sami nie wiedzą co czynią. A ci ich przywódcy, a raczej ich uwodziciele, dolewają wciąż oliwy do ognia. Obawiamy się jakiegoś wybuchu. Gdyby doszło do rozruchów, zachodziłaby obawa poważnego niebezpieczeństwa. Nie wiem, co to będzie i jak się to wszystko skończy.

— Uspokoją się na pewno.

— A te ich żądania? Przecież naprawdę niepodobna przyjąć tych warunków. A z drugiej strony, jeżeli ich nie uwzględnimy, to urządzą strajk. Kopalnia stanie. Co wtedy będzie?

— Damy sobie radę.

Ludwik Rodenberg bynajmniej nie był tak spokojny, jak się to na pozór wydawało. Nie lekceważył sobie tej sprawy, rozumiał, że jest bardzo poważna. Najbardziej niebezpieczną wydawała mu się sprawa przemycania alkoholu. Robotnicy upijali się, a co najgorsze otrzymywali dowolne ilości alkoholu. Nie można przecież pertraktować z ludźmi w nietrzeźwym stanie, a tym bardziej przemówić im do rozsądku. To ogromnie utrudniało sprawę.

Wyczuwał, że dyrektor i urzędnicy stracili odwagę i pomyślał, że powinien im w miarę możności dodać otuchy.

—Powtarzam raz jeszcze: przede wszystkim potrzeba nam spokoju! Nie denerwować się, nie pokazywać ludziom, że się ich obawiamy. Nie taki diabeł straszny jak go malują — powiada przysłowie.

—Przepraszam pana bardzo, ale pozwolę sobie zwrócić uwagę, że to nie są niemieccy robotnicy. Mamy tu do czynienia z gromadą ludzi pierwotnych, o go-

rącej krwi w żyłach. Są ogromnie wybuchowi, zapalają się łatwo. Czarni robotnicy nie są jeszcze wcale najgorsi. Zostali po prostu nastraszeni, zbuntowani i odurzeni alkoholem. Najgorsi to biali robotnicy. Przecież pan wie, jaka zbieranina przyjeżdża do Brazylii. Najgorsze szumowiny i męty społeczne, ciemne typy, awanturnicy. Dla nich zabić kilku ludzi — to drobiazg. Wystarczy jalriś najdrobniejszy spór, a już wyciągają noże z kieszeni. Po każdej waśni mamy kilku rannych. Póki w ten sposób załatwiają własne porachunki, nie można się do nich wtrącać. To są wyłącznie ich sprawy. Teraz jednak ich cała złość zwraca się przeciwko nam, a to już znacznie gorzej. Przecież nie możemy dopuścić do rozlewu krwi...

Ludwik patrzył spokojnie na wylęknionych urzędników.

— Przede wszystkim moi panowie, nie należy tracić odwagi. A po wtóre nie należy okazywać robotnikom, że się ich lękamy. Gdy tylko poczują, że uważamy ich za poważnych przeciwników, zaczną sobie wyobrażać, że naprawdę mają nad nami władzę; a wówczas z pewnością przegramy.

— A co pan zamierza uczynić?

— Po południu pogadam w każdym razie z delegatami. Spróbuję przemówić im do rozsądku.

— Ach, proszę pana, gdyby się panu udało uspokoić tych ludzi. Dla nas byłoby to naprawdę wyzwolenie. Odetchnęlibyśmy z ulgą. Nasze położenie doprawdy nie jest godne zazdrości. Żyjemy w ciągłej obawie. Gdy się taka pijana zgraja rozpęta, wówczas człowiek nie jest pewny życia. Dlatego nawet wysłaliśmy wczoraj nasze żony i córki do Jaimeville. Uważaliśmy, że nie powinny tutaj pozostać. Nie wiadomo przecież jakie niebezpieczeństwo może im grozić ze strony zbuntowanej i pijanej tłuszczy.

Ludwik pomyślał o Dolores i zrobiło mu się bardzo ciężko na duszy. Zaczął teraz na dobre żałować, że nakłonił ją do tej podróży. Tak, Armada stała się obecnie niebezpiecznym terenem, zwłaszcza dla młodej dziewczyny. A gdyby jeszcze miało dojść do poważnych rozruchów, jak to przewiduje dyrektor Delora... Na miłość boską! Należy teraz stale czuwać nad Dolo. Szkoda, że nie pozostała w Jai-meville, mogła przecież zamieszkać u państwa Frasquita, gdzie byłaby bądź

co bądź pod dobrą opieką. Teraz jednak już za późno! A swoją drogą dyrektor Delora powinien był go uprzedzić, żeby nie zabierał swojej córki.

—Przecież pan wiedział, panie dyrektorze, że mam zamiar przyjechać do Armady z moją córką. Dlaczego pan nie przesłał mi wiadomości przez szofera? Byłbym ją również pozostawił w Jaimeville pod opieką znajomych. Należało mnie uprzedzić.

Dyrektor Delora zmieszał się trochę. Umyślnie nie przesłał takiej wiadomości panu Rodenbergowi. Lękał się, że pan Ludwik się przestraszy i sam także nie będzie chciał udać się do Armady. A przecież w nim spoczywała ostatnia nadzieja. Tłumaczył się, jak mógł.

—Pański dom znajduje się przecież w znacznym oddaleniu od kopalni. Panna Vanzita jest zupełnie bezpieczna, nic jej nie grozi. A nasze panie mieszkają razem z nami, w pobliżu kopalni.

—Nie biorę panom za złe, że postaraliście się o bezpieczne schronienie dla waszych pań. Spodziewam się, że i moja córka nie będzie narażona na niebezpieczeństwo. Zwracam tylko uwagę, że gdy robotnicy spostrzegą nieobecność pań, zaczną triumfować. Powiedzą sobie: to najlepszy znak, jak oni się nas boją. I pomyślą, że na pewno oni będą górą.

—Na razie sądzą, że nasze panie pojechały do Jaimeville po sprawunki. Jeżdżą tam przecież co pewien czas. Postaraliśmy się zataić fakt, że na razie nie powrócą. W każdym razie, jak dotąd, nikt nie zwrócił na to uwagi.

—Dobrze, dobrze, najważniejsze, że paniom tam nic nie grozi. Spodziewam się, że już wkrótce będą mogły bez przeszkody powrócić do domu. W tej chwili sam jeszcze nie wiem, w jaki sposób zrobię porządek. Najpierw muszę się przyjrzeć tym panom agitatorom. Z całą pewnością jednak zlikwiduję wkrótce ten bunt. Możecie się na mnie śmiało zdać, moi panowie.

I Ludwik zmienił temat rozmowy. Zaczął na pozór spokojnie mówić o innych sprawach. Jego spokój dodał otuchy dyrektorowi i urzędnikom. Oni również pozbyli się trochę swoich obaw.

Pan Ludwik przed powrotem do domu obszedł jeszcze całą kopalnię. Udał się na tę inspekcję zupełnie sam. Przechodził od jednego działu do drugiego, zatrzymywał się chwilami, przyglądając się pracy poszczególnych robotników. Niekiedy także rozmawiał z ludźmi. Nie uszło jego uwagi, że niektórzy robotnicy spoglądają na niego groźnie. Udał jednak, że tego nie dostrzega.

Ta jego pozorna obojętność, okazywana tak jawnie, wywarła pewne wrażenie na robotnikach. Mieli sposobność przekonać się, że ich zwierzchnik nie odczuwa wcale lęku. Nawet najbardziej oporni i zawzięci tracili pewność siebie; odwracali głowy, nie mogąc wytrzymać jego przenikliwego spojrzenia.

Po ukończeniu inspekcji pan Ludwik odjechał do domu. Umyślnie nie zwrócił uwagi żadnemu z robotników i nie kazał zastosować na razie żadnych środków przeciw nim. Postanowił, że najpierw musi przyjąć delegację. Później dopiero zacznie działać. Orientował się zupełnie jasno w sytuacji. Agitatorzy — to na pewno jakieś ciemne typy, mające na celu tylko własną korzyść. Podżegają robotników, ażeby wyzyskać tę okoliczność dla siebie. Inaczej nie namówiliby ich do stawiania tak bezsensownych warunków. Gdyby mieli do czynienia z jakąś zwartą i spokojną organizacją robotniczą, nie mogliby z niej ciągnąć zysków. To nie ulegało wątpliwości. Musieli posiadać większy zapas wódki, którego gdzie indziej nie mogli sprzedać. Tam gdzie nie było chaosu, nie mogli liczyć na osiągnięcie swoich celów. Poczynili już wiele szkody, mimo to Ludwik Rodenberg chciał ustrzec swoich ludzi przed jeszcze większym nieszczęściem. Dlatego też należy osadzić przywódców. Należy ich w każdym razie wydalić. Wtedy można będzie załatwić sprawę z pozostałymi robotnikami.

Gdy powrócił do domu, zastał Jana i Dolo na werandzie. Oczekiwali go już z wielkim zaciekawieniem. Na twarzach ich malował się wyraz napięcia. Ludwik umyślnie powitał ich jakimś żarcikiem, aby przekonać szofera, że jest spokojny i nie boi się robotników. Następnie zwrócił się do kierowcy.

—O trzeciej pojadę znowu do kopalni, proszę więc punktualnie być na miejscu.

Tommy przeciągnął się niedbale na swoim miejscu przy kierownicy, lecz nie odpowiedział. Ludwik spojrzał na niego surowo.

— Zrozumiano?

— Nie jestem przecież głuchy! — odpowiedział bezczelnie Tommy. Wówczas Ludwik spokojnie otworzył drzwiczki, pochwycił szofera za kołnierz i jednym szybkim ruchem postawił go na ziemi.

— Tak, mój chłopaczku! Ludzie twojego pokroju nie mogą służyć u mnie. Jesteś wolny. Idź do kasy i każ sobie wypłacić pensję do końca miesiąca. Skończyliśmy ze sobą raz na zawsze.

Powiedział to chłodno, ale tak energicznie i stanowczo, że speszony Tommy nie odpowiedział ani słowa. Zgrzytnął tylko zębami i odszedł wolnym krokiem, oglądając się za Ludwikiem Rodenbergiem. W oczach jego płonęła zacięta nienawiść.

Dolo i Janek stali się świadkami tej krótkiej scenki. Oboje byli niezmiernie zaskoczeni.

— Co to było, Luteczku? — spytała przestraszona Dolo. Pan Ludwik zaśmiał się na pozór niefrasobliwie.

— Nic ważnego; było to nieco nagłe wydalenie opornego szofera. Zapomniał podczas naszej nieobecności, jak się należy zachowywać wobec swego chlebodawcy. Musiałem mu dać nauczkę. Będę sam prowadzić samochód, gdy po południu pojadę do kopalni.

— Ja bym cię przecież mógł zawieźć, wuju — zaproponował Janek.

— Nie, mój chłopcze. Ty będziesz mi potrzebny do czego innego.

I pan Ludwik zaraz doprowadził samochód do porządku, zupełnie spokojnie, jakby nic nie zaszło. Samochód pozostał przed domem. Janek zauważył natychmiast, że wuj nie jest wcale tak sokojny, jak się zdaje.

Pan Ludwik wszedł na werandę.

— Jak tam było w kopalni, Luteczku. Na pewno uspokoili się od razu, gdy cię zobaczyli? Prawda?

Pan Ludwik uśmiechnął się.

—No, nie poszło tak gładko, jak ci się zdaje, kochana Dolo.

—Nie? I co teraz będzie?

—Pogadam z nimi jeszcze raz, dziś po obiedzie, i postaram się ich przekonać. Mam nadzieję, że wtedy nastąpi wreszcie porządek.

I Ludwik Rodenberg, na pozór zupełnie spokojny, usiadł do obiadu z Jankiem i Dolo. Rozmawiał z nimi o różnych sprawach, nie poruszając umyślnie tego tematu. Dopiero po obiedzie, gdy Dolo wyszła na chwilę do swego pokoju, zwrócił się do Janka:

—Mój drogi Janku, sprawa bynajmniej nie wygląda tak niewinnie, jak usiłowałem ją przedstawić Dolo.

—Domyśliłem się tego od razu, wuju.

—Rozmawiałem z dyrektorem i urzędnikami, ale to wszystko tchórze. Pozwolili się zapędzić w kozi róg, a teraz za późno. Zamiast zaraz na początku gruntownie zaradzić złemu i wypędzić tych dwóch komunistycznych agitatorów, przyjmowali wszystko bezwolnie i w dodatku trzęśli się ze strachu. Możesz sobie wyobrazić, jak to podziałało na robotników. Rozzuchwalili się, zachowując się bezczelnie, ale nic w tym dziwnego. Miałeś zresztą przykład na moim szoferze. Chłopak uważa się za coś lepszego ode mnie i pragnie być górą. Ja, naturalnie, wydaliłem go z miejsca. Najgorsze w tym wszystkim to zgubny wpływ alkoholu, który niestety rozpanoszył się wśród naszych ludzi.

—Czy dawniej nie pili?

—Dawniej? Zabroniłem raz na zawsze używania napojów wyskokowych w obrębie kopalni. Wiedzieli o tym. Nie wiem w ogóle, kto przemyca wódkę do Armady. Zapewne ci dwaj komuniści. A moi urzędnicy widzieli to i nie starali się temu zapobiec. Gdyby się to zdarzyło podczas mojej obecności, oho! Niechbym tylko zobaczył pierwszego pijanego robotnika, a natychmiast zrobiłbym z tym wszystkim porządek. Mój dyrektor boi się ich i dlatego puszczał wszystko płazem. Teraz, rzecz oczywista, sprawa nie pójdzie tak łatwo. Przeciwnie, może nawet dojść do poważnych starć. Gdybym wiedział, jak te sprawy stoją, nie byłbym zabierał Dolo, albo też pozostawiłbym ją przynajmniej w Jaimeville...

—Nie wiem, czy Dolo chciałaby pozostać bez nas — wtrącił Janek.

—Na pewno nie, o ile ją znam. Gdyby tylko przeczuła, że nam grozi jakieś niebezpieczeństwo, nie puściłaby nas samych. Moja Dolo jest energiczną i odważną dziewczyną, to mały zuch. A skoro już przyjechała, więc należy uczynić wszystko dla jej bezpieczeństwa. Nie powinna się także dowiedzieć o spodziewanych zamieszkach. Dlatego jestem bardzo rad, że przyjechałeś z nami. Dolo pozostanie pod twoją opieką, podczas gdy ja będę musiał być w kopalni.

—Naturalnie, wuju. A czy dowiedziałeś się już czego domagają się twoi robotnicy?

—Tak. Spisali wszystko, czego żądają i dziś o czwartej mają przyjść po odpowiedź. Ich żądania nie mają sensu, są niewykonalne. Ma się rozumieć, że namówili ich do tego ci dwaj agitatorzy. Nie widziałem jeszcze tych panów, dopiero o czwartej będę miał tę przyjemność. Nie przypuszczam jednak, że to naprawdę są agenci komunistyczni. Doświadczony agitator nie wypisywałby takich bredni. Naturalnie, że całe popołudniowe posiedzenie będzie miało zapewne dość burzliwy przebieg. Wiem z góry, że stracę wiele nerwów.

—Pozwól mi pojechać z tobą.

—Po co? Tam nie możesz mi się na nic przydać. Będę spokojniejszy, wiedząc, że zostałeś tutaj i czuwasz nad Dolo. A spokój — to dla mnie najważniejsze. Pamiętaj, pilnuj Dolo!

—Ależ tak, nie odejdę od niej na krok.

—Uważaj, żeby nie wychodziła z domu. Trzeba się mieć na baczności. Uważaj także, czy gdzieś nie pokaże się Tommy. Ten chłopiec patrzył na mnie z tak zaciętą złością iż obawiam się, że gotów się mścić. Niech Dolo nie wychodzi nawet do ogrodu. W każdym razie nie wolno jej przebywać w pobliżu kopalni. Nie wiadomo, co się stanie. Dyrektor spodziewa się strajku, a nawet zamieszek. Urzędnicy wysłali swoje panie do Jaimeville.

—Janek spojrzał na drzwi, za którymi znikła Dolo, po czym rzekł z powagą:

—Czy nie powinniśmy jeszcze teraz odwieźć Dolo do Jaimeville?

—Dolo nie zechce pojechać. Poza tym przypuszczam, że to nie będzie potrzebne. Zobaczymy, jak się wszystko ułoży. Po konferencji z robotnikami, zorientuję się dopiero w sytuacji. Jeżeli się okaże, że nie można tym ludziom przemówić do rozsądku, wówczas wezwę na pomoc wojsko. Nie mam zamiaru czekać, aż mi zdemolują cały dom i kopalnię. Pragnę także uchronić od nieszczęścia moich robotników. To przecież po części tylko niemądre dzieci, którym ci dwaj burzyciele przewrócili w głowie.

—Czy naprawdę sądzisz, wuju, że sobie dasz radę?

—Tak! Zresztą, przekonam się o tym dziś po południu. Jeżeli się nie uda, wtedy, jak już wspomniałem, wezwę na pomoc wojsko. Zanim ta pomoc nadejdzie, Dolo musi pozostać w domu. Tutaj jest zupełnie bezpiecznie, a przy tym ty i Pedro będziecie czuwać nad nią. Nic jej nie może grozić.

—To prawda!

Janek chciał jeszcze o coś zapytać, lecz nie zdążył, bo do pokoju weszła Dolo.

Nie okazywała najmniejszego niepokoju. Była przekonana, że ojcu uda się na pewno zażegnać wybuch burzy. Pan Ludwik potrafił przedstawić jej spory z robotnikami w tak niewinnym świetle, że nie odczuwała wcale lęku. Przecież Luteczek na pewno zaradzi wszystkiemu.

Wchodząc do pokoju, zauważyła również, że obydwaj panowie nie zdradzają zaniepokojenia. Siedzieli przy stole i rozmawiali o jakichś obojętnych sprawach.

***

Zaraz po trzeciej Ludwik Rodenberg wsiadł do samochodu i pojechał sam do kopalni. Przejeżdżając przez tereny kopalni, spoglądał wprost przed siebie, udając, że jest zupełnie spokojny.

Zatrzymał samochód przed budynkiem, w którym mieściły się biura. Tylna ściana tego budynku została przybudowana do stromej wysokiej skały. Ludwik wysiadł, zamknął samochód i wszedł do budynku.

Urzędnicy zebrali się wszyscy w sali posiedzeń, gdzie oczekiwali niecierpliwie przybycia swego zwierzchnika.

—Czy szofer Tommy odebrał swoją pensję do końca miesiąca? — zapytał kasjera.

—Tak, proszę pana.

—Czy pan odprawił swego szofera? — zapytał przerażony dyrektor.

—Tak, dziś przed południem wymówiłem mu z miejsca posadę.

—Dlaczego?

—Zachowywał się bezczelnie, więc wziąłem go za kark i podniosłem go w górę, a następnie postawiłem na ziemi. Tym samym zakończył się nasz wzajemny stosunek służbowy. Nie można takich rzeczy puszczać płazem...

—Ale w tych niespokojnych czasach...

—Szczególnie w tych niespokojnych czasach. Trzeba pokazać tym ludziom, że się ich nie boimy.

—Tak, ale to się może źle skończyć. Teraz Tommy zacznie także buntować innych, możemy mieć z tego powodu poważne przykrości.

Ludwik spojrzał z powagą na dyrektora, po czym powiedział stanowczo:

—Nawet i to nie mogłoby na mnie wpłynąć. Nie pozostawiłbym go w tych warunkach na służbie, skoro nie potrafi się odpowiednio zachować.

Urzędnicy spoglądali na swego zwierzchnika z lękiem i z podziwem. Ten pan Rodenberg naprawdę nikogo się nie boi. Imponował im jego spokój i zimna krew. Kto wie, może on da sobie radę ze zbuntowanymi robotnikami.

Ludwik zadał im jeszcze kilka pytań i załatwił niektóre sprawy handlowe tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło.

Punktualnie o czwartej zjawiła się delegacja. Składała się ona z czterech białych robotników i czterech Murzynów. Ludwik znał wszystkich, oprócz dwóch białych. Domyślił się od razu, że to właśnie są agitatorzy.

Sprawili oni na nim bardzo niekorzystne wrażenie. Mieli ordynarne, niesympatyczne twarze, stali dumnie wyprostowani i spoglądali wyzywająco na niego. Ludwik na razie zignorował ich obecność, chociaż od razu ocenił ich właściwie swymi bystrymi oczyma.

Spoglądał kolejno na innych. Spuszczali mimo woli wzrok, gdy czuli na sobie jego badawcze, przenikliwe spojrzenie. Wreszcie Ludwik zwrócił się do jednego z Murzynów, wysokiego człowieka o budowie Herkulesa:

—No i co słychać, Samie? Jak się ma twoja żona? Czy już wyzdrowiała, czy może pracować?

Sam z początku spoglądał ponuro i starał się najwidoczniej wyglądać bardzo groźnie. Teraz, usłyszawszy to nieoczekiwane pytanie swego pana, speszył się ogromnie. Wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast. Wyrażała ona zdumienie, żal i jakby trochę zawstydzenia.

Sam przypomniał sobie, że przed laty Dolo była dobra dla jego chorej żony. Ponieważ chora kobieta nie miała w swojej chacie spokoju ani opieki, więc wzięła ją do siebie i pielęgnowała z ogromnym oddaniem. Murzynka całymi godzinami leżała na cienistej werandzie, gdzie jej nikt nie przeszkadzał. Tylko dzięki Dolo odzyskała wówczas zdrowie. O tym właśnie myślał w tej chwili Sam, a myśli te były bardzo nieprzyjemne.

Stał w milczeniu, ze spuszczoną głową. Musiał także przypomnieć sobie słowa swojej żony, która obecnie jest już zupełnie zdrowa i bez ustanku robi mu wyrzuty, że niepotrzebnie zadaje się z „tymi dwoma przybłędami" i pozwala się przez takich bałamucić.

—No, Samie, czemu nie odpowiadasz? — zapytał ponownie pan Rodenberg.

—Moja żona jest zdrowa, panie — odparł Sam, ogromnie zmieszany, nie mając odwagi podnieść oczu.

—To mnie cieszy. A ty, Norris, co mi powiesz? Jak się czuje twoja maleńka córeczka? Czy dziecko może już samo chodzić? — zwrócił się Ludwik do drugiego Murzyna.

Ten również zmieszał się bardzo i stracił pewność siebie. Córeczka Norrisa miała słabe nóżki i bardzo długo nie mogła chodzić. Dolo podarowała dziecku wózek i nieraz sama całymi godzinami woziła małą na spacer.

Pan Ludwik zaczął po kolei zadawać pytania innym robotnikom. Znał ich wszystkich, orientował się doskonale w ich stosunkach rodzinnych. Każdemu potrafił przypomnieć jakąś drobną okoliczność z jego życia. A chociaż przypominał im rozmaite dobrodziejstwa, jakie świadczyła im Dolo, lub on sam — wspomnienia te wywoływały w ludziach bardzo nieprzyjemne uczucie. Zaczynali sobie powoli zdawać sprawę ze swojej niewdzięczności. Przecież w Armadzie nikt nie wyrządzał im krzywdy, traktowano ich znacznie lepiej, niż gdziekolwiek w Brazylii. Mieli swoje chaty, mieli porządny wikt. Ogarnęło ich wszystkich wahanie. Kto wie, czy dobrze robią, słuchając swoich przywódców? I kto wie, czy ci przywódcy mają naprawdę słuszność? Przecież nie wszyscy „panowie" są jednakowi.

I w sercach tych prostych ludzi zaczęły się budzić wątpliwości.

Tymczasem „agitatorzy" zorientowali się w sytuacji. Przestępo-wali niespokojnie z nogi na nogę i niecierpliwie oczekiwali na chwilę, gdy będą mogli zabrać głos. Pan Ludwik nie zważał na nich. Spokojnie i życzliwie rozmawiał ze swoimi dawnymi robotnikami.

Wreszcie jednemu z „agitatorów" znudziło się czekanie. Wysunął się naprzód i odezwał się bardzo szorstko:

—Nie przyszliśmy tutaj na takie próżne gadanie. Szkoda czasu! Mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

Ludwik Rodenberg powoli obrócił się ku niemu i zmierzył go od stóp do głów przeciągłym spojrzeniem. Następnie popatrzył przenikliwie na jego towarzysza.

—Do was się jeszcze wcale nie zwracałem — powiedział ostro, przy czym dorzucił po chwili:

—Was dwóch nie znam jeszcze wcale. Pewno dopiero od niedawna pracujecie w naszej kopalni?

„Agitatorzy" wykrzywili się drwiąco, a jeden z nich odpowiedział bezczelnie:

—W każdym razie już dosyć dawno, aby widzieć, że się i tutaj wyzyskuje robotników i traktuje jak bydło.

Ludwik zawrzał gniewem. Na jego czole nabrzmiały żyły. Chciał wybuchnąć, lecz pohamował się w porę i odparł:

—To wy z moich ludzi robicie bydło i pozbawiacie ich ludzkiej godności. Staracie się spoić ich waszym fuzlem, aby zatracili rozum i słuchali ślepo waszych mądrych rad.

—My chcemy równości dla wszystkich. Robotnik także może pić, kiedy ma na to ochotę — odezwał się jeden z przywódców.

—Więc to wy dwaj jesteście komunistycznymi agitatorami, — spytał z ironią Ludwik Rodenberg — właściwie wcale nie wyglądacie na to. Przeważnie bywają to ludzie naprawdę inteligentni i uświadomieni społecznie, którzy szczerze pragną poprawić los robotników. Ale wy dwaj? Wyglądacie raczej na przemytników alkoholu.

—Aha, panu się nasze twarze nie podobają! Ale to polega na wzajemności. Nam także pańska twarz wcale nie przypadła do gustu. To jednak nie należy do rzeczy. Pogadajmy lepiej o ważniejszych rzeczach!

—Powoli, powoli, bracie! A przede wszystkim proszę mówić grzeczniejszym tonem.

—Pewnie, będę się bawił w grzeczności! Niech pan lepiej odpowie, czy pan przyjmuje nasze warunki, czy nie! Czekamy na odpowiedź — rzekł jeden z przywódców. Nie zmienił on swojej postawy i w dalszym ciągu zachowywał się z tupetem. Jego kolega natomiast stracił pewność siebie. Pochylił się nieco i cofnął o kilka kroków. Był najwyraźniej zmieszany, zaś aluzja o szmuglowaniu wódki nie poszła mu w smak.

Ludwik Rodenberg wyprostował się i spojrzał przenikliwie na mówiącego:

—Chcecie odpowiedzi? Proszę bardzo! A więc nie uwzględnię tych żądań, ponieważ są one nie do przyjęcia. Gdyby jednak nawet było inaczej, to i tak nie zgodziłbym się na to, bo nie dam z siebie nic wymusić. Przyjechałem z Niemiec, żeby dobrowolnie poprawić dolę moich robotników, tak jak już nieraz przyznawałem im z własnej woli rozmaite przywileje. Pod przymusem nic nie zrobię, czyście zrozumieli?

—Aha! No to przerwiemy pracę. Kopalnia stanie!

—Prędzej dopuszczę, żeby kopalnia stanęła! Trudno, zwinę kopalnię i zlikwiduję wszystko. Zostaniecie bez pracy i możecie gdzie indziej szukać sobie chleba. W ciągu długich lat żyłem w zgodzie i spokoju z moimi robotnikami, nigdy nie było żadnych sporów. Starałem się dać im możliwie najlepsze warunki pracy, u mnie mieli zapewniony lepszy byt, niż gdziekolwiek w Brazylii. Sami wiecie o tym! Ale wam dwóm, wcale nie zależy na tym, żebym się pogodził, ułożył z robotnikami. Przybyliście tutaj nie wiadomo skąd, podburzacie moich ludzi, nabijacie im głowy jakimiś głupimi hasłami, których wcale nie rozumieją. Nie rozróżniają już dobra i zła, sami nie wiedzą, czego żądać. Zostali kompletnie ogłupieni, ale wam właśnie to jest na rękę. Chcecie łowić ryby w mętnej wodzie i zbyć jak największe ilości waszej szmuglowanej wódki...

—Bo to panu jest nie na rękę... A pewnie! Czemu to robotnik nie ma mieć swojej przyjemności?

—Milczeć! — krzyknął Ludwik — Samie, Norrisie, czy jesteście ślepi? Czy nie widzicie, co się tutaj dzieje? Lorenzo! Durano! Czy wam ta wódka już zupełnie zamąciła w głowie? Powtórzcie waszym towarzyszom moje słowa! Powinniście się jak najprędzej wyzwolić spod wpływu tych łotrów, którzy chcą waszego nieszczęścia. Poprawię wam dobrowolnie warunki, ale dopiero wtedy, gdy się uspokoicie. Zmusić się nie dam, pamiętajcie o tym! To moje ostatnie słowo!

Słowa Ludwika Rodenberga brzmiały spokojnie i stanowczo. Spostrzegł on, że jego przemówienie wywarło duże wrażenie na Samie i Norrisie. Nawet Lorenzo i Durano zaczęli się widocznie zastanawiać nad tą całą sprawą. Niepewnie spoglądali na swoich prowodyrów.

Inni robotnicy nie dali się jednak przekonać i trwali w swoim uporze i zaślepieniu.

Prowodyr wybuchnął drwiącym śmiechem. Później spostrzegł, że niektórzy z jego towarzyszy wahają się, że stracili wiele ze swojej pewności. Spojrzał ze złością na pana Ludwika, po czym zwrócił się do robotników:

— Nie dajcie się zagadać, towarzysze, to wszystko kłamstwo i tyle! Trzymajcie się mocno, inaczej nic nie dostaniecie.

— Dobrze gada! — potwierdził drugi agitator — Musicie się wyzwolić sami spod ucisku kapitalistów. Czy chcecie dalej znosić to jarzmo? Zerwijcie kajdany, nie ustępujcie w niczym, oni muszą spełnić nasze żądania! Precz z ustrojem kapitalistycznym! Niech żyje klasa robotnicza!

Ludwik spojrzał na niego surowo i powiedział stanowczym tonem:

— Wy i wasz wspólnik zostajecie zwolnieni. Macie obydwaj opuścić Armadę i to w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie potrzeba mi ludzi waszego pokroju. Szerzycie tylko zgubne hasła wśród moich robotników i pracujecie na waszą korzyść i ich zgubę.

Agitator roześmiał się znowu z gryzącą ironią.

—A pewnie! To by panu poszło w smak! Ale nie ma tak dobrze! Albo pozostaniemy w Armadzie, albo też wszyscy inni robotnicy przerwą pracę! Nie ruszymy się z miejsca.

—Aha, dopóki nie sprzedacie ostatniej kropli waszej przeklętej wódki — zawołał Ludwik Rodenberg — przecież tylko o to wam chodzi!

—Mój towarzysz i ja przybyliśmy tutaj, aby wyzwolić naszych kolegów spod kapitalistycznego jarzma. Pragniemy dla nich równości i wolności! Nie opuścimy ich. Zastrajkujemy, a wtedy będzie źle! Nie ręczymy za to, co się wówczas stanie. A skutki tego wszystkiego spadną na pańską głowę, panie inżynierze! Chcemy pomóc naszym towarzyszom w dochodzeniu ich praw! Mniejsza o to, czego pan żąda! My pozostaniemy na naszym posterunku!

—A ja nie pozwolę na to! Nie pozwolę przemycać wódki i bałamucić ludzi! Sam, Norris, Durano, Lurenzo! Opamiętajcie się, ludzie! Powtórzcie wszystkim robotnikom moje słowa! Wypędźcie tych uwodzicieli, którzy działają na waszą szkodę! Uwolnijcie się od nich, ja wam dobrze radzę!

—Tego się panu zachciewa, ma się rozumieć! Panu przecież zależy na tym, żeby ludzie trwali wciąż w stanie niewoli. My jednak nie pozwolimy na to. Pójdziemy z nimi ręka w rękę. Wytrwamy na tej placówce!

—A to co pan gada o wódce, to tylko bujanie gości! Żałuje pan robotnikom tej odrobiny przyjemności. Chce pan im zatruć tę jedyną radość, chociaż pan pewno codziennie opija się winkiem. Chciałby pan, żeby ludzie uginali się pod jarzmem ucisku. To pan ich ogłupia, ale nie my! To pan ma na celu własne interesy! My dbamy o dobro naszych braci!

—Tak, tylko że się pan inżynier przeliczył! My nie damy się nastraszyć!

—Nie, nie odejdziemy! Nie opuścimy towarzyszy w tak ważnej chwili! Nie damy im upaść na duchu!

—Tak. Zostaniemy! Właśnie dlatego, że pan tego nie chce! — Tak wołali burzyciele, jeden przez drugiego.

Ludwik Rodenberg uderzył pięścią w stół.

— Dość tego! Skończyłem z wami!

— Ale myśmy jeszcze nie skończyli!

—Nie do was mówię, tylko do moich robotników! Powtarzam, że nie cofnę ani jednego słowa z tego, co powiedziałem. Nie ustąpię ani na jotę; zastanówcie się nad tym, moi ludzie! Nie słuchajcie tych obcych, którzy chcą waszej zguby. A teraz odejdźcie. Chcieliście odpowiedzi, dałem wam odpowiedź! Koniec!

Delegacja powoli wyszła z gabinetu.

Zanim jeszcze drzwi zdążyły się zamknąć za robotnikami, Ludwik usłyszał ich wzburzoną mowę. To obydwaj agitatorzy zaczęli znowu podżegać ludzi i nama-

wiać ich do walki z „panami" i kapitalizmem. Długo jeszcze słychać było ich donośne głosy.

Ludwik słuchał ich przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Spojrzał na dyrektora i urzędników. Stali z pobladłymi twarzami, wystraszeni, onieśmieleni. Oni nie odważyliby się nigdy na takie energiczne wystąpienie. Zawinili wiele swoim tchórzostwem. Gdyby mieli więcej odwagi, byliby stłumili bunt w zarodku. Bali się jednak wypędzić od razu obydwu „agitatorów".

Ludwik Rodenberg zwrócił się do nich spokojnie, z taką swobodą jakby nic nie zaszło:

— Odwagi, moi panowie! Znajdziemy na to sposób.

—Panie inżynierze, to się źle skończy! — powiedział dyrektor blady z przerażenia.

—Dojdzie na pewno do rozlewu krwi — szepnął ochryple jeden z urzędników.

Ludwik Rodenberg potrząsnął głową. On nie rozumiał, że człowieka może tak od razu opuścić odwaga.

—Jak można się tak dać onieśmielić, moi panowie? Owszem, przyznaję, że sprawa przedstawia się poważniej, niż się tego spodziewałem; te dwa ciemne typki nie uspokoją się, dopóki do reszty nie ogłupią naszych robotników. Chcą pozbyć się swoich zapasów wódki, to rzecz jasna. Ja jednak nie chcę dopuścić do tego, by w swoim szale zdemolowali całą kopalnię. Mogą za to ciężko odpokutować, a ja nie pragnę wcale ich nieszczęścia. Przeciwnie, chcę zaradzić złu.

—Ale jak — jęknął zdesperowany dyrektor.

—Posłuchajcie, moi panowie. Pojadę do Jaimeville i sprowadzę na pomoc wojsko. Trzeba tych dwóch bubków zaaresztować. Gdy oni znikną z obrębu kopalni, reszta natychmiast uspokoi się i wróci do pracy.

—Czy tylko wojsko zechce przybyć na pomoc... — rzekł dyrektor z powątpiewaniem.

—Oto właśnie chodzi. Władze są w takich wypadkach dość niepojętne, trzeba im wszystko bardzo długo tłumaczyć, zanim się zdecydują przybyć. Dlatego też nie poślę żadnego z panów do Jaime-ville, lecz pojadę sam. Trzeba tutaj bardzo energicznie wystąpić, a ja to potrafię. Poza tym mam dość rozległe stosunki, sądzę więc, że prędko osiągnę swój cel. Uspokójcie się więc, moi panowie. Odwagi, odwagi! I nie wolno dać poznać po sobie, że się ich lękamy.

Urzędnicy odetchnęli z ulgą.

—Tak, to będzie najlepsze wyjście, panie inżynierze. Gdy pan sprowadzi wojsko, uspokoją się na pewno — powiedział wreszcie dyrektor.

—Ludwik uśmiechnął się lekko.

—Nie mam zamiaru zwlekać, lecz wyruszę jak najprędzej. Na razie jeszcze moje słowa pozostały im w pamięci. Mam wrażenie, że nie przebrzmiały bez echa. Zauważyłem, że Sam i Norris byli bardzo poruszeni. Stanowczo nie czuli się dobrze w charakterze delegatów. Lorenzo i Durano także nie byli zbyt pewni siebie. Widziałem, że się trochę wahają. Może spróbują wpłynąć na towarzyszy. Czy im się to uda — tego nie wiem. Zresztą, nie mam zamiaru czekać na to, aż delegaci przekonają resztę robotników...

—Nie, nie można zwlekać — powiedział dyrektor.

—Właśnie! Dlatego pojadę do Jaimeville jeszcze dziś. Uspokójcie się, panowie! I nikt nie powinien wiedzieć, że wyjeżdżam, aby wezwać pomocy. Postaram się wymknąć niepostrzeżenie, tak że nikt nie zauważy mojej nieobecności. Wy, moi. panowie, musicie zachować jak największą ostrożność. Kto wie, co może się stać dzisiejszej nocy. Ci dwaj agitatorzy na pewno spoją naszych ludzi do ostatnich granic, a wtedy może dojść do ekscesów. Nie chciałbym, aby któryś z was, moi panowie, został poszkodowany na ciele, a to się może łatwo zdarzyć...

—Ale co mamy począć? ' — Jak się obronimy?

" — Jestem zdania, że nie powinniście wcale wychodzić z gmachu biurowego — powiedział po chwili namysłu Ludwik Rodenberg — tutaj będziecie całą gromadą, to zawsze o wiele lepiej. Na razie, póki panuje spokój, możecie tutaj pozostać. W nocy prześpicie się na fotelach. Gdyby miały wybuchnąć jakieś

groźne rozruchy, to schronicie się w piwnicy. Tam nie może wam grozić żadne niebezpieczeństwo. Zaczekacie tam na mój powrót, a ja na pewno przybędę z pomocą.

— A gdyby się dobijali?

—Wy przecież będziecie w piwnicy, gdzie was naprawdę nie może spotkać nic złego. Lepiej się tam schronić, niż dopuścić do rozlewu kwi. Postarajcie się unikać strzelaniny. Przecież ja postaram się przybyć jak najprędzej.

Począł dawać urzędnikom rozmaite dobre rady i udzielać im wskazówek, jak się mają zachowywać.

Byli radzi, że nie będą mieli potrzeby wychodzić z biura. Ostatnio żyli ciągle w strachu. Obecnie udzielił się im spokój ich zwierzchnika. W piwnicach, które posiadały grube, mocno sklepione ściany, nie mogło im rzeczywiście nic grozić. Tam będą zupełnie bezpieczni.

Ludwik Rodenberg pożegnał się i na zakończenie poradził jeszcze, żeby zamknąć za nim na klucz drzwi wejściowe. Polecił im jednak uczynić to w taki sposób, by nikt tego nie spostrzegł.

Na pozór zupełnie spokojny wyszedł na dziedziniec. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by zorientować się w sytuacji. Ludzie odeszli do pracy. Wielkimi gromadami dążyli w kierunku kantyny. Panowało wśród nich ogromne wzburzenie.

Tak, ma się rozumieć! Teraz pójdą wszyscy do kantyny, gdzie ich znowu potraktują wódką. Obydwaj obcy przybysze postarają się znaleźć jak najwięcej nabywców na swój kiepski towar. Muszą posiadać wielkie zapasy alkoholu. I zaczną znowu podburzać robotników przeciw „kapitalistom". A zamroczone alkoholem umysły są najpodatniejszym gruntem dla takich wywrotowych haseł.

Ludwik Rodenberg zdawał sobie jasno sprawę, że nie obejdzie się bez rozruchów. Dlatego też należy działać jak najprędzej. Zaczął się zastanawiać nad swoim planem i obmyślał wszystkie szczegóły.

Tak, jeszcze dzisiejszej nocy pojedzie do Jaimeville. Może tam przybyć już jutro rano. Formalności i układy z władzami nie powinny potrwać zbyt długo. Jutro wieczorem może już być z wojskiem w Armadzie.

Namyślał się, czy nie zabrać Dolo do miasta i nie umieścić jej w domu państwa Frasquita. Po chwili jednak odrzucił ten plan. Nie, nie! Będzie musiał jechać przez całą noc i to w najszybszym tempie. To zbyt męczące i denerwujące dla młodej dziewczyny. Podczas całej drogi byłby niespokojny o Dolo, a przecież właśnie powinien zachować zimną krew i rozwagę. Nie, nie wolno mu tracić nerwów. Musi mieć spokój i zupełną swobodę działania. Lepiej niech Dolo pozostanie w domu pod opieką Pedra i Janka. Tam jej przcież nie spadnie włos z głowy. Jutro wieczorem powróci z wojskiem, a do tego czasu nic jej się nie stanie.

Postanowił również, że oględnie przygotuje Dolo. Nie można dłużej ukrywać przed nią prawdziwego stanu rzeczy. Dolo powinna się orientować w sytuacji. Zrozumie wówczas, że wskazana jest największa ostrożność. Inaczej gotowa jeszcze popełnić jakiś niebaczny krok. Pamięta jeszcze z przed laty robotników z Armady, którzy okazywali jej zawsze żywe przywiązanie. Nie potrafi zrozumieć, jak bardzo się zmienili. Dolo na razie nie zdaje sobie sprawy z grozy położenia. Nie ma celu zamydlać jej oczu, powinna wiedzieć wszystko, jest przecież dorosłą dziewczyną i nie brak jej odwagi. A do jutra i tak cała ta sprawa zostanie ostatecznie zlikwidowana. Ludwik Rodenberg wierzył niezbicie, że gdy dwaj przywódcy zostaną zaaresztowani, reszta robotników opamięta się i powróci do pracy. Taki przykład odstraszy ich na pewno, a przy tym przestaną się upijać. Trzeźwym ludziom zaś łatwiej jest przemówić do rozsądku.

Pocieszał się myślą, że zawsze pozostawał w dobrych stosunkach z władzami, zwłaszcza z komendantem miasta. Przed swoim pierwszym wyjazdem do Niemiec podarował mu pięknego wierzchowca. Poza tym umiał sobie zawsze innymi grzecznościami okupić jego względy. Nie wiadomo nigdy, na co się to może przydać. A teraz komendant będzie mu bardzo potrzebny.

Ludwik Rodenberg orientował się doskonale, że i tym razem nie obejdzie się na pewno bez „dźwięczącej" namowy. Taka sprawa musi kosztować znaczną sumę. Był na to przygotowany. Dlatego też postanowił wziąć w drogę swoją książeczkę czekową.

Rozważał wszystkie możliwości buntu robotniczego. Miał nadzieję, że do jutrzejszego wieczoru w Armadzie będzie zupełnie spokojnie. Obecnie ludzie zebrali się na ponowną naradę w kantynie, gdzie się upiją do nieprzytomności. Będą bardzo zmęczeni i pójdą do swoich chat, aby się przespać. Zanim z nich wywietrzeje wódka, on powróci z wojskiem. Do pracy nie przystąpi jutro żaden robotnik, to rzecz pewna. A zanim któremu z nich przyjdzie ochota, żeby wystąpić do czynnej walki — on będzie już z powrotem w Armadzie.

Tak wszystko pójdzie gładko, musi pójść gładko.

I Ludwik Rodenberg pełen otuchy powracał do domu.

Gdy samochód zatrzymał się na dziedzińcu, było już pół do siódmej. Ludwik Rodenberg wjechał od razu do garażu. Napełnił bak benzyną i wstawił do wozu zapasową blaszankę.

Następnie udał się do domu, gdzie Janek i Dolo z wielką niecierpliwością oczekiwali jego powrotu.

Dolo zerwała się i podbiegła ku niemu.

— Czy wszystko poszło dobrze, Luteczku?

Przytulił ją do siebie i ponad jej głową spojrzał z powagą na Janka, który zdawał się go pytać wzrokiem, jak się przedstawia sytuacja. Janek domyślił się od razu, że zatarg z robotnikami nie przybrał pomyślnego obrotu. Pan Ludwik zwrócił się do córki:

—Nie, Dolo, nie tak dobrze, jakbym tego pragnął. Ludzie zostali tak mocno podburzeni, że niewiele można było u nich wskórać.

—Czy przyjąłeś ich warunki?

—Nie! Były zupełnie niemożliwe do przyjęcie. Odrzuciłem je kategorycznie.

—A oni? Co powiedzieli na to?

—Przerwali pracę w kopalni. Strajkują!

—Ach, mój Boże! Luteczku, pozwól mi pomówić z nimi! Znają mnie przecież wszyscy i zawsze mnie lubili. Posłuchają mnie na pewno.

Pogłaskał jej złociste włosy.

—Nie, kochanie, nie łudź się. To nie miałoby sensu. Naraziłabyś się na wysłuchanie rozmaitych obelg. Nie zdajesz sobie sprawy, czym jest taki pijany, na pół przytomny tłum. Muszę przede wszystkim pozbyć się tych obydwu łotrów, którzy dostarczali im wódkę. Wtedy się uspokoją, jestem pewny.

—A co zamierzasz zrobić?

—Dzisiaj w nocy pojadę do Jaimeville i sprowadzę na pomoc wojsko. Nie widzę innej rady.

—Czy to konieczne?

—Tak, Dolo. Nie mogę przecież dopuścić do tego, żeby nam wszystko zdemolowali.

Źrenice Dolo rozszerzyły się z przerażenia.

—Czy sądzisz, że to możliwe?

—Zrozum, Dolo, że ci ludzie są na pół przytomni, sami nie wiedzą, co się z nimi dzieje. A przy tym od dłuższego czasu nie byli ani przez chwilę trzeźwi. W takich razach wszystko jest możliwe. Stracili rozum, to obecnie jacyś inni ludzie, nie ci spokojni i łagodni robotnicy, których znałaś. Mówię ci o tym, bo pragnę, abyś wiedziała dokładnie, jak się przedstawia sytuacja w Armadzie.

—O Boże!

—Dotychczas ukrywałem to wszystko przed tobą, bo nie chciałem cię niepokoić. Miałem nadzieję, że uda mi się jakoś załatwić pojednawczo te sprawy. Dziś po południu przekonałem się, że jest inaczej. Nie obejdzie się bez pomocy siły zbrojnej. Nie ma zatem sensu, żebym ci dłużej zamydlał oczy. Wolę, żebyś wiedziała całą prawdę. Pojmujesz chyba sama, że sytuacja jest bardzo poważna i nie popełnisz żadnego nierozsądnego kroku.

—Nie, nie! Przyrzekam ci, Luteczku!

—Bunt powinien być stłumiony w zarodku. Przy pomocy wojska usuniemy tych dwóch łotrów z kopalni. Zostaną aresztowani i wywiezieni z Armady. Wtedy na pewno nastąpi spokój i ład.

—Ale... Czy robotnikom nic się nie stanie, Luteczku?

—Właśnie dlatego, że pragnę uniknąć katastrofy, sprowadzam wojsko. Gdybym dopuścił do poważniejszych ekscesów, zdemolowaliby wszystko i puściliby z dymem. Wtedy musiałbym ich wszystkich oddalić, pozostaliby bez pracy i na domiar wszystkiego osadzono by ich w więzieniu. A po wyjściu z węzienia nikt nie przyjąłby ich do pracy. Co by się wtedy stało z ich rodzinami? Większość przecież ma żony i dzieci. Przede wszystkim mam na względzie ich dobro. Z tej przyczyny postanowiłem działać prędko i energicznie. Czy rozumiesz mnie, Dolo?

—Tak, Luteczku!

—Postaram się ich oszczędzać, znasz mnie przecież, Dolo. Nie chcę im wyrządzać krzywdy. Pojadę dziś w nocy, potajemnie, nikt nie powinien o tym wiedzieć. Gdyby nie to, że muszę ukrywać moje zamiary, byłbym cię zabrał ze sobą. Myślałem w ogóle o tym, żeby cię odwieźć do Jaimeville i umieścić u rodziców twojej przyjaciółki Angeli. Mogłabyś pozostać u państwa Frasquita, dopóki się tutaj wszystko nie uspokoi.

Dolo energicznie potrząsnęła główką.

—W żadnym razie, Luteczku. Zostanę z wami!

—Domyślałem się, że odpowiesz w ten sposób, znam cię przecież dobrze, Dolo. A więc pozostaniesz sobie spokojnie w domu, razem z Jankiem. Wieczorem o dziewiątej, gdy cała służba wyjdzie z domu, pozamykacie wszystkie drzwi i założycie okiennice. Prawdopodobnie jest to zbytnia ostrożność, ale lepiej się na wszelki wypadek zabezpieczyć. Nie przypuszczam jednak, żeby dzisiejszej nocy mogło dojść do ekscesów. Ludzie zebrali się na naradę w kantynie i piją dalej wódkę. Zapewne nie ruszą się stamtąd tak prędko. Nie chcę jednak zaniedbać żadnych środków ostrożności. A teraz, Dolo, zawołaj Pedra. Musi dla mnie przygotować rozmaite rzeczy, ale tak, żeby reszta służby tego nie zauważyła.

Dolo wyszła z pokoju. Pan Ludwik z powagą spojrzał na Janka.

—Czy masz dosyć naboi do twego browninga?

—O tak, wuju Ludwiku!

—Dobrze mniej wszystko w pogotowiu. Dolo także ma swoją broń i naboje. Również i Pedro jest dostatecznie uzbrojony.

—Czy lękasz się napadu na dom? — spytał Janek.

—Trzeba być przygotowanym na wszystko. W najgorszym razie, to znaczy, gdyby robotnicy zjawili się tutaj, aby zmusić mnie do ustąpienia, będziecie się musieli bronić aż do mego powrotu. Nasi robotnicy nie posiadają broni palnej, tylko noże i swoje narzędzia. Będziecie mogli trzymać ich w szachu waszą bronią. Starajcie się o to, by nie zranić nikogo, wystarczy jeżeli oddacie kilka strzałów w powietrze; to ich na pewno wystraszy. Wszyscy Murzyni boją się jak ognia broni palnej, dlatego trzeba się w nią zaopatrzyć.

—Rozumiem, wuju!

—Pamiętaj jednak, żebyś tylko w ostateczności użył broni. Wspominam o tym, bo pragnę, żebyście na wszelki wypadek byli przygotowani. Cała służba wyjdzie o dziewiątej z domu, tak jak. zwykle. Nie znam ich zupełnie, zostali przyjęci niedawno i tylko na czas naszej obecności. Nie ufam im jakoś. Z wami pozostanie tylko mój stary Pedro, jego żona i córka. Z ich strony nie lękam się zdrady, są bardzo wierni i przywiązani do mnie i do Dolo. Póki ja nie powrócę, nie wypuścisz Dolo nawet za próg domu. Czy słyszysz, Janku?

—Ależ to rzecz jasna, drogi wuju!

—I nie wpuszczaj także nikogo do domu. Zresztą wiem, że mogę polegać na tobie, ty na pewno dopilnujesz Dolo.

—Możesz być spokojny, wuju, wypełnię ściśle wszystkie twoje zarządzenia. Czy jednak dobrze robisz, jadąc sam w nocy przez ten step? Czy nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo? A jeżeli tamci zauważą, że jedziesz do miasta, aby sprowadzić wojsko? Czy nie postarają się zatrzymać cię po drodze?

—Nie bój się, przewidziałem wszystko. Oni się nie dowiedzą, że pojechałem dziś w nocy. Nie wiem, czy w ogóle wpadnie im na myśl, że pojechałem postarać się o pomoc, ale nawet w tym wypadku będą przypuszczać, że pojadę jutro rano. Gdybym czekał do rana, nie pozwoliliby mi odjechać, lecz staraliby się wszelkimi sposobami temu zapobiec. Właśnie dlatego wyruszam już dziś wieczorem. Do pokoju powróciła Dolo w towarzystwie Pedra.

—Pedro, zapakuj mi trochę żywności na drogę. Muszę pojechać do Jaimeville. Nikt jednak nie powinien o tym wiedzieć — oznajmił pan Ludwik.

—Tak, rozumiem panie! — odparł spokojnie Pedro. Ludwik Rodenberg dał mu dokładną instrukcję, jak się powinien

zachowywać w ciągu jego nieobecności.

—Gdybyś zwrócił uwagę na coś podejrzanego, to zawiadomisz natychmiast pana inżyniera Dornau'a. Możesz się z nim przecież porozumieć w języku angielskim.

—Panie, możesz spokojnie jechać. Uczynię wszystko jak każesz.

—Gdy dziś wieczorem podasz posiłek, a służba zauważy moją nieobecność, to powiesz, że się źle czułem i położyłem do łóżka.

—Dorze, panie.

—A teraz przynieś mi jedzenie na drogę. Możesz mi przygotować większe zapasy, żeby starczyły aż do miasta.

—Rozumiem, panie.

Pedro wyszedł, wkrótce powrócił niosąc paczkę z prowiantem. Ludwik Rodenberg tymczasem przebrał się i przygotował do drogi.

—Tak, Pedro, za chwilę wyruszam. Postaraj się, aby cała służba zebrała się na kwadrans w izbie czeladnej. Zatrzymaj ich tam. Chodzi mi o to, aby nikt nie zobaczył, że wchodzę do garażu i odjeżdżam.

—Dobrze, panie. Za pięć minut zbiorą się wszyscy w izbie czeladnej. Pomówię z nimi o jakiejś sprawie służbowej, tak że przez piętnaście minut będą zajęci.

—Doskonale, Pedro, wywiążesz się na pewno dobrze z twego zadania. Na ciebie można się zawsze zdać, mój stary.

Pedro oddalił się, a w chwilę potem rozległ się dźwięk dzwonu, zwołującego służbę do izby czeladnej. Słyszało się głosy, kroki. Później wszystko przycichło. Widocznie wszyscy służący zebrali się na miejscu.

Pan Ludwik pożegnał się pospiesznie z Jankiem i z Dolo, wziął ze stołu paczkę z prowiantem i po cichu wyszedł.

Bezszelestnie ześlizgnął się z balustrady werandy. Pobiegł do garażu, otworzył drzwi. W kilka minut później Dolo i Janek usłyszeli samochód, pędzący w kierunku stepów.

Ludwik zachowywał się bardzo cicho. Na razie nie włączył reflektorów samochodowych w obawie, by nie zdradziło go światło. Postanowił je zapalić dopiero wtedy, gdy oddali się już od domu. Po wyprowadzeniu auta z garażu, zamknął drzwi na klucz. Chciał, aby się służbie zdawało, że samochód stoi w garażu.

Gdy Ludwik wyjechał już z obrębu pola widzenia domu, zapalił prędko reflektory. W szalonym tempie popędził przez step. Chciał koniecznie wczesnym rankiem przybyć do Jaimeville.

Janek i Dolo długo spoglądali w ślad za nim. Później samochód znikł im z oczu. Janek zaraz potem pozamykał wszystkie drzwi na klucz i pozasuwał okiennice. Tylko drzwi, którymi miała wyjść służba, pozostały na razie otwarte.

Po wyjściu służby Pedro stosownie do wskazówek swego pana pozamykał również drzwi i okiennice zamieszkiwanej przez niego suteryny. Sprawdził, czy jego rewolwer dobrze działa, nabił go, przygotował sobie zapasowe naboje, po czym udał się na górę.

Tymczasem podano kolację. Dolo powiedziała spokojnie do jednego ze służących:

— Sprzątnij trzecie nakrycie, pan nie będzie jadł z nami kolacji. Czuje się niedobrze i udał się już na spoczynek. Powiedz, żeby ludzie zachowywali się cicho i nie przeszkadzali panu.

Podczas gdy Dolo mówiła te słowa, Janek badawczo spoglądał na służącego. Spostrzegł, że w jego ciemnych oczach zadrgał przelotny błysk radości. Ponieważ rozmowa była prowadzona w języku portugalskim, więc nie zrozumiał jej treści.

Zapytał teraz Dolo, o czym mówiła. Powtórzyła mu treść swego polecenia, a wtedy Janek podzielił się z nią swoim spostrzeżeniem. Służący przypuszczał na pewno, że pan zachorował z obawy przed rewoltą. Nie ulegało wątpliwości, że poinformuje o tym swoich kolegów.

Janek i Dolo na pozór spokojnie jedli kolację. Nie bardzo im jednak smakowało, ponieważ oboje byli zdenerwowani. Doznali takiego wrażenia, jakby w powietrzu wisiała burza.

Po kolacji Dolo rozkazała służącym, żeby sprzątnęli ze stołu:

—Później możecie powrócić do siebie, nie będziemy was już dziś potrzebowali.

Służba się wkrótce oddaliła. Janek i Dolo nadsłuchiwali, dopóki nie wyszedł ostatni służący. Wreszcie kroki zamilkły, w całym domu zapanowała głucha cisza. Działała ona dziwnie przytłaczająco, zwłaszcza na Janka. Dolo starała się ukryć swoje zdenerwowanie. Tłumaczyła sobie, że pod opieką Janka i Pedra nic nie może jej grozić, lecz mimo to dręczyły ją jakieś niejasne obawy. Nie chciała jednak okazać przed Jankiem, że się czegoś lęka.

Po wyjściu służby Pedro zamknął również drzwi w oficynie. Obszedł cały dom, zaglądał do wszystkich zakamarków, sprawdzając czy nikt nie pozostał. Spostrzegł, że Janek zabezpieczył już starannie drzwi i okna.

Pedro, uspokojony, powrócił do siebie, aby spędzić jeszcze godzinę ze swoją rodziną. Dolo powiedziała mu, że nie potrzebuje dziś pomocy Joni i Boni, ponieważ położy się bardzo późno. Pedro ukłonił się w milczeniu, po czym odszedł do swego mieszkania.

Janek i Dolo usiedli w saloniku. Oboje byli poważni i zatroskani. Rozmawiali o sytuacji w Armadzie.

—Czy boisz się bardzo, Dolo? — zapytał Janek, spoglądając z troską na młodą dziewczynę. Wydawało mu się, że dostrzega niepokój na jej twarzy. W ogóle Dolo wydawała mu si ę dziś jakaś inna, zmieniona, bardziej poważna, dojrzalsza, niż zazwyczaj.

—Lękam się trochę o Luteczka — odparła Dolo.

—Przecież wujowi nic nie grozi.

—W zasadzie nie, bo nikt przecież nie zauważył jego odjazdu. Ale widziałeś przecież sam, jaka to jest zła droga. A on będzie musiał całą noc jechać przez step i to w bardzo szybkim tempie. Ach, żeby mu się tylko nic nie przytrafiło!

—Nie potrzebujesz się o niego lękać. Wuj przecież zna doskonale tę drogę, poza tym świetnie prowadzi samochód. Zdaje mi się, że byłby cię bardzo chętnie odwiózł do Jaimeville, żeby ci zapewnić całkowite bezpieczeństwo.

Dolo gwałtownie potrząsnęła głową.

—Ja bym nie pojechała. Czy sądzisz, że mogłabym się stąd oddalić, wiedząc, że wam grozi niebezpieczeństwo?

—O niebezpieczeństwie nie może być mowy. Chcieliśmy ci tylko oszczędzić niepokoju. Urzędnicy i dyrektor wysłali swoje panie do Jaimeville.

— A ja za nic w świecie nie ruszyłabym się z Armady. Janek spojrzał z podziwem na jej piękną twarzyczkę, ożywioną

w tej chwili zapałem i stanowczością. Tak, wuj miał słuszność. Dolo to mały zuch!

—Rozumiem doskonale, że nie chciałabyś zamieszkać u państwa Frasquita. Nie czułabyś się dobrze w ich domu. Kto wie jednak, czy nie powinnaś była udać się na farmę pana Hermadosa. Mówiłaś mi kiedyś, że twoja przyjaciółka Inez nie mieszkała tak daleko od Armady jak Angela. Gdzie się znajduje ta farma? Czy w tej samej odległości co Jaimeville?

—O nie! Nie ma nawet połowy tej odległości. Nie staraj się mnie jednak namówić do wyjazdu, nie ruszę się stąd. Nie obawiaj się o mnie, moi ludzie na pewno nie zrobią mi nic złego?

Janek przestał namawiać ją do wyjazdu. Zapanowała chwila milczenia. Janek przypomniał sobie, co mu Dolores opowiadała kiedyś o swoich spotkaniach z Inez. Wspominała, że nieraz umawiały się w górach. Wyjeżdżały wtedy o jednej porze z domu i spotykały się w górach po upływie trzech godzin. Pragnąc, aby rozmowa przeszła na inne tory, zapytał wreszcie:

—Przypominam sobie właśnie, co mi opowiadałaś o twoich spotkaniach z Inez Hermados. O ile się nie mylę, to spotykałyście się w górach, na połowie drogi z Armady. Nieprawdaż?

—Tak, spotykałyśmy się niekiedy w ten sposób. Najczęściej jednak jeździłam do państwa Hermados samochodem, albo też Inez przyjeżdżała do mnie.

—A w jakim kierunku jedzie się do państwa Hermados?

—Na północ przez stepy. A przez góry prowadzi droga wprost na północny-wschód.

—Czy w górach jest jakaś droga, po której można jeździć konno?

—Właściwie tylko wąska ścieżka, ale ta droga jest znacznie krótsza. Naturalnie, że nie może być mowy, aby odbyć ją samochodem.

—A czy dawniej często jeździłaś w góry sama?

—Nie, przeważnie jeździłam z Luteczkiem, a dawniej także z moją matką. Luteczek kazał nawet specjalnie wybudować w górach schronisko, gdzie zatrzymywaliśmy się na krótki postój.

—Schronisko? A gdzież ono jest?

—Jedzie się jakieś dwie godziny pod górę. Właściwie to tylko mała chatka, ale bardzo wygodna. Gdy wybierałam się w góry konno albo pieszo, zawsze się tam zatrzymywałam. Chatka została bardzo wygodnie urządzona, nie brak tam niczego. Znajduje się w niej palenisko, szafka z naczyniami i gospodarskim sprzętem,

a nawet zapas puszek z konserwami. Zdaje mi się, że do dziś dnia pozostał tam spory zapas konserw. Nie byłam tam już od dawna.

—Kiedy byłaś ostatnim razem w tej chacie?

—Nie pamiętam. Zdaje się, że przed naszym wyjazdem do Niemiec. W jakiejś wolnej chwili muszę tam pójść z tobą i pokazać ci naszą chatkę w górach. Stoi na małej polance leśnej, w pobliżu źródełka, które ma doskonałą wodę do picia. Jestem ciekawa czy chata pozostała w tak dobrym stanie, jak dawniej.

—Czy nikt, oprócz was, nie mógł się dostać do tej chaty?

—Nie! Zamykaliśmy ją zawsze na klucz. Klucz leży ukryty pod dachem, na belce, nie łatwo go tam znaleźć. A po za tym w tamtej okolicy rzadko kiedy pojawia się człowiek. Bardzo tam samotnie i cicho.

—A czy dzikie zwierzęta nie mogą się zakraść do chaty?

—Co znowu? Jakim sposobem?

—Więc powiadasz, że do tej chaty można się dostać w ciągu dwóch godzin?

—To zależy skąd wyruszasz. Jeżeli iść wprost od nas to droga trwa naturalnie o wiele dłużej. Wspinanie się pod górę do tego punktu trwa dwie godziny.

—A jak stąd dotrzeć do owej drogi w górach?

—Zaraz za kopalnią zaczyna się ścieżka. Prowadzi prosto do naszej chaty. Wycieczka jest właściwie trochę uciążliwa, bo trzeba się wciąż wspinać pod górę. Po upływie dwóch godzin, można jednak już odpocząć w chacie.

—Aha, teraz już wiem! Zaczyna się w tym miejscu, gdzie nagie skały Armady przechodzą w góry, porośnięte lasem. Prawda?

—Słusznie! Wychodząc z kopalni, trzeba się wciąż trzymać kierunku na północny-wschód. Nie masz pojęcia, jaka to piękna droga. Musimy kiedyś odbyć tę wycieczkę. Szkoda tylko, że nie mamy koni.

—Przecież ty masz wierzchowca, Dolo?

—Tak, zostawiłam go u pana Hermadosa i mogłabym go sprowadzić do Armady, ale nie chcę. Ani Luteczek, ani ty nie macie tutaj koni. Na tak krótki pobyt nie opłaca się kupować dla was wierzchowców. Ja mam zamiar sprzedać mojego, może pan Herniados zechce go nabyć. Prawdopodobnie nigdy nie będę na nim jeździć...

Spojrzał na nią badawczo.

—Czy chcesz powiedzieć, że nigdy już nie powrócisz do Armady?

—Może powrócę, ale na krótko. Przyjechałabym tutaj znowu, gdyby zaszła potrzeba, ale nie chciałabym zamieszkać na stałe w Brazylii.

— Pomimo uroku, jaki wywierają na ciebie stepy? Dolo w zamyśleniu przesunęła ręką po czole.

—Tak, bez względu na to. Nie czuję już jakoś przywiązania do tej ziemi, stała się dla mnie obcym gruntem. Nie wiem sama, czy powinnam się tym martwić, czy też cieszyć...

Janek obrzucił ją płonącym spojrzeniem.

—A ja... a ja się z tego bardzo cieszę, Dolo. Rad jestem, że pragniesz pozostać z nami i to na zawsze.

Przestraszyło ją trochę to spojrzenie i dźwięk jego słów. Pragnąc zmienić temat, odezwała się po chwili:

—Może zagramy partię domina, Janku? Czy nie jesteś jeszcze zmęczony?

—Nie, wcale. Nie mam zamiaru położyć się tak wcześnie. Możemy zagrać.

Dolo przyniosła z przyległego pokoju pudełko z grą. Zaczęli grać. Po skończeniu pierwszej partii rozmawiali znowu przez chwilę. Ponieważ żadne z nich nie było senne, więc rozpoczęli następną partię.

Ani Dolo ani Janek nie mieli jakoś chęci udać się na spoczynek. Atmosfera była pełna dziwnego niepokoju, który spędzał im sen z powiek. Najchętniej czuwaliby przez całą noc.

Janek był wciąż ogromnie zaniepokojony. Był świadomy tego, że wuj Ludwik powierzył Dolo jego pieczy i że to on właśnie powinien ją strzec przed każdem niebezpieczeństwem. Ciążyło na nim uczucie odpowiedzialności, dlatego też był trochę zdenerwowany. Czuł, że znajduje się w zupełnie obcym kraju, gdzie nie zna ani języka, ani miejscowych stosunków. Myślał o tym, że jednak istnieje możliwość, iż pijani górnicy urządzą napaść na dom. W każdym razie należało być na to przygotowanym.

Nie chciał mimo to niepokoić Dolo i dlatego tylko od czasu do czasu ukradkiem nadsłuchiwał. Gdyby nie obawa o Dolo, byłby chętnie obszedł dookoła cały dom. To jednak mogłoby w niej wzbudzić pewne podejrzenia. Siedział więc naprzeciw niej przy stole, nie odrywając zachwyconych oczu od jej słodkiej twarzyczki. Czuł, że nie zniesie dłużej tej niepewności. Jeszcze podczas tej podróży musi się rozstrzygnąć jego los. Bo przecież jego przyszłość zależy od tego, czy Dolo zechce zostać jego żoną.

TLR

* **

Tymczasem robotnicy z kopalni zebrali się w wielkiej kantynie. Sam i Norris powtórzyli swoim czarnym towarzyszom słowa pana Rodenberga, dodając na koniec:

—Przecież państwo nigdy nie robili nam krzywdy. Mała pani pielęgnowała moją chorą żonę, a i pan nie odmówił pomocy.

—A mojej córeczce mała pani podarowała wózek i sama woziła ją na spacer, bo dziecko nie mogło chodzić. A pan wyświadczył nam także wiele dobrego — dorzucił Norris.

Wtedy inni robotnicy także zaczęli sobie przypominać, że doznali wiele dobrego od pana Ludwika Rodenberga i Dolores. Większość jednak nie chciała słyszeć o tym. Gdy później nadeszli obydwaj agitatorzy, gdy zaczęli na nowo podburzać ludzi i łudzić ich rozmaitymi obietnicami, robotnicy zupełnie zapomnieli o tym, co mówili Sam i Norris. Na nic nie zdało się, że zarówno obydwaj Murzyni jak też Lorenzo i Durano starali się swoim kolegom przemówić do rozsądku.

Ludzie pili, odurzali się wódką i złudnymi nadziejami przyszłości. Wszyscy byli przeświadczeni, że już wkrótce zaczną prowadzić życie bezczynne, opływające w zbytki. Słuchali przemówień burzycieli, upijali się nimi. W podnieconych i pijanych ludziach zaczęły się budzić dzikie instynkty.

Sam, cichy i zamyślony, siedział wraz z innymi, lecz nie pił tak wiele jak oni. Myślał o maleńkiej pani i swojej żonie, która tak często prosiła go, aby się opamiętał i przestał pić. Sam zastanawiał się nad tym wszystkim i nie mógł się jakoś dostosować do ogólnego, wzburzonego nastroju. Norris również zdawał się nie zgadzać z tym wszystkim, co mówili agitatorzy. Miał rozmaite zastrzeżenia. Przecież dawniej żyło się w Armadzie spokojnie, wszyscy byli zadowoleni, bardziej zadowoleni niż obecnie. A teraz zjawiło się nagle dwóch obcych ludzi, którzy obiecują złote góry. Norris przestał jakoś wierzyć tym obietnicom.

Jednakże ani Sam, ani Noris nie mieli odwagi się odezwać, obawiali się swoich towarzyszy. Tamci są przecież w tej chwili, jak obłąkani, gadać nie można z nimi, a tym bardziej udzielać im dobrych rad. Nie chcą słuchać! Gotowi jeszcze rzucić się na nich i pobić ich dotkliwie.

W tej chwili w tłumie powstało poruszenie. To szofer Tommy, również będący na zebraniu w kantynie, wystąpił na środek sali i poprosił o głos.

— Pan na pewno pojedzie jutro do Jaimeville i sprowadzi wojsko na pomoc. Musimy temu zapobiec! — zawołał z mściwym błyskiem w oczach.

Zapanowała chwila milczenia. Wszyscy poczęli nadsłuchiwać, nawet obydwaj agitatorzy. Słowa szofera wywarły wielkie wrażenie. Tak, Tommy miał słuszność! Pan sprowadzi wojsko,. a wówczas marne będą widoki. Ale jak temu zaradzić? Jak zapobiec wyjazdowi pana?

Przywódcy spojrzeli po sobie, wreszcie jeden z nich zapytał:

—Jakby tu można temu przeszkodzić? Tommy uśmiechnął się ze złośliwym triumfem.

—Zakradnę się po cichu do garażu, mam klucz zapasowy...

—No i co?

— ...i poprzecinam wszystkie opony — dokończył Tommy — nie będzie mógł pojechać.

Tłum zawył z zadowolenia. Wszyscy byli zachwyceni pomysłem szofera.

— Brawo, Tommy, to znakomita myśl! Musisz to zrobić! Mądry z ciebie chłop, Tommy! — zawołał jeden z agitatorów i poklepał szofera po ramieniu.

Tommy był bardzo dumny z siebie i z tej pochwały. Przeciągnął się z zadowoleniem, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Jego próżność została mile połechtana tym ogólnym uznaniem. Czuł się w tej chwili bardzo ważną osobą; wszyscy spoglądali na niego z szacunkiem i podziwem.

Mam jeszcze jeden pomysł — oświadczył.

—Jaki? Jaki?

—Chciałem wam coś zaproponować...

—Mów, Tommy!

—Musimy porwać małą panią i uprowadzić ją z domu. Tak, musimy ją dostać w nasze ręce jako zakładniczkę. Wtedy będziemy górą! Będą musieli przyjąć nasze warunki. Zagrozimy im, że ją zabijemy, a wtedy na pewno zgodzą się na wszystko — mówił z zapałem Tommy.

Sam, usłyszawszy te słowa, drgnął lekko i odsunął od siebie kieliszek z wódką. Ale ten Tommy to łotr! On, Sam, nie pozwoli skrzywdzić małej pani, która zawsze była tak dobra dla niego i dla jego rodziny. Żona nie darowałaby mu nigdy, gdyby okazał się tak złym i niewdzięcznym.

Na razie jednak nie odezwał się ani jednym słowem. Nie chciał zdradzić swojego oburzenia. Z wielką uwagą zaczął się przysłuchiwać dalszej rozmowie, czekając co jeszcze nastąpi.

Obydwaj agitatorzy przyjęli z wielkim entuzjazmem pomysł szofera.

—Brawo, Tommy, doskonała myśl — powiedział jeden z nich.

—Tak, gdy będziemy mieli w naszej mocy małą panią, wówczas tamci od razu zmiękną — dodał drugi.

—Aha! Tylko jak dotrzeć do małej pani i jakim sposobem można ją będzie uprowadzić z domu? Poradź nam, Tommy, kiedyś taki mądry. No, wymyśl coś! Czekamy!

Zarozumiały Tommy uśmiechnął się triumfująco. Naturalnie, że ma już cały plan porwania. On zawsze potrafi sobie dać radę. Oho! Tommy to niegłupi chłopiec, skoro nawet przywódcy poznali się na nim. Wyciągnął przed siebie obie ręce, przechylił się w tył, rozprostował sztywne ciało, po czym oznajmił:

—Ja przecież doskonale znam rozkład całego domu państwa. Joni, córka Pedra, to moja narzeczona. Na umówiony znak wpuści mnie tam w każdej chwili, nawet nocą. Dostanę się więc do wnętrza...

—No a potem?

—Potem prędko zaknebluję jej usta i zwiążę ją. Nie będzie mnie mogła zdradzić swoim krzykiem. Wówczas wpuszczę tylu naszych ludzi, ilu będzie trzeba. Oni porwą małą panią i wyniosą ją z domu...

—Ja wiem przecież, gdzie jest sypialnia małej pani. Zakradnie-my się tam, zwiążemy ją i zakneblujemy jej usta. Przeniesiemy ją natychmiast do jakiejś bezpiecznej kryjówki, skąd nie będzie się mogła wymknąć. Nikt jej tam nie znajdzie. A wówczas będziemy mieli wygraną sprawę.

—Brawo, Tommy! Brawo!

Agitator uściskał szofera, cały tłum począł klaskać w ręce i wrzeszczeć z uciechy. Postawili szofera na stole, podnieśli w górę kieliszki, przepijając do niego. Ha, ten Tommy to naprawdę morowy chłop! Doskonale obmyślił sobie to wszystko! Tak, teraz oni będą górą! Mają wygraną sprawę. Gdy mała pani znajdzie się w ich mocy, wtedy pan na pewno ustąpi. Zgodzi się na wszystko! Oni przecież nie wydadzą zakładniczki, dopóki ich wszelkie żądania nie zostaną uwzględnione.

Sam chciał zaprotestować. Nie, małej pani nie powinno się skrzywdzić, on nie pozwoli na to! Nie miał jednak z kim mówić. Wszędzie naokoło siebie widział wzburzonych ludzi, twarze czerwone i na pół przytomne z podniecenia. Towa-

rzysze nie pozwolili mu dojść do słowa, wrzeszczeli, przekrzykiwali go. Wreszcie Sam zamilkł. Dopiero, gdy minęło pierwsze wzburzenie, odezwał się głośno:

—Opamiętajcie się, taka sprawa może was drogo kosztować! Lepiej nie ruszać małej pani. Pomyślcie o tym, co was czeka!

Pragnął w ten sposób odwrócić przeznaczenie od swojej maleńkiej pani, która wyświadczyła tyle dobrodziejstw jego rodzinie.

Przywódcy nie chcieli jednak wypuścić z rąk tak poważnego atutu.

—Głupstwa gadasz, Sam! Przecież nie zrobimy jej nic złego. Włos nie spadnie jej z głowy. Umieścimy ją tylko w bezpiecznej kryjówce. Cóż jej się tam stanie?

—Ale nam może grozić za to kara.

—Nic nam nie może grozić. Chodzi przecież tylko o to, żeby nastraszyć pana. Będzie się bał, że spotka ją coś złego, a wtedy zmięknie i zgodzi się na nasze warunki.

Zebrany tłum znowu ryknął z zadowolenia. Wszyscy chwalili mądrego szofera, wszyscy krzyczeli i klaskali w ręce. Powstał tumult nie do opisania. Tommy stał się bohaterem wieczoru. Promieniał dumą. Cieszył się, że wszyscy go podziwiają i nazywają „morowym chłopem". Bo i prawda! Ma przecież naprawdę rozum w głowie, skoro wpadł na tak dobry pomysł.

I Tommy uśmiechnął się, odsłaniając swoje białe zęby. Teraz wybiła dla niego godzina odwetu. Mógł się zemścić na tym „psie", który zepchnął go z miejsca przy kierownicy i dał mu natychmiastową odprawę dlatego, że nie chciał przed nim skakać na dwóch łapkach.

Zaczął teraz buntować robotników jeszcze bardziej niż agitatorzy. Pijani i nieprzytomni ludzie, którym wciąż gorliwie dolewano wódki, upajali się tą myślą, że biała pani wpadnie w ich ręce. Tak, będą mogli nastraszyć pana, nie wydadzą mu zakładniczki, dopóki im nie ustąpi.

Im większy szał ogarniał tłuszczę, tym bardziej milczący i zamyślony stawał się Sam. On nie pił już od dawna. Poczciwy i w gruncie rzeczy dobroduszny Murzyn opamiętał się teraz. Cała sprawa przedstawiała mu się w zgoła innym świe-

tle. A przy tym żal mu było maleńkiej pani, która miała zostać tak upokorzona, która na pewno będzie się bała pijanego tłumu. Czy powinien właściwie dopuścić do tego. Co powie jego żona? Czy nie jest złym człowiekiem, którego spotka za to kara boska? Tak, ale co uczynić? Jak temu zapobiec?

Sam był bardzo strapiony i zakłopotany.

Siedział bez ruchu, pochyliwszy naprzód swój potężny tors i słuchał uważnie, co postanawiają jego towarzysze. Omawiali i szczegółowo cały plan. Wszystko zostało dokładnie przemyślane, o ile pozwalały na to umysły zamroczone alkoholem. Trzeźwi, zupełnie trzeźwi byli tylko dwaj przywódcy. Przemawiali znowu z wielkim patosem a pomagał im w tym Tommy.

Pozwolono mu zabierać głos, ponieważ to on uknuł taki znakomity plan.

Później przez losowanie wybrano ludzi, którzy mieli przystąpić do wykonania tego planu. Naturalnie, że obydwaj przywódcy i Tommy musieli brać w tym udział. Oprócz nich wybrano jednak jeszcze ośmiu ludzi, czterech białych i czterech Murzynów. Wśród Murzynów, na których padł los, znajdował się również Sam.

Sam chciał z początku zaprotestować, chciał odmówić swego udziału. Później jednak postanowił milczeć. Nie z obawy, że towarzysze go pobiją, ale dlatego iż przyszło mu nagle na myśl, że w ten sposób będzie mógł dopomóc małej pani. Ci pijacy na pewno zachowają się brutalnie, ale on nie dopuści do tego. Nie pozwoli wyrządzić krzywdy swojej małej pani, uczyni dla niej wszystko, co będzie w jego mocy.

Po dziesiątej robotnicy, na których padł los, wyruszyli w stronę domu. Na ich czele byli dwaj przywódcy oraz Tommy. Na dworze panowały ciemności, co sprzyjało ich zamiarom. Mogli się niepostrzeżenie zakraść na dziedziniec.

Dom tonął w mrokach. Nie widzieli, że w saloniku pali się jeszcze światło, ponieważ okiennice były szczelnie zamknięte. Przypuszczali, że wszyscy mieszkańcy domu udali się już na spoczynek. Dom wyglądał, jakby w nim wszystko zamarło. Mimo to spiskowcy dla ostrożności odbyli ostatni odcinek drogi pełzając na czworakach.

Wreszcie dotarli do garażu. Przywódcy powiedzieli szoferowi, aby otworzył drzwi i zniszczył opony. Tommy z ochotą przystąpił do wykonania tego polecenia.

Wyjął z kieszeni zapasowy klucz i otworzył wrota garażu. Jego towarzysze wślizgnęli się za nim po cichu do wnętrza. Tommy przekradał się po omacku na miejsce, gdzie zazwyczaj stał wóz. Wśród ciemności zaczął szukać opon, lecz natrafił na próżnię. Samochodu nie było. Tommy zaklął przez zaciśnięte zęby.

—Co się stało?

—Nie ma samochodu.

— To niemożliwe! Upiłeś się, Tommy.

Tommy z ponownym przekleństwem na ustach nacisnął guziczek swojej kieszonkowej latarki elektrycznej. Smuga światła oświetliła garaż. Teraz wszyscy mogli się naocznie przekonać, że nie było wozu.

Wszyscy zmieszali się ogromnie, nawet agitatorzy.

—Co się stało? — zapytał jeden z ludzi.

—Ha, ten pies wyruszył już dzisiaj samochodem i na pewno sprowadzi nam wojsko na kark — syknął Tommy.

Jego towarzysze, ogromnie zaskoczeni, spoglądali bezradnie po sobie. Co będzie teraz? Niejeden pomyślał o tym, że należałoby się z tej całej sprawy wycofać, póki czas. Sam postanowił skorzystać z tego zakłopotania. Teraz może nadarza się okazja, by uchronić maleńką panią.

—Uciekajmy, i to jak najprędzej — odezwał się po chwili.

—Dlaczego?.— spytał jeden z agitatorów.

—Przecież nikt nie powinien się dowiedzieć o naszych zamiarach. Inaczej może być bardzo źle, gdy pan powróci z wojskiem. Uciekajmy! — mówił szybko Sam.

Niektórzy z pomiędzy robotników zaczęli się już lękliwie zabierać do odejścia. Agitator jednak nie chciał dopuścić do wybuchu paniki, wiedząc, że w takim wypadku sprawa jego będzie przegrana.

— Stój! Nie ruszajcie się stąd, wy tchórze! — zawołał cicho — Czyście potracili rozum, czy co? Przecież teraz tym bardziej musimy zdobyć zakładniczkę, żeby wojsko nie strzelało do nas. Gdy będziemy mieli w naszych rękach małą panią, nikt nie odważy się podnieść na nas broni.

— I uzyskamy pewność, że nie spotka nas kara. A poza tym pan uwzględni na pewno nasze żądania, gdy się dowie, że trzymamy w niewoli jego córkę. Posłuchajcie, towarzysze! Teraz będzie nam bardzo łatwo porwać tę dziewczynę, bo przecież pan pojechał do Jeimeville. Służby nie ma w domu, a z Pedrem i tym młodym niemieckim inżynierem damy sobie radę, w razie gdyby zastąpili nam drogę. A więc naprzód, moi ludzie! Wykonamy to, cośmy postanowili. Przecież nie chcecie, aby wojsko zaczęło do was strzelać. Chodźcie, jeśli wam życie miłe! — dodał drugi przywódca.

Tommy wyprostował się dumnie.

— Tak, porwać panią, to przecież igraszka! No, dalej, kto nie jest tchórzem, ten pójdzie za mną! Naprzód!

Powoli przekradali się wśród ciemności aż pod sam dom. Teraz dopiero spostrzegli zamknięte okiennice. Tym lepiej, nikt ich nie zauważy. Tommy wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu, a Sam westchnął pełen rezygnacji. Trudno, jego podstęp nie udał się.

Tommy zakradł się teraz pod okna sypialni swojej ukochanej. Inni ustawili się w ciemności po obu stronach, starając się przycisnąć jak najbardziej do ścian. Teraz Tommy zapukał cichutko w umówiony sposób do okna Joni. Nie po raz pierwszy odwiedzał on w ten sposób swoją dziewczynę.

Po chwili ktoś ostrożnie, po cichutku otworzył okiennice. W otwartem oknie ukazała się Joni. Ponieważ wokoło było ciemno, więc nie dostrzegła towarzyszy Tommy'ego. Dopiero, gdy wzrok jej oswoił się z ciemnością, poznała pod oknem swego wybranego.

—Tommy, kochany Tommy! Czy to prawda, co się stało? Czy pan naprawdę wydalił cię ze służby?

—Tak, Joni, ten pies mnie odprawił!

—Och, nie mów tak źle o panu, on przecież jest taki dobry.

—Może, ale nie dla mnie. A teraz muszę stąd odejść i kto wie, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

Joni z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Ach, mój Tommy, mój drogi Tommy, ty mnie nie opuścisz. Poproszę pana, żeby ci przebaczył!

— Milcz!

Dalsze słowa na jej ustach stłumił pocałunkami. Mocno, mocno tulił do siebie Joni. I nagle, przyciskając ją wciąż do siebie wepchnął jej w usta przygotowany już knebel.

— Teraz posłuchaj dobrze, Joni — powiedział do przerażonej dziewczyny. — Zachowuj się spokojnie i nie broń się. To nic nie pomoże!

I powiedziawszy to, związał Joni ręce, posadził ją w fotelu, po czym spętał jej także nogi, chociaż próbowała się bronić.

— Zachowuj się spokojnie najdroższa, bo cię będzie bolało — szeptał — tak, a teraz posłuchaj. Nie stanie ci się żadna krzywda, musiałem cię związać, bo nie można było inaczej. Moi towarzysze muszą załatwić pewną sprawę w tym domu, a ty nie powinnaś być przy tym. Spokojnie, nie ruszaj się! A gdy cię tutaj znajdą jutro rano, to powiesz, że nie wiesz kto cię związał. Zrozumiałaś? Tak? Jakiś nieznajomy nałożył ci pęta i włożył knebel do ust. Bądź posłuszna, kochanie, a wszystko się dobrze skończy i twój Tommy ożeni się z tobą. A teraz cicho, ani mru-mru, Joni! Inaczej będę musiał wsunąć ci głębiej knebel do gardła, a to bardzo boli. Ja przecież nie chcę, żeby cię bolało. A moi towarzysze mogą ci zrobić coś złego, więc bądź cicho, czy rozumiesz?

Tak szeptał Tommy, wiążąc jej ręce i nogi.

Joni słuchała tego wszystkiego jakby w jakimś okropnym śnie. Czy to możliwe? Jej Tommy, jej ukochany Tommy związał ją i zakneblował jej usta. Razem z innymi zakradł się podstępem do domu i na pewno ma jakieś złe zamiary. Oczy wyszły jej na wierzch z przerażenia, gdy ujrzała jak ciemne postacie wchodzą przez okno do pokoju. Z ust jej dobył się głuchy jęk. Usłyszał to jej ojciec, który spał w sąsiednim pokoju. Głos córki zbudził go ze snu. Wyskoczył z łóżka i zapalił światło, aby się przekonać, co się stało córce.

Właśnie gdy otwierał drzwi, prowadzące do jej pokoju, został ze wszystkich stron otoczony. Rzuciło się na niego kilkunastu mężczyzn. Zanim Pedro zdążył zawołać na pomoc, został już związany. Jemu również zakneblowano usta.

Pedro chciał z początku krzyczeć, aby swoim krzykiem ostrzec Janka Dornau'a. Domyślił się od razu, że ta napaść była skierowana na pana i jego rodzinę. Nie zdołał się jednak obronić.

Podobny los spotkał biedną Boni. Podążyła ona za swoim mężem, ponieważ wiedziała, co się stało. Ułożono Pedra i jego żonę na podłodze, u stóp Joni. Oboje nie mogli się ruszyć ani krzyknąć. Ręce związano im na plecach.

Teraz mężczyźni, na czele z Tommy'm zaczęli się skradać na górę do mieszkania państwa. Tommy oświecał drogę swoją latarką kieszonkową. Wszyscy przemykali się bezszelestnie, ponieważ przed wejściem do izdebki Joni, zzuli obuwie.

Gdy przybyli już na górę, spostrzegli przez szparę w drzwiach i dziurkę od klucza wąskie smugi światła. Tommy dał swoim towarzyszom znak, żeby się zatrzymali. On sam zręcznie jak kot, podsunął się pod drzwi i zajrzał przez dziurkę od klucza do salonu. Spostrzegł, że mała pani siedzi przy stole, znużona i trochę senna. Naprzeciw niej siedział młody niemiecki inżynier i spoglądał na nią.

Tommy powrócił do swoich towarzyszy.

— Słuchajcie, tam siedzi mała pani i młody niemiecki inżynier. Jeszcze nie poszli spać. Będziemy mieli już tylko z nimi do czynienia, a to łatwa sprawa. Najpierw trzeba usunąć z drogi młodego inżyniera. Ja go już wywabię z pokoju. Wyjdzie i pewnie będzie uzbrojony. Musicie mu natychmiast wytrącić broń z rę-

ki i napaść na niego w taki sam sposób jak na Pedra. Zanim zdoła się połapać, co się dzieje, będzie już związany. Wtedy my pójdziemy do pokoju po zakładniczkę. Sam jest najsilniejszy, on weźmie panią na ręce i wyniesie ją z domu.

Wszyscy przyjęli ten projekt z wielkim uznaniem, zwłaszcza Sam. Był bardzo rad, że będzie mógł czuwać nad swoją małą panią. Pod jego opieką nie spotka jej nic złego. Naturalnie, że jego towarzysze nie powinni przeniknąć jego zamiarów.

Wszyscy ustawili się teraz obok drzwi.

Janek wciąż nadsłuchiwał. Nagle wydało mu się, że słyszy jakieś podejrzane szmery. Po chwili ktoś głośno zapukał do drzwi. Janek zerwał się jednym susem i podchwycił swój browning. Szybko otworzył drzwi.

Za drzwiami panowały ciemności. Tommy umyślnie zgasił swoją latarkę, aby Janek nie mógł strzelać do ludzi. W tej samej chwili, gdy Janek przestąpił próg, otrzymał mocne uderzenie w ramię. Ten cios obezwładnił go zupełnie. Natychmiast cała banda rzuciła się na niego. Wyrwano mu broń z ręki. Janek zdążył zaledwie oddać jeden strzał, lecz nie trafił nikogo.

— Dolo! — krzyknął w najwyższym przerażeniu.

Nie mógł jej jednak ostrzec. W oka mgnieniu zakneblowano mu usta. W następnej chwili został związany i całkowicie obezwładniony.

Dolo usłyszała głośny krzyk Janka. W ciągu sekundy minęła jej senność. Ocknęła się zupełnie i wiedziona instynktem pośpieszyła w kierunku drzwi, aby pomóc Jankowi. Ujrzała wtedy, że obskoczyło go kilku mężczyzn i że powalili go na podłogę. Ogarnęło ją przerażenie.

Zaledwie jednak postąpiła kilka kroków naprzód, gdy Tommy zastąpił jej drogę. W jednej chwili wsunął jej knebel do ust. Zanim mogła się zorientować w sytuacji, nałożono jej pęta na ręce i nogi. Tommy zawołał na Sama:

— Marsz, Sam! Wynieś ją stąd!

Dolo zobaczyła jeszcze, że Sam zbliża się do niej. Poczuła, że wziął ją na ręce. Potem straciła przytomność. Zemdlała.

Spiskowcy ze swoją zdobyczą spiesznie opuszczali dom. Wzuli jeszcze swoje obuwie, po czym uciekli. Nie zatroszczyli się ani o Janka ani też o Pedra i jego rodzinę.

Dom służby, oddalony o kilkanaście kroków, tonął w ciemnościach. Cała służba spała już od dawna. Nikt nic nie widział, ani nie słyszał.

Sam niósł na rękach białą, smukłą postać, niósł ją tak ostrożnie i troskliwie jak matka dziecko. Nie mówiąc na razie ani słowa, biegł wraz z towarzyszami w kierunku kopalni.

Wiedziony współczuciem, rozluźnił trochę knebel w ustach zakładniczki, aby mogła lepiej oddychać. Dolo powoli przychodziła do przytomności. Chciała krzyczeć, lecz z ust jej dobywał się tylko cichutki jęk. Sam, w pełnym biegu, pochylił się nad nią i szepnął:

— Cicho, cicho! Nie bój się, pani, Sam nie pozwoli ci wyrządzić krzywdy. Sam jest twoim przyjacielem. Usunę część knebla, ale nie wolno ci krzyczeć. Zachowuj się spokojnie, żeby tamci nie spostrzegli. Tak, a teraz ani słowa.

I Sam spełnił swoje przyrzeczenie.

Dolo zaczerpnęła tchu. Z wdzięcznością spojrzała na Sama. Nie straciła odwagi, była tylko zaskoczona nagłością wypadków. Lękała się niewymownie o Janka. Co się z nim stało? Widziała tylko, jak padał, jak rzuciło się na niego kilku mężczyzn. O Boże, co też oni zrobili z Jankiem? Dolo była zrozpaczona, drżała o jego życie. Serce jej przywoływało go namiętnie, rozpaczliwie. Dygotała myśląc o tym, co się dzieje z jej najdroższym Jankiem.

Zdawało się, że poczciwy Sam odgadł jej myśli. Pochylił się nad nią i, biegnąc wciąż przed siebie, oznajmił jej szeptem:

— Młodemu panu nic się nie stało, nie zrobili mu nic złego. Związali go tylko i zakneblowali mu usta, tak jak tobie, pani! Bądź zupełnie spokojna! I nie bój się, Sam nie pozwoli cię skrzywdzić. Sam poszedł z tamtymi, żeby tobie pomóc. I nie mów ani słowa Udawaj, żeś zemdlała. Sam będzie czuwał nad tobą, Sam pomoże swojej małej pani.

Inni biegli za nim i obok niego. Wysoka, bujna trawa stepu zagłuszała ich kroki. Spieszyli się i nie zwracali uwagi na Sama. Nie słyszeli także jego szeptu.

Dolo odetchnęła z ogromną ulgą. Słowa Sama przyniosły jej wyzwolenie. Chwała Bogu, Janek żyje, nie zrobili mu nic złego.

— Drogi, poczciwy Sam! — myślała dziewczyna. Z wdzięcznością przytuliła główkę do jego ramienia, nie mogąc mu w tej chwili wyrazić inaczej podziękowania.

Wszyscy z ogromnym pośpiechem biegli w kierunku kopalni.

Wreszcie przybyli na miejsce. Tutaj przeniesiono Dolo do chaty stróża, który w nocy pilnował kopalni. Chatka ta stała w pewnym oddaleniu, przylegając prawie do *sY?i.* Znajdowała się ona w pobliżu małej, bocznej furtki przez którą przechodzono bardzo rzadko. Furtka była zamknięta.

W stróżówce stała tylko prosta drewniana prycza, nakryta wełnianą derką. Tutaj dozorca po odejściu całego terenu kopalni spędzał noc i wypoczywał. Dziś nie było go w chacie. Wraz z innymi udał się na wiec do kantyny.

Sam jeszcze raz szepnął do Dolo:

— Pani, udawaj, żeś zemdlała! Nie ruszaj się! Nie potrzebujesz się bać, nie zrobią ci nic. Sam będzie teraz mówił źle o tobie, będzie się gniewał, ale ty się nie lękaj. Sam zrobi to umyślnie, żeby tamci się nie poznali... Sam nie pozwoli ukrzywdzić swojej małej pani.

Dolo usłuchała rady poczciwego Murzyna. Nieruchoma, blada, z zamkniętymi oczyma spoczywała w jego ramionach. Gdyby któryś z robotników spojrzał na nią, nie miałby wątpliwości, że zemdlała.

Sam ułożył Dolo na twardej pryczy i otulił ją troskliwie wełnianym kocem. Następnie wyprostował się i odezwał się do swoich towarzyszy:

— Zemdlała, trzeba jej wyjąć knebel z ust, bo się jeszcze gotowa udusić. Póki jest nieprzytomna, nie będzie chyba krzyczeć. A gdyby się ocuciła i zaczęła wołać, wtedy można będzie zakneblować jej znowu usta. Na razie lepiej wyjąć kne-

bel, a nuż jej się coś stanie. Musimy uważać na nią, strzec jej jak oka w głowie. Jeżeli przytrafi się jej coś złego, spotka nas wielka kara.

— Tak, to prawda! — przyświadczył Tommy.

Szofer i jeden z agitatorów pochylił się teraz nad leżącą dziewczyną. Dolo spoczywała na pryczy, blada i bezwładna. Oczy miała zamknięte.

Dziewczyna drżała z przerażenia i wstrętu. Lękała się, że któryś z tych dzikich, cuchnących alkoholem mężczyzn, dotknie jej. Serce jej przestało na chwilę bić. Nie ruszała się jednak, pomna wskazówek Sama.

Nikt jednak nie tknął Dolo. Agitator chciał tylko sprawdzić, czy naprawdę zemdlała. Jej wygląd przekonał go o tym. Skinął głową i powiedział do Sama:

— Tak, zemdlała. Wyjmij jej knebel z ust. Gdyby jednak zaczęła krzyczeć, to zaknebluj jej znowu usta. Gotowa inaczej zdradzić swoim krzykiem, gdzie się znajduje. Tutaj zresztą nie może pozostać, to nie jest dość pewna kryjówka.

— A dokąd się ją przeniesie? — spytał Sam.

— No, do jutra rana może pozostać w tej chacie, później znajdziemy dla niej jakieś inne schronienie. Zobaczymy, trzeba się będzie naradzić! Musimy gdzieś dobrze ukryć naszą zakładniczkę, inaczej nie uwzględnią naszych żądań. A poza tym pan powróci jutro z wojskiem. Musimy mieć przecież pewność, że nie spotka nas kara — powiedział agitator.

Sam pochylił się znowu nad Dolo. Ostrożnie usunął jej knebel, starając się nie sprawić bólu swojej małej pani. Szeptał przy tym znowu:

— Cicho! Ani słówka!

Następnie zwrócił się głośno do swoich towarzyszy:

— No tak, a teraz wyjdźmy stąd! Niech sobie poleży na pryczy do jutra rana! Niech i ona pozna, jak to przyjemnie spać na takich twardych drewnianych deskach. Pewno będzie tęskniła za swoim jedwabnym łóżeczkiem!

Sam wypowiedział te słowa tonem szorstkim, pełnym złości. Jego towarzysze wybuchnęli drwiącym, brutalnym śmiechem.

Wszyscy wyszli z chaty. Drzwi były wewnątrz i zewnątrz zaopatrzone w mocne zasuwy, lecz nie posiadały zamka. Sam zaryglował drzwi na zewnątrz, a szofer sprawdził jeszcze, czy zasuwy są mocne i czy nie można od wewnątrz otworzyć drzwi. Było to jednak niemożliwe.

—Ktoś powinien stać na straży! — zauważył Tommy.

—Nie potrzeba — rzekł agitator — Samie, ty możesz się przechadzać tam i z powrotem. Od czasu do czasu zajrzysz do chaty i sprawdzisz, czy zakładniczka nie krzyczy. Jeśli tak, to zaknebluj jej usta.

—Sam był zadowolony, że to jemu właśnie udzielono tego zlecenia.

—Już ja będę uważał, a gdyby zaczęła krzyczeć, to potrafię ją uspokoić — powiedział brutalnie.

—Ale pamiętaj Sam, nie może się jej nic stać. Musimy ją oddać całą i zdrową, inaczej nie wypełnią naszych warunków.

Sam uśmiechnął się.

—Wiem o tym, wiem! Dopilnuję naszej zakładniczki! Właśnie dlatego owinąłem ją kocem dozorcy, żeby się nie zaziębiła.

—W kocu jest dosyć pcheł, nie zabraknie jej towarzystwa — powiedział Tommy, śmiejąc się ze złośliwą radością.

Sam roześmiał się, jakby go ta uwaga bardzo rozbawiła. Rozumiał, że jeżeli chce pomóc Dolo, to nie powinien wobec innych okazywać jej współczucia.

Wszyscy odeszli do kantyny, aby opowiedzieć swoim towarzyszom, że zakładniczka znajduje się w ich mocy.

Tymczasem Dolo leżała na twardej pryczy, zadowolona, że przynajmniej wyjęto jej knebel z ust i że może swobodnie oddychać. Usłyszała, że nikt nie ma zamiaru robić jej krzywdy, że pragną ją tylko zatrzymać jako zakładniczkę. Lękała się tylko o Janka.

Wiedziała wprawdzie od Sama, że Jankowi nie wyrządzono żadnej krzywdy, lecz mimo to była bardzo niespokojna. Związali go, na podłodze... Biedny Janek!

Ach, jakże się będzie lękał o nią, gdy spostrzeże jej nieobecność, gdy się dowie, że ją porwali! Bronił się przecież jak lew, ale nie mógł sobie dać rady, gdy napadło go siedmiu czy ośmiu silnych mężczyzn. Uległ tej przewadze. A teraz leży pewno sam, ma zakneblowane usta i nie może nawet zawołać Pedra na pomoc.

Dolo nie wiedziała na szczęście, że Pedro wraz z żoną i córką leżeli związani w swoim mieszkaniu. Gdyby to przeczuwała, lękałaby się jeszcze bardziej o Janka. W duchu rozmawiała z nim i starała się go uspokoić:

— Janku, kochany Janku — myślała — nie lękaj się o mnie, oni przecież nie zrobią mi nic złego. Wprawdzie to bardzo nieprzyjemnie leżeć tutaj i mieć pęta na rękach i nogach, ale tobie jest na pewno gorzej. Ach, jak mnie bolą ręce od tych postronków! Ciebie na pewno także tak bolą, mój biedny Janku! A Luteczek? O Boże, jakże się przestraszy Luteczek, gdy powróci do domu i nie zastanie mnie tam! Jakże się będzie niepokoić, gdy się dowie o moim porwaniu!

Dolo otworzyła na chwilę oczy i zaczęła się rozglądać po chacie. Światło płonącej lampy łukowej, stojącej przed chatą, wpadło przez maleńkie okienko do wnętrza.

Dolo ujrzała, że w chacie znajduje się oprócz pryczy tylko stół i krzesło. W jednym kącie stał piec. Na tym piecyku dozorca gotował sobie w nocy kawę lub herbatę.

Było to bardzo smutne domostwo i serce Dolo ścisnęło się litością. Współczuła dozorcy, który musiał mieszkać w tej prymitywnej chacie. Ale to się musi zmienić. Niech się tylko wszystko uspokoi, a wtedy ona postara się zaprowadzić niejedną zmianę na lepsze.

Robotnicy dostaną takie ładne, czyściutkie domki, jak robotnicy z Rodenebergowskich Fabryk.

Dolo była bardzo zasmucona, że jej ludzie postąpili z nią w ten sposób. Doznała gorzkiego zawodu. Porwali ją jako zakładniczkę, powiedzieli, że będą ją trzymać, dopóki nie spełnią ich wszystkich żądań. A przecież Luteczek mówił, że te warunki są tego rodzaju, że wcale nie można się zgodzić na nie... Co się z nią stanie, jeżeli Luteczek nie ustąpi? Czy robotnicy ją zabiją?

Po ciele jej przebiegł dreszcz. Ogarnął ją szalony lęk. Sam? Czy naprawdę będzie jej mógł pomóc? Ach, gdyby nie była związana! Postarałaby się wtedy uciec! Ale tak? Nie może się przecież ruszyć.

Janku, najdroższy Janku, o gdybym była przy tobie! — myślała, pełna tęsknoty. Zebrała siły i spróbowała się podnieść. Chciała przynajmniej postać albo posiedzieć chwilę. Wreszcie udało się jej usiąść. Nadsłuchiwała z zapartym tchem. Gdy tylko ktoś zbliży się do chaty, trzeba się będzie znowu położyć i udawać zemdloną.

Chwała Bogu, że może siedzieć! Zaczęła teraz próbować, czy uda jej się także wstać. Tak, i to się udało. Wszystko lepsze, niż tak ciągle leżeć bez ruchu na twardej pryczy. Nie mogła jednak zrobić ani kroku.

Zaczęła wyglądać przez małe okienko, skąd miała widok na część kopalni. Wszędzie płonęły światła zapewne zapomniano je zgasić. Zauważyła, że przed kantyną falowało ludzkie mrowie. Usiadła znowu na pryczy i poczęła z lękiem nadsłuchiwać.

— Samie, drogi Samie, czy nie możesz nic uczynić dla mnie? Och, gdy tylko odzyskam wolność, potrafię się okazać wdzięczną... Odpłacę ci za to, żeś był dla mnie tak dobry... — myślała Dolo.

W Katynie przyjęto z wielkim entuzjazmem towarzyszy, którzy uprowadzili Dolo.

—Czy macie tę dziewczynę? — krzyczeli mężczyźni, którzy przez cały czas nie przestawali zaglądać do kieliszka. Byli jeszcze bardziej pijani niż poprzednio. Sprawcy porwania oznajmili im, że mała pani przebywa w bezpiecznej kryjówce.

—Ale ten niemiecki pies pojechał samochodem do Jaimeville i sprowadzi wojsko — ryknął nagle Tommy.

Wówczas wszyscy nagle przycichli. Ludzie wystraszeni spoglądali po sobie. Zdawało się, że nagle wytrzeźwieli. Wówczas jeden z agitatorów wskoczył na stół i zawołał:

— Dlatego właśnie musieliśmy mieć zakładniczkę! Całe szczęście, że ją mamy. Wojsko nie będzie strzelało do nas, wiedząc, że panienka jest w naszej mocy. Teraz muszą spełnić nasze żądania, nie wydamy im małej pani, dopóki nie zgodzą się na wszystko i nie zapewnią, że nie spotka nas kara. Teraz my jesteśmy górą! Trzeba to oblać. Hej, podać wódki, ale prędko!

Teraz nowe życie wstąpiło w pijany tłum. Ludzie nabrali odwagi, zagrzewali się nawzajem do walki, może właśnie dlatego, żeby zatuszować tę chwilę słabości. Nie chcieli mieć do czynienia z wojskiem, tak to prawda — no, ale mają przecież zakładniczkę, więc włos nie spadnie im z głowy.

Znowu zaczęła się pijatyka na dobre. Pili, krzyczeli, upajali się swoją rzekomą władzą. Wreszcie ruszyli tłumnie z kantyny i udali się przed gmach, w którym mieściły się biura. Urzędnicy wiedzieli na pewno, że pan pojechał do Jaimeville po wojsko. Ci tchórze zamknęli się w gmachu biurowym, trzeba im napędzić trochę strachu.

Z dzikim wrzaskiem ciągnął tłum ku budynkom biurowym. Robotnicy wykrzykiwali głośno nazwiska dyrektora i urzędników. Nikt jednak nie podszedł do okna. Wystraszeni urzędnicy siedzieli zamknięci w sali posiedzeń. Z przerażeniem spoglądali po sobie, słuchając krzyków i pogróżek rozbestwionego tłumu. Rozległo się głośne gwizdanie, syk i urągliwe słowa.

—Ależ oni mają pietra! — krzyczeli ludzie przed domem. Upajała ich myśl, że ci sami urzędnicy, którzy byli ich zwierzchnikami i mogli im rozkazywać, teraz drżą przed nimi ze strachu.

—Musimy się ukryć w piwnicy, to się źle skończy — szepnął dyrektor Delora.

Inni z prawdziwą ulgą zerwali się z miejsc. Już od dawna pragnęli się schronić w bezpiecznej kryjówce, lecz nie okazywali swego lęku.

W tej chwili właśnie, gdy wymykali się z sali posiedzeń, rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Ktoś z tłumu rzucił w okno kamień wielki jak pięść. Przerażeni urzędnicy szybko pobiegli do piwnic, zamknęli się tam i zabarykadowali wejście.

Teraz wszyscy zaczęli podnosić kamienie i rzucać nimi w okna. Każda stłuczona szyba wywoływała okrzyki radości. Ryczeli, wyli, gwizdali. Dolo widziała

to wszystko przez małe okienko chaty. Serce jej biło ze strachu. A jeżeli tłum przyjdzie tutaj do chaty, wywlecze ją za próg i zechce ją ukamienować?

—Zrozpaczona szarpała swoje więzy. Och, gdybyż się ich pozbyć! Ale dokąd uciec? Drzwi były zaryglowane, okienko za małe, aby się przez nie przedostać. A Sam nie nadchodzi! Zapewne nie może, inni go pilnują.

—Samie, drogi Samie, uratuj mnie, Janka, biedny Janku! Ach, jakże ty cierpisz, mój biedaku i to wszystko przeze mnie!

Tak, Dolo wiedziała, że Janek cierpi, mając świadomość, że nie może jej uratować. Nawet jeżeli jutro rano zjawi się Pedro i uwolni go z pęt, to przecież nie będzie wiedział, gdzie się znajduje jej kryjówka. A przy tym jeden człowiek nie może walczyć z oszalałym tłumem.

A Luteczek? Och, gdyby przynajmniej Luteczek powrócił! Gdyby wiedziała, że już przybył do Armady i uwolnił Janka!

Znowu usłyszała ryki tłuszczy i brzęk tłuczonych szyb. Serce jej waliło jak młotem. Z jękiem osunęła się na pryczę.

*

* *

Gdy Janek został powalony na ziemię, w głowie jego żyła jedna tylko myśl: Dolo! Co się z nią stanie, jakie zamiary mają ci ludzie? Wiedział, że ten cały zamach dotyczy tylko jej i musiał bezsilnie patrzeć, jak ogromny Murzyn wynosi ją na rękach z domu. Jęknął głucho i zaczął szarpać swoje więzy. Pomyślał sobie, że robotnicy porwali Dolo jako zakładniczkę. Na pewno nie zrobią jej nic złego. Tak, ale to niewielka pociecha.

Janek dręczył się okropnymi wyrzutami. Czynił sobie gorzkie wymówki, że pozwolił się tak podejść. Nie dopilnował Dolo. Jak się to w ogóle mogło stać? Jakim sposobem ta banda dostała się do domu? Przecież nic nie słyszał, chociaż wciąż nadsłuchiwał. Ktoś ze służby musiał należeć do spisku. Gdyby przemocą wyważyli drzwi, byłby przecież na pewno usłyszał. A teraz leży w mroku, nie może się ruszyć, ma w gardle ten okropny knebel. O, gdyby się mógł uwolnić,

pośpieszyć za Dolo, wyrwać ją z rąk jej prześladowców! Janek nigdy jeszcze nie był tak nieszczęśliwy, jak w tej chwili, nawet i wtedy nie, gdy wuj Artur godził na jego życie.

Czyżby Pedro nic nie słyszał? On sam przecież zdążył oddać jeden strzał, póki nie wytrącono mu broni z ręki. Później browning upadł z głośnym hukiem na podłogę, słyszał to przecież sam. A przy tym podczas napadu na niego i porwania Dolo nie obeszło się bez hałasu. Czy podobna, że Pedro nic nie słyszał? Czemu teraz przynajmniej nie zjawia się na pomoc? Czy się boi? A może...? Może Pedro należy także do spisku, może był w zmowie ze sprawcami porwania?

Janek nie znał Pedra tak dobrze, jak wuj Ludwik, dlatego mogły się w nim zbudzić podobne podejrzenia.

Ach, gdybyż mógł przynajmniej zapalić światło! Wiedział, że tuż obok drzwi, przy których leżał, znajduje się mały guziczek, do włączania elektryczności. Natężając siły, podniósł w górę swoje spętane nogi i po omacku zaczął szukać tego guziczka. Długo trwało, zanim go znalazł.

Spróbował nacisnąć guziczek obcasem. Nie udało się. Wysiłek zmęczył go, a przy tym bolały go bardzo ręce, związane na plecach. Cały ciężar ciała spoczywał na rękach. Chciał już zrezygnować z dalszych prób, gdy wreszcie jednak natrafił na właściwe miejsce. Nacisnął mocno guziczek i w pokoju zrobiło się jasno. Odetchnął z ulgą. Chwała Bogu, teraz przynajmniej widzi, co się dzieje wokoło. Obok niego na podłodze leżał browning, którego banda widocznie przez zapomnienie nie zabrała.

Gdyby jeszcze pozbyć się tego knebla! Janek zaczął próbować językiem. Knebel był sporządzony z jakiejś grubej, włóknistej tkaniny. Nie można go było usunąć, nie mając wolnych rąk.

A tymczasem tamci uciekali z Dolo, uciekali z nią dalej, coraz dalej... Głuchy jęk wyrwał się z ust Janka. Zaczął się rozglądać wokoło patrząc, czy nie znajdzie czegoś, żeby rozerwać więzy. Nie spostrzegł jednak nic takiego w wielkim, pustym przedsionku. Tylko tam w górze, prawie na wysokości człowieka, sterczał w ścianie jakiś gwóźdź.!Kto wie, na co mógłby się przydać ten gwóźdź, gdyby dotrzeć do niego? Janek zaczął czynić wysiłki, żeby się podnieść. Był zręczny i

bardzo wygimnastykowany, to też wreszcie udało mu się wstać. Z wielkim trudem dobrnął do ściany, z której sterczał gwóźdź.

Obrócił się powoli i stanął twarzą do ściany. I nagle przyszło mu na myśl, że może w ten sposób uda mu się pozbyć knebla. Spróbował wcisnąć gwóźdź między wargi a knebel. O dziwo! Udało się!

Teraz zaczął się starać o to, by główka gwoździa zaczepiła się o włókna tkaniny, z której był sporządzony knebel. Wreszcie po długich usiłowaniach tkanina nadziała się na gwóźdź. Janek odrzucił głowę w tył i w ten sposób usunął z ust część knebla. Powtórzył ten zabieg kilka razy i wreszcie pozbył się dławiącego knebla.

Ach, jakież to szczęście! Jakaż to rozkosz, gdy można znowu odetchnąć pełną piersią. Janek oddychał głęboko wciągając w płuca powietrze. A później krzyknął, zaczął wołać Pedra, Boni i Joni! Na próżno! Znikąd odpowiedzi!

Teraz przyszło mu na myśl, że Pedro i jego rodzina zostali także napadnięci i obezwładnieni.

Zrozpaczony, pochłonięty wciąż myślami o Dolo, osunął się znowu na posadzkę. Spoglądał bezradnie na swoje spętane nogi. Miał na nogach półbuty, a postronek związano nad kostką. Doznawał wrażenia, że więzy rozluźniły się już trochę. Może uda mu się rozwiązać nogi, jeżeli w tym celu zdejmie buty. Może uda się przesunąć stopę przez pętlę.

Nie była to jednak sprawa tak prosta, jak się początkowo zdawało Jankowi.

Starał się wciąż jedną stopą zsunąć półbut z drugiej. Bolała go przy tym bardzo noga w kostce, ale nie zważał na to. Po chwili wreszcie zsunął z trudem jeden but. Zaczął teraz mocno szarpać swoje pęta. Więzy rozluźniły się nieco. Jedna pętla zacieśniała się, podczas gdy druga się rozszerzyła. I wreszcie mógł wyciągnąć jedną przynamniej stopę z pęt.

Z westchnieniem ulgi podniósł się z podłogi. Chwała Bogu, teraz przynajmniej może chodzić, chociaż na jednej stopie pozostał postronek.

Trochę jeszcze zesztywniały i drętwy postąpił kilka kroków naprzód. Nogi bolały go ogromnie. Słaniając się nieco, wyszedł na schody, a stamtąd dotarł do sutereny. Po drodze naciskał wszędzie łokciem kontakty i zapałał światło.

Zatrzymał się wreszcie w suterenie i spostrzegł otwarte drzwi. Był przygotowany, że spiskowcy rozstawili wszędzie straże. Wtedy nie będzie się mógł obronić, ponieważ ma ręce związane na plecach. Mimo to nie należało tracić odwagi. Toteż Janek zdecydował się i zapalił światło w suterenie.

Gdy w pokoju zrobiło się jasno, Janek spostrzegł w fotelu związaną Joni. U jej stóp na podłodze leżeli Pedro i Boni. Oboje mieli nałożone pęta na rękach i nogach oraz zakneblowane usta. Teraz Janek zrozumiał, dlaczego Pedro nie zjawił się na pomoc.

Boni i Joni najwidoczniej zemdlały. Pedro natomiast spoglądał przytomnie na Janka, który natychmiast zbliżył się do niego.

— Pedro, porwali małą panią! Mnie powalili na ziemię, związali mi ręce i nogi, zatkali mi usta. Udało mi się pozbyć knebla i uwolnić jedną stopę. Dlatego tutaj jestem. Teraz musimy sobie jakoś nawzajem pomóc. Odwróćcie się, Pedro, i połóżcie się na boku. Ja położę się obok was, plecami o plecy. Spróbujemy nawzajem zdjąć pęta z rąk. Czy zrozumieliście mnie, Pedro?

Pedro dał Jankowi oczyma znak, że zrozumiał o co chodzi. Odwrócił się, a Janek położył się obok niego. Obydwaj starali się rozwiązać supły postronka, krępującego ręce. Janek pierwszy rozwiązał pęta na rękach Pedra.

— Tak, Pedro, teraz wyjmijcie sobie knebel z ust. Później pomożecie waszej żonie i córce, a wreszcie i mnie.

Po upływie kilku chwil wszyscy byli już wolni, mogli mówić i poruszać się.

Pedro opowiedział Jankowi, że usłyszał jakieś jęki, dobiegające z pokoju jego córki. Gdy pośpieszył zobaczyć co się z nią dzieje, jacyś ludzie rzucili się na niego i związali go. Nie mógł także wydać dźwięku z ust, bo go zakneblowali. Jedno co widział, to dawnego szofera. Tak, w pokoju jego córki znajdował się Tommy, może ręczyć za to.

Teraz i Joni zaczęła opowiadać, co się stało. Była bardzo zmieszana i jąkała się trochę. Usłyszała nagle jakieś pukanie, stanęła przy oknie, a wtedy ktoś powiedział: „Otwórz, Joni!" Pomyślała, że to może pan chce tędy wejść do domu. Widziała, że pan wyjechał samochodem i sądziła, że może miał w drodze jakiś wypadek. Dlatego zaraz otworzyła, a wtedy do sypialni wkroczyła jakaś ciemna postać, która ją związała i obezwładniła. Nie wie, co się później stało, bo zemdlała ze strachu.

Nikt nie wątpił, że mówi prawdę, choć nie całkiem tak było, jak mówiła. W każdym razie nikt nie robił wyrzutów Joni.

Janek zmarszczył brwi i zwrócił się do Pedra:

—Słuchajcie, Pedro, małą panią związał także szofer Tommy. Widziałem to. Wyniósł ją z domu jakiś wielki, silny Murzyn. Przypuszczam, że uwięzili ją w jakiejś kryjówce w pobliżu kopalni. Muszę się pośpieszyć i uwolnić małą panią.

—Pójdę z panem inżynierem — oświadczył natychmiast Pedro.

—W takim razie przygotujcie się do drogi. Ja powrócę na górę i zaopatrzę się w broń i amunicję. Weźcie także broń, nie wiadomo, może się przyda. Gdybyśmy nie powrócili, to wasza żona i córka zawiadomią o wszystkim mego wuja. Niech powiedzą mu także, że udaliśmy się do kopalni, aby uwolnić małą panią. Uprzedźcie waszą żonę i Joni. Przypuszczam, że wuj powróci tutaj jutro wieczorem.

Janek pobiegł z powrotem na górę, gdzie znalazł browninga. Szybko włożył rewolwer do kieszeni. Zabrał także na wszelki wypadek ostry nóż i rozmaite rzeczy, które wydawały mu się potrzebne.

Martwił się bardzo, że nie zna dobrze terenu i nie orientuje się w położeniu kopalni. Po chwili zjawił się na górze Pedro, zupełnie gotowy do drogi. Janek zwierzył mu się ze swego strapienia.

—Jak można przekraść się niepostrzeżenie do kopalni? Jaka jest najlepsza droga, Pedro?

Pedro zaczął się namyślać. Po chwili w oczach jego zapalił się błysk.

— Poczekaj chwilę, panie! Zaraz wrócę!

Wyszedł, a po chwili powrócił z jakimś kluczem w ręku.

— Widzisz, panie, to jest klucz od bocznej furtki. Nikt prawie tamtędy nie chodzi. Ja mam ten klucz, bo czasami zanoszę panu coś do biura. Droga przez boczną furtkę jest trochę krótsza. A poza tym przed głównym wejściem mogą stać straże, więc nie wpuszczono by pana. Jest jeszcze jedno wejście między chatami robotniczymi, lepiej jednak, żeby każdy z nas poszedł inną drogą. Ja także przecież będę się musiał przekradać, żeby mnie nikt nie spostrzegł. Weź ten kluczyk, panie. Ja ci dokładnie opiszę całą drogę do bocznego wejścia.

Janek wziął kluczyk i schował go do kieszeni.

Boni tymczasem uspokoiła się trochę i razem z Joni przyszła na górę. Lamentowała nad losem swojej maleńkiej pani, lamentowała, bo mąż chciał wyruszyć z domu, a wiedziała, że grozi mu niebezpieczeństwo. Pedro jednak odezwał się spokojnie do żony:

— Opamiętaj się, kobieto! Jakże ja mógłbym się panu pokazać na oczy, gdybym nie starał się pomóc małej pani? Gdybyśmy do jutra nie powrócili, to opowiesz panu wszystko, co się stało.

I nie zważając na żonę i córkę, Pedro wraz z Jankiem wyszedł z domu.

Pedro miał silnie nabrzmiałe kostki nóg, toteż nie mógł chodzić tak prędko jak Janek. Młody człowiek zaś śpieszył się bardzo, ponieważ gnał go niepokój i lęk o Dolo.

—Pójdę naprzód, Pedro. Ponieważ każdy z nas wejdzie od innej strony, więc możemy się już teraz rozstać. Powiedzcie mi tylko dokładnie, gdzie jest ta furtka, bo nie chcę tracić czasu na szukanie.

—A więc tam naprzeciwko, tam gdzie się pali ostatnia lampa... Niech pan patrzy, panie inżynierze, wszystkie lampy palą się wśród nocy... A więc tam, obok ostatniej lampy łukowej stoi mała chatka, to domek dozorcy. O, widać go przez sztachety... Otóż tam jest mała furtka, oddalona może o sto kroków od skał, odgradzających kopalnię na wschód... Ja spróbuję przemknąć się między chatami i

dostać się niepostrzeżenie do gmachu dyrekcji. Może uda mi się zawiadomić pana dyrektora Delorę, że porwali panienkę. Szkoda, że nie mówisz po portugalsku, panie. Ja postaram się podsłuchać, w jakim miejscu ukryli panią. W każdym razie spotkamy się za jakieś dwie godziny między chatą dozorcy a skałami. To jest bardzo odległa część kopalni, tam rzadko kiedy kto przychodzi. Wtedy będziemy mogli się porozumieć. Może już dowiemy się czegoś.

—Dobrze, Pedro. Gdyby któryś z nas nie przybył na miejsce spotkania, to znaczyć będzie, że albo nas zatrzymano, albo też udało się nam uwolnić panią...

—Tak, panie... Tylko jeszcze jedno... Gdyby któremuś z nas udało się naprawdę wydostać panią z rąk tej bandy, to nie wolno powrócić nam do domu. Bo przede wszystkim zaczęliby znowu szukać jej w domu, a nie powinna tam powrócić, dopóki pan nie przybędzie z wojskiem.

—Słusznie, Pedro! Mała pani wspominała mi o jakiejś chacie w górach. Czy znacie tę chatę?

—Tak, panie!

—Kto z nas uwolni panią, ten uda się wprost do owej chaty. Mam wrażenie, że będzie to zupełnie bezpieczna kryjówka.

—Prawda, panie, to dobra myśl! Ach, gdyby nasza mała pani była już wolna!

—Tak! A więc idź z Bogiem, Pedro! Kto uwolni panią, ten uda się z nią w góry. A wtedy drugi zawiadomi mego wuja. Jeżeli nam obu nie uda się nic wskórać, w takim razie spotkamy się za dwie godziny w pobliżu chaty dozorcy.

I powiedziawszy te słowa, Janek podążył przed siebie. Biegł szybko, skryty w wysokiej, bujnej trawie stepu. Zmierzał wprost do oświetlonej kopalni. Ujrzał już z daleka stromą spadzistą skałę, którą wskazał mu Pedro. Oświetlały ją jasno lampy łukowe. W tych skałach spoczywały złoża srebra. Szyby były głęboko wykopane w skałach.

*

* *

Janek nie mógł pomylić kierunku. Im bardziej zbliżał się do celu, tym wyraźniej słyszał wrzaski i krzyki pijanego tłumu. Wciąż jeszcze nie nastąpił spokój. Nagle usłyszał brzęk tłuczonych szyb i zdjął go wielki lęk o Dolo. Jeżeli ma być zdana na łaskę tych ludzi, to może się jej przytrafić coś złego. Pędem biegł do kopalni. Pot spływał mu z czoła. Nigdy jeszcze tak bardzo nie odczuwał swojej miłości dla Dolo — jak w tej chwili, gdy drżał o jej życie.

Ujrzał wreszcie małą chatę przez sztachety ogrodzenia. Spostrzegł także boczne wejście. Rzucił się natychmiast na ziemię i starając się ukrywać w zaroślach, zaczął podpełzać na czworakach do furtki. Unikał umyślnie oświetlonych miejsc, lękając się, że tłum gotów go spostrzec. Wtedy pijani ludzie na pewno rzucą się na niego i nie pozwolą mu uratować Dolo. Myśl o tym napełniała go bezsilną wściekłością.

Dotarł wreszcie do furtki. Spostrzegł, że w pobliżu nie ma nikogo. Wstał i otworzył furtkę. Poszło to niełatwo, bo zamek był trochę zardzewiały. Wreszcie jednak drzwi zgrzytnęły, mógł wejść.

Przygotował browning do strzału, po czym zaczął nadsłuchiwać. Z dala dobiegł ryk tłuszczy. Szukając wciąż osłony zakradł się pod chatę. Nie miał pojęcia, że Dolo została właśnie uwięziona w tej chatce. Zaczął się teraz rozglądać wokoło. Nie wiedział w jakim kierunku ma się posuwać, żeby go nie zauważono. Ostatnia lampa łukowa paliła się jasno, nigdzie nie było bezpiecznego schronienia. Mimo to Janek postanowił dotrzeć w głąb kopalni.

Przypuszczał, że robotnicy uwięzili Dolo w jednym z większych budynków należących do kopalni. Przeczucie nie powiedziało mu, że w tej chwili właśnie stoi przed ścianą jej więzienia.

Właśnie chciał nie zważając na światło, ruszyć w dalszą drogę i ukryć się za kopcem żużlu, gdy spostrzegł nagle, wysoką postać Murzyna. Tak, to przecież ten olbrzym, który porwał Dolo.

Czarny Herkules zmierzał tymczasem wprost do chaty nocnego stróża.

Janek przycisnął się mocno do drewnianej ściany budynku. Ukryty w cieniu, spoglądał na ogromną postać Sama. Tak, bez wątpienia, to ten Murzyn, który wyniósł Dolo na rękach.

A gdyby go napaść znienacka, przyłożyć mu browning do skroni i zażądać, aby powiedział, dokąd zaniósł panią? Oczy Janka zabłysły, odmalowała się w nich niezłomna wola. Przecież w ten sposób będzie się mógł dowiedzieć, gdzie przebywa ukochana dziewczyna. Ten Murzyn chyba zrozumie, o co chodzi, a on także zrozumie jakoś Murzyna. Czarny olbrzym był wprawdzie znacznie silniejszy od niego, on za to był o wiele zręczniejszy. A poza tym ma broń w ręku, co mu daje przewagę nad Murzynem.

Ten rozszalały tłum zbyt jest zajęty sobą, aby zważać na to, co się dzieje w pobliżu chaty. Janek postanowił skorzystać z tej nadarzającej się okazji.

Z trudem panował nad sobą. Najpierw chciał przepuścić Murzyna. Lepiej, gdy zaskoczy go w pobliżu chaty. Tutaj nie jest tak jasno, nikt z tłumu nie spostrzeże ich w tym miejscu.

Janek ostrożnie wyjrzał zza węgła i ujrzał, że Murzyn kieruje się do chaty. Czy zamierza tam wejść? Tym lepiej, zakradnie się za nim do wnętrza i tam go napadnie.

Janek ostrożnie wyjrzał zza węgła i ujrzał, że Murzyn otwiera drzwi. Już chciał zakraść się za nim gdy usłyszał nagle, jak Murzyn woła w języku portugalskim:

— Pani!

Janek słyszał już kilkakrotnie to słowo. Przecież cała służba zwracała się w ten sposób do Dolo. Młody człowiek wstrzymał oddech i zaczął nadsłuchiwać. O mało nie krzyknął z radości, gdyż z wnętrza chaty dobiegł go wyraźnie głos Dolo.

Słyszał jak Dolo rozmawia, ale nie rozumiał treści rozmowy, ponieważ była prowadzona w języku portugalskim. Rozumiał tylko imię „Sam". Tak nazywa się ten Murzyn. Z tonu głosu, domyślił się jednak, że Dolo jest bardzo zadowolona z odwiedzin Sama. Rozmawiała z nim bardzo przychylnie, a on przemawiał do niej bardzo łagodnie.

Janek nie ruszał się z miejsca. Chciał się najpierw przekonać, co nastąpi dalej.

Rozmowa między Dolo a Samem — ta rozmowa, której Janek nie mógł zrozumieć — brzmiała następująco.

— Pani! — zawołał Sam, wchodząc do chaty.

—O Samie, mój kochany Samie! Czy przyszedłeś mi pomóc? — spytała Dolo, która spędziła kilka okropnych godzin, pełnych niepokoju i strachu. Starała się wstawać, siedziała trochę na twardej pryczy, bolały ją wszystkie kości. A z daleka dobiegał wciąż ryk pijanego, na pół oszalałego tłumu. Nadsłuchiwała bez ustanku i bardzo się bała. Lękała się, że ta dzika ciżba gotowa za chwilę wtargnąć do chaty.

—Pani, nie mogłem przybyć wcześniej. Muszę się wystrzegać tamtych. Gdyby spostrzegli, co się święci, zabiliby nas oboje. Bądź cierpliwa, mała pani. Zmęczą się wkrótce i powrócą do domu, żeby się przespać. Wtedy uwolnię cię, a tymczasem przyszedłem tylko, żeby cię uspokoić i pocieszyć. Sam nie pozwoli ci zrobić nic złego. A teraz także rozwiążę twoje pęta, żebyś nie czuła bólu.

—Ach, tak mój poczciwy Samie. Ręce i nogi bardzo mnie bolą.

—Dlatego właśnie przyszedłem. Może chcesz się napić wody? Przyniosłem całą flaszkę. A oto także kawałek chleba i trochę owoców. Więcej nie mogłem przynieść. Położę to na ławce. A gdy usłyszysz, że się ktoś zbliża, nałożysz znowu te pętle na ręce i stopy. Pewno dzisiejszej nocy już nikt nie przyjdzie, ale trzeba być na wszystko przygotowanym. O, twoje biedne rączki, jakże są rozpalone! Tak, pani, to z wdzięczności, żeś mi uleczyła żonę. Sam był głupi, bo się upijał i słuchał tamtych. Ale moja żona gniewałaby się bardzo, gdyby się dowiedziała, że pozwoliłem ci zrobić coś złego. Tak, teraz, zdjąłem także te sznury z nóg. Zjedz cokolwiek i napij się wody, musisz przecież być silna.

—Dziękuję ci, mój dobry Samie! Ach, postaram się wynagrodzić twoją dobroć, gdy tylko odzyskam wolność. Powiedz mi, Samie, czy temu młodemu niemieckiemu inżynierowi naprawdę nie stało się nic złego?

—Nie, nie, bądź spokojna! Nie odważyliby się na to. Związali go tylko i zakneblowali mu usta.

—Czy nie mógłbyś go uwolnić, Samie?

—Nie, pani, ja muszę pozostać tutaj, żeby strzec ciebie. Ten młody pan musi wytrzymać, póki go nie uwolni kto inny. A teraz i ja stąd pójdę. Połóż się i zamknij oczy. A gdy usłyszysz, że ktoś wchodzi, nałóż prędko pęta na ręce. Nogi zakryjemy kocem, więc nikt nie zobaczy, że zdjąłem z nich postronki. Czy ci nie zimno, pani?

—Nie, Samie! Dziękuję ci serdecznie! I nie zapomnij o mnie!

—Nie, mała pani!

Janek słyszał wszystko, ale nie zrozumiał ani słowa. Czuł tylko, że Sam nie jest wrogiem Dolo. Ten Murzyn przemawiał do niej czule i łagodnie, a ona zdawała się odpowiadać bardzo serdecznie. Wobec tego postanowił, że nie napadnie Sama. To już teraz zbyteczne. Przecież wie, gdzie znajduje się Dolo, wie, że nie wyrządzono jej żadnej krzywdy. Zauważył z radością, że drzwi nie mają zamka. Były tylko wewnątrz i zewnątrz zaopatrzone w grube rygle.

Sam zbliżał się właśnie do drzwi. Janek schował się znowu za chatę. Tam przycisnął się do ściany, czekając aż się Sam oddali.

Wreszcie Murzyn wyszedł, a po chwili zniknął w tłumie.

Nic nie mogło już powstrzymać Janka. Cicho zakradł się do drzwi i odsunął ciężki rygiel. Otworzył, przestąpił próg chaty i, stojąc w mroku, zawołał cicho: — Dolo!

Odpowiedział mu stłumiony okrzyk.

— Janku, ach, Janku!

I wówczas z mroku sfrunęła ku niemu jakaś biała, powiewna postać, która padła wprost w jego otwarte ramiona. Przycisnął mocno do serca maleńką osóbkę, która drżąc na całym ciele, przytuliła się do niego.

—Dolo; moja słodka, ukochana Dolo! Nareszcie cię znalazłem! — wykrztusił, oszołomiony szczęściem. Głos Janka brzmiał tak tkliwie, że Dolo nie miała już wątpliwości co do jego uczuć. Bez słowa wyjaśnienia złączyły się ich wargi w

pierwszym, najsłodszym pocałunku miłosnym. Zapomnieli o całym świecie, o wszystkich grożących niebezpieczeństwach. Nie słyszeli dzikiej wrzawy ani wrzasków rozbestwionego tłumu. W mdłym blasku światła padającym przez małe okienko, widzieli tylko siebie. Upojeni szczęściem patrzyli sobie w oczy, czuli nawzajem swoją bliskość. Wiedzieli, że się kochają, a ta miłość przesłoniła im w tej chwili cały świat.

—Och, Janku! Mój Janku! Jakie to szczęście, że żyjesz, że jesteś wolny, że cię tu widzę — szeptała Dolo, drżąc ze wzruszenia.

—Dolo jedyna! Moja, nareszcie moja! Ach, jakże cię kocham, moje najmilsze serce! A ty, powiedz? Czy kochasz mnie, Dolo?

— Tak bardzo, Janku, że mnie serce boli z nadmiaru miłości. Przytuliła się czule do niego. Janek raz jeszcze ucałował gorąco jej usta.

—A teraz muszę cię zaprowadzić do jakiejś bezpiecznej kryjówki, najdroższa Dolo! Chodź, nie mamy ani chwili do stracenia! Każda sekunda może zaważyć na szali.

Zdjął z pryczy ciemny koc i otulił nim Dolo. Lękał się, że biała suknia może ją zdradzić. Następnie wyszli razem z chaty, a Janek zaryglował za sobą drzwi. Kryjąc się w cieniu, podążyli oboje do bocznego wejścia. Wyszli, po czym Janek zamknął furtkę na klucz.

—Nie możemy powrócić do domu, Dolo. Gotowi cię tam szukać, gdy spostrzegą twoją ucieczkę. Musimy uciec w góry. Mówiłaś o jakiejś chacie, tam się schronimy. Tam będziesz bezpieczna. Pozostaniemy w górach aż do chwili, póki nie powróci wuj Ludwik z wojskiem.

—Ach, Janku, ale Luteczek będzie bardzo niespokojny o mnie. Pomyśli, że jestem uwięziona.

— Nie, nie! Pedro powie mu wszystko.

— A skąd Pedro będzie wiedział?

Powiedział jej o swojej umowie z Pedrem.

—Pedro domyśli się, że udało mi się uwolnić cię z rąk tych ludzi. Wie, że mam zamiar schronić się z tobą w chacie. Chodź, nie wahaj się, Dolo, bo gotowi urządzić za tobą pościg. Tylko czy w nocy potrafisz znaleźć drogę do tej chaty?

Spojrzała na niebo. Była dzieckiem natury i orientowała się o każdej porze dnia i nocy.

—Naturalnie, przecież lampy się palą i oświetlają drogę. A gdy znajdziemy się wyżej, w górach, zacznie już świtać.

—A nie boisz się leśnych zwierząt?

— Czy masz broń?

— Mam browning i nóż.

—Daj mi browning, bo ja orientuję się lepiej od ciebie i wiem, kiedy zwierzę może się stać niebezpieczne. Ty zatrzymaj na wszelki wypadek nóż. Droga stąd prowadzi przez strome skały, bo nie możemy obchodzić dokoła terenu kopalni.

— Czy się aby nie zmęczysz? — Nie lękaj się o mnie, ja jestem bardzo wytrzymała.

—Ach, ale przeszłaś tak wiele!

—To już minęło. Teraz jestem wolna, a ty jesteś przy mnie. Chodź, Janku!

Dolo objęła kierownictwo wyprawy. Wkrótce dotarli do skał. Dolo wspinała się bez trudu pod górę, Janek zdążał za nią. Starali się ukrywać, żeby ich stąd nie spostrzeżono. Janek zasłaniał ciemnym kocem białą suknię swojej towarzyszki. Z dołu dobiegało wciąż wycie rozszalałej ciżby. Wreszcie znaleźli się w górach, porośniętych lasem. Niebezpieczeństwo minęło. Dolo przystanęła na chwilę i wskazała ręką kopalnię, którą można było dokładnie zobaczyć poprzez gałęzie drzew.

—Spójrz, Janku! Spójrz! — rzekła drżącym głosem. Spojrzał w dół i spostrzegł, że tłum posuwa się w innym kierunku.

— Dlaczego się denerwujesz? — zapytał. Dolo z łkaniem, rzuciła się w jego ramiona.

—Patrz, zatrzymali się przed chatą dozorcy. O, Boże! Sam zbliża się do chaty i otwiera drzwi... przyszli po mnie... Ach, Janku, jakie to szczęście, że mnie uratowałeś... Jestem ci taka wdzięczna... Teraz nawet i Sam nie mógłby nic uczynić dla mnie...

—Uspokój się, kochanie, teraz jesteś przecież bezpieczna. Co ty opowiadasz o Samie? Słyszałem poprzednio, że rozmawiałaś z nim bardzo przyjaźnie, ale nie zrozumiałem ani słowa z tej rozmowy.

Opowiedziała mu pokrótce jak szlachetnym człowiekiem jest Sam.

—Nigdy mu tego nie zapomnę — rzekł Janek — a ja chciałem się już rzucić na niego z bronią w ręku. Dobrze, że tego nie uczyniłem.

—Ach, Janku, przecież Sam jest bardzo poczciwy. Udawał, że jest po stronie tamtych ludzi, aby mnie uratować. Ale powiedz mi, jak tyś zdołał się uwolnić i jak znalazłeś do mnie drogę?

—Później opowiem ci wszystko, teraz musimy się pośpieszyć! Zdaje się, że odkryli już twoją ucieczkę.

Podążyli przed siebie, radzi, że udało im się uniknąć niebezpieczeństwa. Szli teraz lasem, pogrążonym w głębokiej ciszy nocy. Droga stała się mniej uciążliwa.

Głosy na dole przycichły. Wokoło panował mrok. Wspinali się wyżej, coraz wyżej. Powoli zrobiło się trochę jaśniej. Niekiedy przemykało się obok nich jakieś zwierzę. Wówczas zatrzymywali się, a Dolo mocno ściskała swój rewolwer. Zawsze jednak niebezpieczeństwo mijało. Wreszcie las począł się trochę przerzedzać. Zrobiło się jeszcze jaśniej. Teraz byli już oboje zupełnie bezpieczni. Janek przytulił do siebie Dolo.

—Ach, kochanie, jakże ja się lękałem o ciebie! Czy naprawdę nie zrobili ci nic złego?

—Nie, Janku. Sam niósł mnie na rękach jak matka dziecko. Zaraz też wyjął mi z ust ten wstrętny knebel. Powiedział mi, że mnie obroni. Lękałam się tylko o ciebie, bo wiedziałam, że musisz być bardzo niespokojny o mój los.

TLR

Pocałował ją tkliwie.

—Tak, czułaś to? Ach, to było straszne, gdy musiałem bezsilnie patrzeć, jak ci ludzie wynoszą cię z domu. Nigdy nie zapomnę tej chwili.

—Wiesz — powiedziała Dolo — że na takiej pryczy jest naprawdę bardzo niewygodnie. Myślałam o tym, że dola naszych robotników jest bardzo ciężka.

—Tak, Dolo, ale przecież dozorca mógł sobie wymościć pryczę sianem. Przecież w stepach nie brak trawy. Ci ludzie jednak nie odczuwają tego tak bardzo jak ty, oni są zahartowani. Dozorca nie powinien leżeć na miękkim posłaniu, żeby nie zasnąć na dobre. Przecież musi czuwać nad kopalnią. Ale wasi robotnicy mają w swoich chatach porządne łóżka?

—Mają, ale mimo to powinno się dla nich uczynić o wiele więcej. Chciałabym, żeby im było tak dobrze jak robotnikom z Fabryki Rodenbergów.

—Wuj Ludwik zamierza przecież wprowadzić rozmaite ulepszenia. Zawsze robił dla robotników więcej niż inni przemysłowcy w Brazylii. Dlatego nie chce ulec pod przymusem i to mnie wcale nie dziwi. On musi nimi rządzić a nie przeciwnie. Widzisz, że trzeba ich mocno trzymać, najlepszym dowodem tego jest ten ich bezsensowny bunt.

—To prawda! Ach, żeby się to tylko dobrze skończyło, gdy Luteczek przybędzie już z wojskiem! Jestem bardzo niespokojna!

—Nie lękaj się na próżno. Wuj Ludwik wszystko załatwi jak najlepiej. Tylko ci ludzie, którzy cię porwali, poniosą karę, ale oni zasługują na to. Czy ci nie zimno, moja maleńka? Może zarzucisz ten koc?

—Nie, Janku, bardzo mi ciepło, a ta derka jest taka ciężka. Janek złożył koc i przerzucił go przez ramię. Pomyślał, że może później przyda się Dolo. Wziął ją pod rękę i tak wędrowali społem w budzącym się, szarym brzasku.

—A teraz opowiedz mi nareszcie, jak zdołałeś się uwolnić — prosiła Dolo.

Roześmiał się, przypominając sobie o swoich wysiłkach przy odzyskiwaniu wolności. Opisywał jej to wszystko w tak humorystyczny sposób, że Dolo także

zaczęła się śmiać. Gdy jednak wspomniał o tym, w jakim stanie zastał Pedra i jego rodzinę, dziewczyna ciężko westchnęła:

— Biedacy, ileż musieli przecierpieć z tego powodu, że zostali nam wierni. Wynagrodzę im to. Ale co się stało później? Opowiadaj!

Opisał jej w jaki sposób on i Pedro pozbyli się pęt na rękach. Dolo zarzuciła Jankowi ręce na szyję.

— Mój biedny Janku, ty także wycierpiałeś niemało.

— Tylko dlatego, że się lękałem o ciebie. Było mi tak ciężko na sercu, że odchodziłem niemal od zmysłów. Robiłem sobie gorzkie wyrzuty, że pozwoliłem się tak nabrać i wpadłem w pułapkę tych łotrów. Nie przypuszczałem jednak, że dostali się już do samego domu. Usłyszawszy pukanie, pomyślałem, że to Pedro. Jakie to szczęście, że cię wyrwałem z ich rąk! Inaczej nie miałbym odwagi spojrzeć w oczy wujowi Ludwikowi.

— Przecież to nie była twoja wina. Ośmiu mężczyzn rzuciło się na ciebie, jakże więc miałeś się bronić. Powiedz mi jednak, w jaki sposób tak prędko mnie znalazłeś?

Opowiedział jej, że dostał klucz od Pedra i jak odkrył jej kryjówkę.

— I to również mamy do zawdzięczenia Samowi. Na pewno ucieszył się bardzo, gdy spostrzegł, że zdążyłam zbiec. Być może, iż ci pijani ludzie nie zrobiliby nic złego, ale w każdym razie bałabym się okropnie. A Sam na pewno nie zdołałby mnie uwolnić w tych warunkach. Tobie jedynie zawdzięczam wolność. Och, wiem przecież, że bardzo martwiłeś się o mnie!

Przytulił ją mocno, mocno, jakby się lękał, że jeszcze teraz gotów ją utracić.

— Wiedziałaś, Dolo?

— O tak, Janku! Przecież już w ostatnich czasach, na okręcie, czułam jak bardzo mnie kochasz!

— A poprzednio?

—Niekiedy także. Ale wówczas byłam jeszcze bardzo niemądra i nie wiedziałam, co mnie tak ciągnie do ciebie...

—Bywałaś często bardzo chłodna i robiłaś mi na przekór!

—Bo nie chciałam się przyznać do mojej wielkiej miłości. Ukrywałam to nawet przed sobą i nie chciałam, abyś wiedział o tym. Gdy wyjeżdżałeś, tęskniłam okropnie. A później, gdyś powracał, wstydziłam się tej tęsknoty i nie chciałam ci okazać, jak bardzo mi ciebie brakowało. Dlatego dręczyłam ciebie i siebie.

Jakże szczęśliwy był Janek Dornau, słuchając tych wyznań. Oboje opowiadali sobie po drodze o swoich walkach wewnętrznych i wątpliwościach. Zapomnieli o wszystkim zwierzając się sobie ze swoich myśli i uczuć. Mówili także o panu Ludwiku i o tym, co też on powie, dowiedziawszy się o zaręczynach.

—Wuj zgodzi się. Dolo, wiem, że kocha mnie jak syna — rzekł Janek. Ach, jakie to szczęście, że udało mi się w ten sposób uwolnić cię, moja jedyna. Jestem rad, że obeszło się bez strzelaniny.

—Tak, chwała Bogu. Byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdyby z mego powodu doszło do rozlewu krwi.

—Moja maleńka Dolo! Zdaje się, że powinnaś stąd wyjechać. Nie możesz się dobrze czuć w tym dzikim kraju, chociaż jesteś odważną dziewczyną.

—Masz rację, Janku, ja sama to czuję. Chciałabym powrócić do domu.

Trzy godziny trwała droga do chaty. Dolo znalazła klucz ukryty pod belką. Był nieco zardzewiały i Janek z wielkim trudem otworzył drzwi. Z wnętrza chaty wionęło stęchłe powietrze. Dolo znalazła w szufladzie świecę i postawiła ją na stole, a Janek zapalił knot swoją zapalniczką. Z uśmiechem rozglądał się wokoło.

—Tutaj jest bardzo miło, można wytrzymać przez jakiś czas, dopóki nie wybije dla nas godzina wyzwolenia — powiedział do Dolo.

—Tak, trzeba tylko zobaczyć czy są tu jakieś zapasy żywności. Szkoda, że nie zabrałam chleba i owoców, które dostałam od Sama.

Otworzyła spiżarnię i znalazła zalutowane pudełko z keksami, kilka tabliczek czekolady i kilka puszek zawierających konserwy. Prócz tego puszkę skondensowanego mleka i trochę herbaty.

— Nie wiem tylko, czy to będzie jadalne. Leży już przeszło trzy lata, a może dłużej.

Janek roześmiał się i ucałował swoją ukochaną.

—Najważniejsza jest kwestia, jak otworzyć te puszki. Nie mamy przecież żadnych narzędzi.

—Ach, Janku, ty nie masz wcale pojęcia, jaki tutaj jest komfort — odparła Dolo i otworzyła szufladkę stołu.

Zawierała ona prawdziwe skarby: nożyk do otwierania puszek, korkociąg, kilka noży i widelców, trzy łyżki i pudełko zapałek. W spiżarni znaleźli jeszcze talerze, filiżanki i dwa aluminiowe rondel-ki. Janek i Dolo z okrzykiem radości padli sobie w objęcia.

— A więc Dolo, nasza wyprawa już jest gotowa — zażartował Janek.

Dolo zmarszczyła nosek.

—Trochę za prymitywne, jak dla mnie. Ach, Boże, Janku, my się cieszymy, jak gdyby już wszystko było w porządku!

—Przecież naprawdę wszystko jest w porządku, kochanie moje! Wiemy oboje, że się kochamy, że się pobierzemy... A przecież to najważniejsze!

—Tak, ale jest prócz tego tyle innych smutnych spraw. Lute-czek jeszcze nie powrócił, a gdy powróci to będzie o nas bardzo niespokojny. I ci ludzie, którzy zupełnie stracili rozum... Kto wie, co jeszcze zrobią?

—Pedro na pewno uspokoi wuja. Pedro musiał już być w kopalni, gdy odkryli twoją ucieczkę. Będzie więc wiedział, że cię wydobyłem z więzienia i uciekłem z tobą w góry. A ludzie? Trudno, na to w tej chwili nie mamy rady. Gdybym wiedział, że ci tutaj nic nie grozi, powróciłbym do domu, by zawiadomić wuja.

Objęła go, pełna trwogi.

— O nie, Janeczku, nie zostawiaj mnie samej! Stałam się taką bojaźliwą istotą. Dawniej nie bałam się niczego, byłabym tutaj spędziła sama całą noc. Teraz, gdy się przekonałam, że ludzie potrafią być bardzo źli, zaczęłam się bać. I zadręczyłyby mnie obawy o ciebie. Nie, nie odchodź, albo ja też pójdę z tobą.

— W żadnym razie, kochanie. Przysłużę się najlepiej wujowi, gdy się tobą zaopiekuję. Dlatego też zostanę tutaj i to z czystym sumieniem. Spójrz, moja malutka, słońce już wschodzi! Zgasimy świecę, bo trzeba oszczędzać. Wyjdźmy przed chatę. Ach, Dolo, jaki to cudny widok!

Objęci tkliwym uściskiem wyszli za próg. Upojeni szczęściem, spoglądali na las, skąpany w purpurowo złocistych blaskach zorzy. Wyglądał, jakby płonął w nim ogień.

— Jakie to piękne, Dolo! Ach, jestem niewymownie szczęśliwy! Nawet gdy będę już starcem, a ty siwą babcią — nie zapomnę tej chwili, gdy po raz pierwszy padłaś mi w ramiona. I serce zabije mi znowu tak mocno, gdy sobie przypomnę jak po raz pierwszy pocałowałem twoje rozkoszne usteczka. A tego widoku także nie zapomnę nigdy, nigdy... Twoja biała suknia jest jakby skąpana w purpurze, a twoje włosy lśnią jak płynne złoto. Jakaś ty piękna, jaka urocza, moja ty najsłodsza Dolo...

Usta ich złączyły się znowu w przeciągłym pocałunku. Długo stali, ręka w rękę, spoglądając na wschodzący ranek. Niekiedy obok chaty przemknęło jakieś zwierzątko, niekiedy nad głowami przefrunął ptak... W słonecznym powietrzu unosiły się wielkie barwne motyle. Oni nie zważali na to, upojeni swoją obecnością. Tutaj była przystań spokoju, wszystko tchnęło błogą ciszą.

— Nieraz wyjeżdżałam konno na wycieczkę w góry i widziałam ten las o świcie. Nigdy jednak nie czułam takiego wzruszenia jak dziś, gdy mogę wraz z tobą rozkoszować się tym widokiem — rzekła Dolo z gorącym uczuciem.

Długo stali obok siebie, wpatrując się w złociste słońce. Całowali się i szeptali sobie czułe wyrazy, jak to zwykle czynią zakochani w chwilach samotności. Wreszcie jednak nastąpił kres.

— Teraz musimy powrócić do prozy życia — powiedziała Dolo. — Trzeba się przekonać, co będziemy jedli na śniadanie.

Janek roześmiał się.

—Sądzę, że mamy do dyspozycji tylko „zimny bufet". Widzę tu jednak mnóstwo jagód, możemy nazbierać trochę na śniadanie.

—Urozmaicą one nasz jadłospis. Czemu jednak mówisz o „zimnym bufecie"? Ugotujemy sobie herbaty, przecież w źródle jest dosyć wody.

Ale jak zagotować wodę? Nie chcę rozpalać ogniska, mogłoby jeszcze zdradzić naszą obecność... — zafrasował się Janek.

Śmiejąc się, ujęła jego rękę i wprowadziła go znowu do chaty. Wyjęła ze spiżarni maszynkę spirytusową i butelkę napełnioną do polowy spirytusem.

— Oto wszystko, czego nam potrzeba.

— I ty powiadasz jeszcze, że to prymitywna wyprawa? Uważam, że mamy teraz wszystko, czego trzeba na nowym gospodarstwie.

Zaczęli się krzątać koło śniadania. Janek przyniósł w garnuszku wody ze źródła. Dolo zagotowała wodę i zaparzyła herbatę. Dolała do niej skondensowanego mleka z puszki. Herbata miała wprawdzie trochę mdły smak, a keksy były bardzo twarde, lecz oni nie zwracali na to uwagi. Janek przyniósł jagód, a kompoty z puszek okazały się wyborne. Na deser mieli jeszcze czekoladę.

Weseli i szczęśliwi spożyli ten prosty posiłek. Oszczędzali bardzo, licząc się z możliwością pozostania tutaj przez kilka dni. Janek, jak zapobiegliwy gospodarz, wyliczał na jak długo starczą zapasy żywności. Dolo przekomarzała się z nim trochę. Wpadli oboje w wesoły, swawolny nastrój. Szczęście ich młodej miłości opromieniało im pobyt w górskim pustkowiu.

***

Pedro przedostał się na teren kopalni, obierając drogę między chatami. Nie spotkał nikogo po drodze zdawało się że chaty wymarły. Z początku zamierzał się zakraść pod gmach dyrekcji, lecz przekonał się, że to niemożliwe. Właśnie tutaj zatrzymał się tłum, mogli go więc spostrzec.

Pedro ujrzał, że wszystkie szyby zostały wybite. I to nie tylko w tym gmachu, ale i w domu urzędniczym. Pomyślał, że urzędnicy mają za sobą bardzo przykre godziny i że zapewne schronili się w piwnicach. Zauważył, że wszystkie drzwi pozostały zamknięte. A zatem zbuntowani robotnicy nie wtargnęli do wnętrza budynku.

Pedro ukrył się za wysokim stosem drzewa i począł nadsłuchiwać. Nie rozumiał jednak ani słowa z tego zgiełku. Nie mógł się tedy dowiedzieć, co ludzie zrobili z małą panią i gdzie ją ukryli. Słyszał jedynie słowo „Zakładniczka". Zapewne młody inżynier Dornau miał słuszność twierdząc, że uprowadzono małą panią jako zakładniczkę. Nie bardzo go uspokoiła ta świadomość. Ludzie byli bardzo pijani. Kto wie, jak długo potrafią w tym stanie uszanować nietykalność zakładniczki.

Na pewno nie ukryli jej w gmachu biurowym ani też w domu urzędniczym. Ale gdzież ją uwięzili? Na miłość boską, chyba nie w jednym z szybów?

Na razie Pedro nie mógł nic uczynić. Miał również wątpliwości czy młodemu panu uda się uwolnić pannę Dolores. Postanowił poczekać w ukryciu na sposobną chwilę. Po upływie dwóch godzin uda się na miejsce spotkania z młodym inżynierem.

Czas mijał. Pedro zamierzał właśnie wysunąć się ze swej kryjówki, gdy usłyszał głośne wrzaski tłumu, który domagał się pokazania zakładniczki.

—Chcemy zobaczyć zakładniczkę! Pokażcie nam zakładniczkę! Chcemy się przekonać, że naprawdę jest w naszej mocy, żeście nas nie oszukali! — ryczał tłum.

Pedro, usłyszawszy te okrzyki, drgnął ze strachu. Wyprostował się i ścisnął mocno swój rewolwer. Gdyby któryś z tych pijanych mężczyzn odważył się zbli-

żyć do małej pani, on zastrzeli go bez litości. A gdzież jest młody pan? Przecież i on musi słyszeć te wrzaski? On także będzie bronił panienki i nie da jej ruszyć.

Teraz należy więc dobrze uważać i przekonać się, gdzie ją ukryli. Może teraz właśnie można ją będzie uwolnić. Ludzie byli pijani i na pół przytomni. Nie wiedzieli, co się z nimi dzieje.

Pedro żałował teraz, że nie ma tutaj Janka. Gdyby byli razem, mogliby działać według jakiegoś planu. Trudno, trzeba czekać. A może młody pan powróci za chwilę.

— Pokażcie no zakładniczkę!

— Pokażcie nam zakładniczkę! Pijany tłum ryczał, powtarzając raz po raz swoje żądanie. Niektórzy parli naprzód, pragnąc dotrzeć do chaty dozorcy.

— Musimy ją zobaczyć. Inaczej nie uwierzymy, że ją macie!

— Wyprowadźcie ją z chaty! Pokażcie nam zakładniczkę! Prędzej, prędzej.

Sam starał się wyperswadować ludziom ten zamiar. Domyślał się, że Dolores przestraszy się ogromnie, ujrzawszy ten pijany, oszalały tłum. Nie tylko on, ale i obydwaj agitatorzy starali się przemówić ludziom do rozsądku. Lękali się, że tłuszcza gotowa jeszcze wyrządzić jakąś krzywdę ich zakładniczce. Nie można było jednak niczym przekonań ciżby. Wreszcie Sam wkroczył na wysoki stos drzewa i nakazał bezwzględny spokój. Wszyscy spojrzeli na jego olbrzymią postać. Sam podniósł rękę do góry. Na chwilę zapanowało milczenie.

— Dobrze, pokażę wam panią, ale tylko na chwilę. Ja sam pokażę wam zakładniczkę. Ustawcie się przed chatą, ale w pewnej odległości. Muszę mieć pewność, że nie zrobicie jej nic złego. Ja sam przyniosłem ją tutaj na własnych rękach, jeśli się jej coś stanie, mogę to przypłacić głową. Przyrzeknijcie, że się będziecie przyzwoicie zachowywać, a pokażę wam ją.

Ludzie przyrzekli, a Sam zeskoczył ze swej trybuny. Pedro słyszał każde słowo. Uspokoił się trochę, bo wiedział, że i Sam będzie czuwał nad małą panią.

Powoli wmieszał się w tłum. Szedł na ostatku. Rozglądał się wokoło, szukając wciąż Janka, lecz nie mógł go nigdzie spostrzec. O tej porze Janek był już z Dolo w górach i tylko z daleka widział tę scenę.

Sam zbliżył się do wartowni, a Pedro był bardzo zły na siebie, że też nie domyślił się, że ukryli tam zakładniczkę. Jeszcze przed godziną mógł ją uwolnić. Może jednak uda mu się później wykonać ten zamiar, gdy tłum uspokoi się i odejdzie stąd. Biedna mała pani! Zlęknie się na pewno tej pijanej, dzikiej ciżby.

Pedro czuł się bardzo osłabiony po tych wszystkich przejściach, a przy tym dręczył go niepokój o Dolo. Stary sługa ledwie się trzymał na nogach. Ujrzał teraz, że ludzie ustawili się w odległości co najmniej dziesięciu metrów od chaty. Później Sam zbliżył się do domku, otworzył drzwi i zawołał półgłosem:

— Nie bój się, pani. Oni pragną cię tylko zobaczyć. Nic ci się nie stanie, bądź spokojna!

Sam zdziwił się, że Dolo wcale nie odpowiada. Czyżby zasnęła? Wszedł dalej i spostrzegł, że prycza jest pusta; nie było również koca. Na podłodze leżały rozsypane owoce i chleb, które przyniósł Dolo.

Sam ukrył je prędko. Był ogromnie zadowolony. A więc małej pani udało się zbiec! Przypuszczał, że to Norris dopomógł jej w ucieczce. Może ukrył ją w jakimś bezpiecznym miejscu. Tak, ale teraz trzeba w dalszym ciągu odgrywać swoją rolę.

Niby się słaniając, wyszedł z chaty i zawołał z rzekomym oburzeniem i rozpaczą:

— Nie ma jej! Uciekła!

Tłum zawył, po czym nagle zapanowała głucha cisza. Obydwaj agitatorzy wbiegli do chaty, a za nimi szofer Tommy. Świecąc latarkami, zaczęli szukać Dolo po wszystkich kątach. Na próżno! Ani śladu zakładniczki!

Bardzo przygnębieni wysunęli się z chaty. Tłum zarzucał ich gradem pytań.

Pedro usłyszał, że mała pani zbiegła i ucieszył się bardzo. Oczy jego zabłysły. Nagle jednak rozległ się ryk tłumu:

—Szukać jej! Idźmy do domu państwa! Musimy odbić zakładniczkę, inaczej marny nasz los!

Pedro zadrżał. Co się stanie, jeżeli ta pijana ciżba napadnie na dom? Chwała Bogu, mała pani zostanie uratowana. Uciekła w góry pod opieką młodego pana. Ale co się stanie z jego żoną i córką? Im przecież grozi teraz niebezpieczeństwo.

Nie czekając na dalszy przebieg wypadków, pośpieszył ku wyjściu. Zdążył się już poprzednio przekonać, że nigdzie nie rozstawiono straży. Zaledwie wymknął się przez bramę, gdy puścił się pędem naprzód, ukrywając się w wysokiej trawie. Obrzmiałe kostki bolały go już mniej, a lęk o swoją rodzinę dodawał mu jakby skrzydeł. Od czasu do czasu oglądał się za siebie. Był już daleko, gdy spostrzegł wreszcie, że tłum przeciska się przez wrota, zdążając ku domowi państwa.

Niemal bez tchu przybył do domu. Prędko wyjaśnił Boni i Joni, że powinny uciec. Przestraszone kobiety zebrały kilka najniezbędniejszych drobiazgów. Pedro nie miał pojęcia, że jego córka była kochanką szofera i że dzięki jej Tommy dostał się do domu. Inaczej Joni zostałaby surowo ukarana. Dla Pedra również lepiej było, że nie wiedział o tym. Nie mógłby już nigdy spojrzeć w oczy swemu panu.

Pedro obrzucił przelotnym spojrzeniem dom służby, nie miał ani chwili do stracenia. Wiedział poza tym, że służbie nic nie grozi ze strony buntowników. —

—Dokąd mamy uciec, Pedro? — spytała Boni.

—Na folwark. Tam na razie będziemy bezpieczni.

—Ale czego chcą tutaj ci ludzie?

—Chcą powrócić po panienkę. Na szczęście zbiegła razem z tym młodym panem, on pewno pomógł jej odzyskać wolność. Teraz zaczną jej szukać tutaj, a gdy jej nie znajdą, gotowi godzić na nasze życie. Prędko, prędko, zbliżają się już...

Wypchnął obie kobiety za próg i starannie zamknął drzwi. Po chwili już wszyscy troje biegli przez c a m p a, zmierzając w kierunku folwarku. Właśnie zniknęli w mroku nocy, gdy rozszalały tłum z dzikim wrzaskiem zatrzymał się przed

domem. Ludzie zdziwili się bardzo, spostrzegłszy, że wokoło panuje cisza i ciemności. Wprawdzie wewnątrz tu i ówdzie paliło się światło, które uciekinierzy zapomnieli zgasić, lecz nie widziało się tego przez zamknięte okiennice.

Po chwili podniosła się nieopisana wrzawa.

—Hej, gdzie jest zakładniczka! Chcemy ją zobaczyć! Oddajcie nam zakładniczkę, ale prędzej, prędzej!

Okrzyki te były skierowane do szofera i obydwu agitatorów. Wszyscy trzej weszli do domu, a wraz z nimi reszta sprawców porwania. Wyjątek stanowił Sam. On pozostał przed domem, starając się uspokoić przynajmniej swoich czarnych towarzyszy. Po drodze Sam podszedł nieznacznie do Norrisa i zapytał:

—Norris, czy wiesz, gdzie jest pani?

—Nie, Samie, właśnie ciebie chciałem zapytać o nią. Czy udało ci się dopomóc małej pani?

—Nie, nie mogłem, nie dopuścili do tego.

Norris i Sam szli teraz obok siebie. Postanowili wspólnymi siłami bronić córki swego pana, w razie gdyby wpadła znowu w ręce zbuntowanych robotników.

***

Tommy i agitatorzy zapukali najpierw do zamkniętych drzwi. Kilku ludzi wpadło za nimi do domu. Biegli z jednego pokoju do drugiego, przeszukiwali każdy kącik, lecz nie znaleźli nikogo. Tak, dom był pusty. Nie było tu nawet tego młodego inżyniera, którego poprzednio związali. A w suterenie brakło Pedra i jego rodziny.

Tommy i jego towarzysze zaczęli głośno kląć. Klęli, żeby sobie dodać odwagi, byli bowiem bardzo przygnębieni, gdy zastali puste gniazdo.

Teraz szoferowi wpadł do głowy znowu jeden z jego „świetnych pomysłów".

—Ha, już wiem! Na pewno schowali się w garażu! Prędzej, do garażu, tam pewno siedzą wszyscy w kupie.

Wybiegli pędem z domu.

—W domu ich nie ma, są na pewno w garażu! — krzyknęli do zebranego tłumu. I teraz wszyscy ruszyli do garażu.

Tymczasem i w domu służby powstało poruszenie. Służący powychodzili ze swoich mieszkań. Tłum otoczył ich; zaczęto im tłumaczyć, o co chodzi.

—Tommy, otwórz garaż i sprowadź zakładniczkę!

Tommy z przebiegłą miną włożył klucz do zamku.

—Ostrożnie, oni pewnie mają broń! — zawołał.

Wszyscy prędko usunęli się na bok. Tommy i obydwaj agitatorzy wyjęli broń. Wszyscy trzej weszli do garażu, a Tommy poświęcił swoją latarką elektryczną.

—Ręce do góry! — krzyknął, wyciągając dłoń z rewolwerem. Agitatorzy również trzymali broń gotową do strzału.

Lecz blask latarki elektrycznej oświecił tylko puste ściany.

Tommy szalał z wściekłości. Chwycił bańkę z benzyną. Benzyna polała się strumieniem po podłodze. Gdy tylko szofer znalazł się ze swymi wspólnikami w bezpiecznym miejscu, zapalił kawałek papieru i rzucił go na rozlaną benzynę. W jednej chwili wszystko stanęło w płomieniach. Tommy w swoim szaleństwie chciał jeszcze podpalić dom państwa, lecz agitatorzy zatrzymali go przemocą.

—Dosyć głupstw, ty durniu! Czy nie rozumiesz, że teraz, gdy nie mamy zakładniczki, grozi nam surowa kara? Uspokój się i pomóż nam uspokoić tłum!

Jeden z agitatorów wskoczył na werandę i wygłosił piorunującą mowę. Oznajmił, że trzeba się uspokoić, ponieważ zakładniczka uciekła, nie wiadomo dokąd. Bez zakładniczki nie można wywierać żadnej presji na panach. Teraz każdy będzie odpowiedzialny za swoje czyny. A jutro, gdy pan powróci z wojskiem, trzeba się będzie ukorzyć przed nim. Każdy powinien sobie kupić na zapas kilka butelek sznapsa, bo już wkrótce skończy się pańskie życie. Tak prędko

nie dostanie się dobrej wódki. Po tym przemówieniu tłum niezwykle prędko wytrzeźwiał. Wszyscy pobledli i spoglądali z lękiem po sobie.

Tymczasem ogień przeniósł się na dom służby. Służący próbowali ratować swój dobytek, a ponieważ było to niemożliwe, więc bardzo rozgoryczeni rzucili się na szofera, jako na sprawcę pożaru. Zaczęli go obrabiać pięściami, a nikt nie przychodził mu z pomocą. Wszyscy bladzi i wystraszeni powracali z wolna na teren kopalni. Agitatorzy chcieli raz jeszcze zwerbować ludzi do kantyny, aby im sprzedać resztę alkoholu, lecz ten zamiar się nie udał.

Ludzie, bardzo nieswoi, powracali do chat. Tam dali upust swojej złości. Kobiety przyjmowały ich przeważnie gradem wymówek. Żona Sama chciała także wyłajać swego męża, on jednak powiedział jej, że nigdy już nie weźmie do ust kropli wódki. Powtórzył jej również swoją rozmowę z małą panią. Wtedy żona ucichła i pogłaskała go po czarnej, kudłatej głowie. Wiedziała, że mała pani nie pozwoli Samowi uczynić nic złego.

Urzędnicy odetchnęli z ulgą, gdy spostrzegli, że tłum oddala się od budynku dyrekcji. Nie mieli pojęcia, jakie zamiary mają ci ludzie. Niektórzy, śmielsi, wyszli z piwnic i udali się na górę. Zaczęli wyglądać przez rozbite szyby. Wkrótce ujrzeli powracający tłum. Spostrzegli ogólne przygnębienie. Wówczas zbudziła się w nich nadzieja, że najgorsze minęło.

***

Ludwik Rodenberg wczesnym rankiem przybył do Jaimeville. Natychmiast zajechał przed dom komendanta miasta. Komendant wprawdzie o tej porze nie przyjmował nikogo, ale królewski napiwek dany jego służącemu, utorował drogę do pana. Ludwik zastał komendanta jeszcze w pidżamie. W krótkich słowach opowiedział mu, o co chodzi. Komendant z początku miał rozmaite zastrzeżenia i zapytał, czy naprawdę pomoc wojska jest konieczna.

— Przecież inaczej nie zwracałbym się do pana. Niech pan zro zumie, panie komendancie, moja córka przebywa w Armadzie, a urzędnicy nie są pewni życia. Nie chcę, aby doszło do większej rewolty, nie chcę, aby ci dwaj przemytnicy alkoholu wtrącili moich ludzi w nieszczęście. Proszę mi dać do dyspozycji jeden oddział wojska, a ja ręczę za to, że się obejdzie bez rozlewu krwi. Sam widok wojska uspokoi wzburzone umysły. Należy tylko zaaresztować tych dwóch łajdaków, którzy odgrywają rolę agitatorów komunistycznych, a wszystko powróci do dawnego ładu. Inaczej może dojść do poważnych ekscesów.

Zafrasowany komendant podrapał się w głowę.

— Rozumiem doskonale, że przy pomocy wojska nastąpiłby od razu spokój. Ma się rozumieć, że pragnąłbym pomóc panu. Ale niech pan pomyśli, jakie koszta powstaną, gdy zmobilizuję oddział ludzi. Musimy przecież wysłać co najmniej trzy samochody ciężarowe i uzbroić je odpowiednio...

Ludwik wiedział, że ta sprawa będzie kosztować pieniądze, toteż spytał bez ogródek:

— Panie komendancie, na jaką sumę mam wystawić czek? Komendant uśmiechnął się z zadowoleniem i wymienił po krótkim namyśle sumę. Ludwik wystawił czek na trochę wyższą kwotę.

— Proszę bardzo. Reszta ma stanowić drobną gratyfikację dla żołnierzy. Składam tę sprawę w pańskie ręce i liczę na to, że wyruszymy jak najprędzej.

Teraz wszystko już poszło gładko. Wkrótce trzy samochody ciężarowe pod wodzą oficera były gotowe do drogi.

Ludwik tymczasem posilił się już w swoim samochodzie. Pedro zapakował mu obfitą przekąskę. Wyruszono do Armady. Tym razem nie w tak szybkim tempie; samochody ciężarowe jechały bardzo powoli. Pan Ludwik poprosił młodego oficera, aby wsiadł do jego auta. Po drodze udzielał mu rozmaitych wskazówek. Dał mu przy tym do zrozumienia, że chętnie okaże mu swoją wdzięczność, jeżeli sprawa obejdzie się bez rozlewu krwi.

Zapadał już zmrok, gdy samochody zaczęły się zbliżać do Armady. Ludwik pojechał naprzód i zatrzymał się na folwarku. Ku swemu przerażeniu zastał tern Pedra, który opowiedział mu, co się stało.

— Wczoraj wieczorem podpalili jeszcze garaż i dom służby. Cała służba schroniła się na folwarku i opowiedziała mi o tym. Nie potrzebujesz się jednak, panie, obawiać o pannę Dolores i młodego panicza. Oni przebywają w chacie górskiej, tam są zupełnie bezpieczni — zakończył Pedro swój raport.

Ludwik zwrócił się do oficera:

— Widzi pan, że pomoc wojska była konieczna. Uprowadzono nawet przemocą moją córkę, aby ją trzymać jako zakładniczkę.

Pedro opowiedział w dalszym ciągu, że w kopalni panuje zupełny spokój. Ludzie nie przystąpili wprawdzie do pracy, ale tylko dlatego, że nie mogą się jakoś zdecydować na pierwszy krok. Agitatorzy chcieli jeszcze sprzedawać robotnikom wódkę w butelkach, lecz nie doszło do żadnej transakcji. Administrator folwarku był dziś w kopalni i opowiedział mu wszystko.

—Tych dwóch łajdaków trzeba koniecznie zaaresztować. Tak samo szofera oraz sprawców porwania mojej córki. Muszą otrzymać porządną nauczkę. Poza tym jednak przebaczę robotnikom, bo przecież zostali tylko podburzeni przez tamtych. Ty, Pedro, możesz na razie z twoją rodziną pozostać na folwarku. Gdy się wszystko uspokoi, przyślę po ciebie.

—Panie, pozwól mi iść z tobą, może będę ci potrzebny — poprosił Pedro.

—Dobrze, chodź ze mną.

Samochody ruszyły w dalszą drogę i zatrzymały się dopiero u wejścia do kopalni. Wszędzie panował, spokój, nie było widać nikogo, tylko wszystkie lampy paliły się jeszcze. Urzędnicy z prawdziwą ulgą wyszli teraz ze swej kryjówki. Usłyszawszy gwizd syreny, wszyscy posłusznie stawili się do kopalni. Nie było tylko Tommy'ego i agitatorów. Norris i Durano znali jednak ich kryjówkę i powiedzieli panu, gdzie ich szukać. Ukrywali się oni w jaskini wyżłobionej w skałach, a znajdującej się w pobliżu kopalni. Tam zaaresztowano szofera i obydwu agitatorów. W jaskini znaleziono wielkie zapasy alkoholu.

Pan Ludwik zaczął się dowiadywać, kto brał udział w porwaniu i uprowadzeniu jego córki. Wymieniono mu nazwiska sprawców. Zaaresztowano więc również tych ośmiu ludzi, w tej liczbie i Sama. Sam nie powiedział ani słowa na swoją obronę. Wiedział, że mała pani potrafi więcej zdziałać w jego sprawie niż on sam. Pozostali robotnicy poprosili o przebaczenie i przyrzekli, że jutro rano stawią się do pracy. Wszystko zostało więc załatwione pomyślnie i bez rozlewu krwi.

Ludwik poprosił oficera, aby pozostał w jego domu; Pedo zajmie się nim i jego ludźmi. On sam pragnie się dowiedzieć, co się dzieje z jego córką i siostrzeńcem. Oficer zaproponował, że da mu eskortę złożoną z kilku żołnierzy, lecz pan Ludwik podziękował za to.

— Niech pan pozwoli się wyspać swoim ludziom. Będę jednak bardzo rad, jeżeli po powrocie zastanę pana u siebie.

Oficer przyrzekł mu to, a pan Ludwik ruszył w drogę. Zapadła już noc, on jednak znał dobrze drogę, a przy tym dręczył go niepokój o Janka i Dolo.

TLR

***

Młodzi narzeczeni spędzili dzień w dobrym nastroju. Janek i Dolo wyliczyli, że dopiero następnego wieczoru mogą się spodziewać wiadomości. Oszczędzali swoje zapasy, aby im wystarczyły na dłużej. Byli tak pochłonięci swoim szczęściem, że wystarczały im skromne posiłki. Lękali się tylko bardzo o pana Ludwika.

O zmroku Janek przygotował dla Dolo posłanie z leśnej trawy. Musiała się położyć i wyspać. Janek położył głowę na stole i chciał czuwać, lecz i jego wkrótce zmorzył sen.

Tak zastał ich pan Ludwik, gdy przybył o brzasku do chaty. Zajrzał przez okno do wnętrza, a na twarzy jego ukazał się uśmiech ulgi. Chwała Bogu, są tutaj, nic im się nie stało. A więc jednak Janek uwolnił Dolo.

Nie chciał im przeszkadzać. Sam czuł się również zmęczony uciążliwą drogą i wszystkimi przejściami. Położył się więc przed chatą na miękkiej trawie i po chwili zasnął.

Zbudziły go dopiero głosy w chacie. Z uśmiechem począł nasłuchiwać. Usłyszał następującą rozmowę.

—Dzień dobry, Dolo, czy dobrze spałaś?

—Tak, Janku. Robię sobie nawet wyrzuty, że mogłam tak mocno spać, podczas gdy mój biedny Luteczek na pewno martwi się o nas. Czy też powrócił już do Armady? I czy wszystko pomyślnie załatwił?

—Miejmy nadzieję, Dolo. Na wuja Ludwika można się zdać.

—A jak ty spałeś, Janku? — zapytała po chwili Dolo.

—Doskonale. Nie spodziewałem się nawet, że będę spał tak dobrze na twardej ławce. Teraz tylko bolą mnie trochę kości. A przy tym jestem głodny jak wilk. Wstań moja mała, zabierzemy się do śniadania.

Pan Ludwik zaśmiał się w duchu. Jak to dobrze, że Pedro dał mu w drogę paczkę prowiantu i lekki, jedwabny płaszczyk dla Dolo.

—Najpierw musimy przynieść wody ze źródła. Trzeba się umyć, to najważniejsze.

—Nie, moja najdroższa Dolo. Najważniejsze jest to, żeby moja miła pocałowała mnie na dzień dobry.

Pan Ludwik, zaskoczony, uśmiechnął się do siebie.

—Zdaje się, że dzięki tym wszystkim wypadkom, dojrzało to, o czym marzyłem — pomyślał.

W chacie przez chwilę panowała cisza. Poranny pocałunek trwał bardzo długo. Pan Ludwik zapukał do drzwi.

—Hallo! Otworzyć! — krzyknął po portugalsku, zupełnie zmienionym głosem.

Wewnątrz rozległ się cichy okrzyk. Pan Ludwik usłyszał, jak Janek mówi:

— Staniesz tutaj za drzwiami i nie ruszysz się z miejsca. Ja wyjdę i zobaczę, kto się dobija.

W chwilę później na progu stanął Janek, trzymając browning w ręku. Zdumiony ujrzał u swoich stóp wuja Ludwika.

— Dzień dobry mój chłopcze! — zawołał ze śmiechem pan Ludwik .

W chacie rozległ się okrzyk. Mała, smukła osóbka wybiegła za próg. Pan Ludwik prędko wstał.

— Luteczku. mój najdroższy Luteczku! Jakie to szczęście, że jesteś już z nami:

Pan Ludwik pochwycił Dolo w objęcia.

— Przybyłem już przed kilkoma godzinami i spałem z wami na wyścigi. Przyszedłem tutaj o brzasku, lecz widziałem, że spicie i nie chciałem wam przeszkadzać, zwłaszcza, ze sam byłem śmiertelnie znużony.

Janek tymczasem odzyskał także równowagę i przywitał się z wujem.

— A ja chciałem już strzelać do ciebie z browningu — powiedział trochę zawstydzony.

— Schowaj broń. chłopcze, jest niepotrzebna. Na dole uspokoiło się wszystko, ludzie powrócą do pracy, a burzycieli zaaresztowano. Mam dla was wiele nowin.

Janek ujął ręce Dolo i pchnął ją lekko w ramiona wuja.

— Najpierw najważniejsza sprawa, wuju Ludwiku. Dolo i ja kochamy się i prosimy o twoje błogosławieństwo.

Pan Ludwik równocześnie objął oboje młodych.

— To dla mnie żadna nowina. Wiem już od dawna, że się kochacie, może nawet dłużej niż wy sami.

Dwie pary błyszczących oczu zaśmiały się do niego.

— Czy oddasz mi twoją córkę? — zapytał Janek. Pan Ludwik spojrzał z uśmiechem na Dolo.

— No co. Dolo? Czy mam się zgodzić? Rzuciła się ojcu na szyję.

— Tak. Luteczku, przecież ja go tak strasznie kocham.

—A zatem błogosławię wam, moje dzieci. Spełniliście jedno z moich najgorętszych marzeń.

Wtedy młodzi zaczęli go ściskać i całować. Przez chwilę stali wszyscy troje, złączeni gorącym uściskiem.

Później pan Ludwik zaczął się energicznie domagać śniadania. Jednocześnie sięgną! za okno i podniósł w górę dużą paczkę.

— Pedro kazał mi to zabrać. Myślał, żeście już na pół umarli z głodu. Ja sam byłbym zapomniał o tym. Pedro dał mi także płaszczyk dla ciebie, bo twierdził, że twoja biała suknia musi być dobrze przybrudzona.

— Poczciwy i mądry Pedro! Miał słuszność! Włożę płaszcz, który nakryje tę suknię.

Janek tymczasem rozpakował paczkę z zapasami żywności.

— Spójrz. Dolo. jakie smakołyki. Tutaj w górach nie mieliśmy ani razu takiej uczty.

Wszyscy troje spożyli ze smakiem śniadanie. Potem pan Ludwik powiedział:

—Później opowiemy sobie resztę szczegółów, teraz ruszymy do domu. Nie chcę. aby ten oficer czekał na mnie tak długo.

Zamknęli chatę na klucz i wyruszyli do domu. Gdy przybyli do Armady, przekonali się, że w kopalni wszyscy już z zapałem wzięli się do pracy. Przed wrotami stały trzy ciężarowe samochody. Umieszczono w nich aresztantów. Byli związani, żeby nie mogli uciec. Kilku żołnierzy stało na straży przed samochodami.

Dolo ze współczuciem spoglądała na więźniów. Wybaczyła im już wszystko. I oto spostrzegła nagle Sama. Krzyknęła. Sam wyciągną! ku niej w milczeniu związane dłonie.

— Och, Samie, kochany Samie! Luteczku, nie wolno aresztować Sama, przecież on brał udział w tym wszystkim, żeby mnie ratować. Trzeba go natychmiast zwolnić — dodała błagalnie.

I Dolo opowiedziała oficerowi, że Sam jest niewinny i że należy mu zaraz zwrócić wolność. Wtedy zwolniono Sama i pozwolono mu wrócić do domu. Ale Sam nie poszedł do chaty, lecz udał się na swoje miejsce do kopalni.

— Ach. gdybym mogła uwolnić także i tamtych! — westchnęła Dolo. Lecz oficer i pan Ludwik wytłumaczyli jej, że to niemożliwe. Nie należy pokazywać ludziom, że takie ekscesy mogą uchodzić bezkarnie. A przede wszystkim trzeba ukarać dwóch agitatorów, którzy dla własnego interesu poili ludzi wódką i mogli doprowadzić do tragedii. Szoferowi również należy się przykładna kara za podpalenie garażu.

Dolo pogodziła się więc z losem. Nie mogła się jednak powstrzymać od łez. Janek otoczył ją ramieniem, starając się pocieszyć swoją narzeczoną.

TLR

***

Samochody ciężarowe z wojskiem i więźniami wreszcie odjechały. W kopalni panował spokój. Wszyscy ze zdwojonym zapałem zabrali się do roboty. Wprawiono też wszędzie wybite szyby. Dolo z Jankiem odwiedzili Sama w jego chacie i przynieśli dla niego i dla jego rodziny bogate podarunki. Ludwik Rodenberg z własnej woli podwyższył płace swoim robotnikom. W Armadzie zapanował znowu ład i spokój.

Dolo i Janek odwiedzili również i ranczo, pana Hermadosa. Dolo zobaczyła wreszcie Inez. Jej narzeczony bawił właśnie u niej. Dolo przedstawiła Janka jako swego narzeczonego i przyjaciółki nawzajem złożyły sobie życzenia szczęścia.

Inez nie sprawiła Dolo takiego zawodu jak Angela.

Podczas nieobecności młodej pary pan Ludwik załatwiał rozmaite interesy. Miał wciąż konferencje z urzędnikami i dyrektorem.

Po powrocie Janka, pan Ludwik przez kilka dni oprowadzał go po całej kopalni i objaśniał mu wszystko. Pewnego wieczoru odezwał się do siostrzeńca:

— Ponieważ jesteście zaręczeni, więc powiem wam teraz, dlaczego zależało mi na tej podróży. Chciałem, żebyście zadecydowali, czy zamieszkacie w Brazylii czy też w Niemczech. Pragnąłem, aby Janek zapoznał się z kopalnią srebra. Powiedz mi więc, drogi Janku, jakie są twoje zamiary? Czy wolisz zostać kierownikiem Armady, czy też drugim dyrektorem w naszej fabryce. Wszędzie będziesz miał dużo pracy. Zastanów się nad tym, co ci bardziej odpowiada.

Janek ujął rękę Dolo. Oboje spojrzeli na siebie z głębokim zrozumieniem.

— Miałbym może wątpliwości, gdybym nie wiedział z góry, jaki wybór uczyni moja Dolo. Wiem jednak, że ona pragnie mieszkać w Niemczech, a przede wszystkim w pobliżu ciebie. A ja? Ja przecież jestem bardzo przywiązany do naszej fabryki. Nie chciałbym się także rozstawać z moją siostrą i z Ralfem. Teraz tylko zachodzi pytanie, co będzie z kopalnią w Armadzie? Czy możemy ją pozostawić pod opieką obecnego zarządu?

—O to właśnie chodzi, że nie możemy. Mam jednak wyjście z tej sytuacji. Zwrócił się do mnie pewien koncern amerykański, który pragnie nabyć kopalnię. Rzecz oczywista, że Dolo i ja nabylibyśmy duży portfel akcji. Mielibyśmy więc te same zyski co dotychczas, a poza tym Dolo otrzymałaby jeszcze sumę sprzedażną, osiągniętą za kopalnię. Czy zgadzasz się, Dolo?

—Z radością, Luteczku. Czuję się tutaj zupełnie obcą, moją ojczyzną są Niemcy. Mogę się tylko tam dobrze czuć, gdzie jesteś ty i Janek. Moja matka także była Niemką. A ja również nie chcę się rozłączać z Ewą-Marią i Ralfem. Wszyscy ludzie, których pokochałam, mieszkają w Niemczech. Wszystkie moje sprawy składam z pełnym zaufaniem w twoje ręce. Wiem, że pragniesz tylko mojego dobra.

I Dolo serdecznie ucałowała pana Ludwika. Janek, rozpromieniony, skinął głową, po czym uścisnął rękę wuja. Pan Ludwik z wilgotnymi oczyma ucałował oboje.

—Dziękuję wam, moje dzieci. Nie pozostanę więc samotnym na stare lata. I pragnę wam od razu oznajmić, że Janek zostanie moim spadkobiercą. Fabryki Rodenberga przejdą w jego posiadanie, gdy mnie już nie będzie na świecie.

—Mam nadzieję, że Bóg zachowa cię nam jeszcze długie lata w zdrowiu. Co do mnie, to chętnie popracuję pod twoim kierunkiem i pod przewodnictwem Ralfa.

—A ja natychmiast zatelegrafuję do tego koncernu i poproszę, aby mi przysłano ich przedstawiciela. Od razu zacznę prowadzić układy. Mam nadzieję, że przed naszym wyjazdem omówię najważniejsze punkty. Resztę można będzie załatwić korespondencyjnie. Mamy jeszcze dwa tygodnie czasu, potem wyjedziemy, żeby być w domu na Boże Narodzenie.

Dolo krzyknęła z radości.

— Ach, tak, tak! Na Gwiazdkę musimy być w domu! Mam nadzieję, że spadnie dużo śniegu. Ach, Janku, jakże się cieszę! Spędzimy znowu razem taką cudną Gwiazdkę!

Młodzi ludzie ucałowali się, po czym spojrzeli sobie radośnie w oczy. Oczy pana Ludwika zwilgotniały. Myślał o swojej ubóstwianej, zmarłej żonie, która teraz sama będzie spoczywać w obcej ziemi. Miłość jej natomiast powędruje za nimi do nowej, nie — do dawnej ojczyzny.

W kilka tygodni później pan Ludwik z młodą parą wyruszył w powrotną drogę. W Rio de Janeiro wsiedli na pokład tego samego okrętu, na którym już raz odbyli podróż.

W Armadzie wszystko ułożyło się jak najlepiej. Nowi właściciele dali dożywotnią posadę Pedrowi i jego rodzinie. Pan Ludwik wymówił to sobie w kontrakcie. Sam pozostał dozorcą i pilnował swoich czarnych towarzyszy.

Powrotna podróż wypadła cudownie. Pan Ludwik cieszył się szczęściem swoich dzieci. Był niezmiernie szczęśliwy, że się i w przyszłości nie rozstanie z nimi.

— Ewa-Maria z mężem oczekiwała podróżnych na dworcu. Nie wiedziała jeszcze nic o zaręczynach brata. Janek i Dolo chcieli jej osobiście oznajmić tę nowinę.

Miało to miejsce wieczorem, w willi Rodenberg. Wszyscy cieszyli się ogromnie. Ewa-Maria dowiedziała się wtedy również, jakie przygody przeżył jej brat.

—Czułam przecież, że ci grozi jakieś niebezpieczeństwo — powiedziała, całując Janka — zawsze przecież ostrzegało mnie przeczucie.

—Teraz pozbędziesz się wszelkich złych przeczuć, bo twój brat jest bardzo szczęśliwy — powiedział Janek.

—Tak, to żywa ilustracja bajki „Szczęśliwy Janek" — zażartował Ralf.

Święta Bożego Narodzenia spędzono razem; wypadły one jeszcze piękniej niż pierwsza Gwiazdka, jaką Janek i Dolo razem przeżyli. Najpiękniejsze były jednak święta Wielkiej Nocy, gdyż wtedy właśnie odbył się ślub młodej pary. A gdy Janek po raz pierwszy całował swoją młodziutką żonę, powiedział do niej:

— Teraz najmilsza Dolo jestem naprawdę szczęśliwym Jankiem.

— Obyś zawsze pozostał nim, najdroższy! Spojrzeli sobie w oczy i ucałowali się gorąco.

Ludwik Rodenberg był także bardzo szczęśliwy. Miał wraz z młodą parą zamieszkać w willi Melanii. Pani Mertens przeniosła się do Frankfurtu i zamieszkała z Jolantą. Jolanta miała maleńką córeczkę, a pani Melania pragnęła być bliżej wnuczki.

Na razie Ewa-Maria wzięła wuja pod swoje opiekuńcze skrzydła. Toteż pan Ludwik z lekkim sercem żegnał się z młodą parą, która wyjeżdżała w podróż poślubną.

Janek i Dolo także wyjeżdżali spokojnie. Mogli się bez obawy cieszyć iswoim młodym szczęściem.

TLR